

RYK BROWN

THE FRONTIERS
SAGA
2

PIERŚCIENIE PRZYSTANI



RYK BROWN



TOM 2

PIERŚCIENIE PRZYSTANI

Przekład
Marcin Moń



Warszawa 2020

Tytuł oryginału: *The Frontiers Saga Episode #2: Rings of Haven*

Copyright © 2012 by Ryk Brown

All rights reserved

Warszawa 2020

Projekt okładki: Tomasz Maroński

Redakcja: Rafał Dębski

Korekta: Agnieszka Pawlikowska

Skład i łamanie: Karolina Kaiser

Opracowanie wersji elektronicznej: **mobi**sfera

Książka ani żadna jej część nie może być kopiowana w urządzeniach przetwarzania danych ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Utwór niniejszy jest dziełem fikcyjnym i stanowi produkt wyobraźni Autora. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Wydawca:

Drageus Publishing House Sp. z o.o.

ul. Kopernika 5/L6

00-367 Warszawa

e-mail: drageus@drageus.com

www.drageus.com

ISBN EPUB: 978-83-66375-39-0

ISBN MOBI: 978-83-66375-40-6

Spis treści

Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10

1

– Jak sytuacja? – zapytał Nathan, wchodząc na mostek ze swojego gabinetu. Trochę się denerwował, choć przecież wiedział, czego się spodziewać. Przez ostatnich parę dni ciężko pracowali, ale przynajmniej mogli odpocząć od chaosu, z jakim zmagali się wcześniej.

– Czujniki bliskiego zasięgu wykryły kontakt – zameldowała Jessica. – Wciąż jest daleko, ale leci w naszą stronę. I to szybko.

– Czy to nasz gość? – Pytanie było skierowane do Jalei, która również przyszła i stanęła obok Nathana. Zlustrowała wyświetlacz taktyczny, aby zidentyfikować okręt. Nadal nie przywykła do sposobu wyświetlania informacji na ekranach „Aurory”.

– Najprawdopodobniej – powiedziała – ale nie możemy być pewni, dopóki nie usłyszę jego głosu.

– Sugeruję zająć pozycje bojowe, sir – wtrąciła nagłoco Jessica. – Mamy ograniczoną załogę i uzbrojenie, więc lepiej bądźmy ostrożni.

– Zgadzam się.

– Kapitanie, nie róbmy nic, co mogłoby go sprowokować – zaprotestowała Jalea. – Jeżeli zmieni zdanie, nie można zagwarantować, że ktoś inny nam pomoże.

– Nadal leci strasznie szybko – ostrzegła Jessica.

Nathan wyczuł w jej głosie napięcie. Zwykle była w takich sytuacjach całkiem spokojna, więc jeśli nawet ona się niepokoiła, najlepiej było słuchać jej rad.

– Ogłosić gotowość bojową – rozkazał – ale jeszcze nie wysuwajmy wieżyczek.

Jessica nie do końca się z nim zgadzała, ale rozumiała jego tok myślenia. Nadlatująca jednostka nie była wielka i jak dotąd nie podjęła agresywnych działań, jeśli nie liczyć prędkości, z jaką się zbliżała.

– Gotowość bojowa, ale bez aktywacji uzbrojenia. Przyjęłam.

Uruchomiła ostrzeżenie. Panele świetlne na ścianach, belkach sufitowych i nad włącznikami zmieniły kolor z zielonego na czerwony, a

tymczasem oficer łączności oznajmił przez głośnik:

- Gotowość bojowa. Wszyscy na stanowiska.
- Czas do przylotu? – zapytał Nathan.
- Minuta – odpowiedziała Jessica. – Nadal nie zwolnił.
- To on? – zapytała Cameron, która właśnie weszła na mostek.
- Jeszcze nie wiemy – odpowiedział.
- Jak możesz nie wiedzieć? – mruknęła, siadając za sterami.
- Wszystkie stanowiska obsadzone i gotowe – zameldowała Jessica. – Trzydzieści sekund.

Wszystkie oczy skupiły się na głównym ekranie, który otaczał przednią połowę mostka. Nadlatująca jednostka z początku była jedynie maleńką plamką na tle rozgwieźdzonego kosmosu, ale szybko rosła, by wreszcie przybrać kształt okrętu kosmicznego. Przemknęła tuż obok, omal nie uderzając w kadłub.

– Jezu! – wykrzyknął Nathan. Choć mostek mieścił się w głębi okrętu, za każdym razem, gdy coś przelatywało blisko kamery, miał ochotę się uchylić.

– Zawraca – zameldowała Jessica.

Skrzywiła się i zacisnęła zęby. Nathan wiedział, że tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymuje się przed rozwaleniem stateczku i jego aroganckiego pilota.

– Spokojnie, podporuczniku – mruknął, pochylając się nad konsolą taktyczną. Zamiast odpowiedzieć, Jessica uśmiechnęła się szyderczo.

– Wiadomość przychodząca – oznajmił oficer łączności.

– Dajcie ją – rozkazał Nathan, prostując plecy.

– „Aurora”, tu Tobin Marsh – usłyszeli z głośnika. – Wyląduję na waszym pokładzie startowym. – Po tych słowach sygnał się urwał.

– Kanał zamknięty, sir – oznajmił oficer łączności.

– Arogancki gnojek, co? – mruknęła Jessica. Po dwóch latach w nabuzowanych testosteronem szeregach operacji specjalnych nie przywykła jeszcze do bardziej kulturalnej atmosfery mostka.

– On chce się tylko zaprezentować z pozycji siły, zanim przystąpi do negocjacji – wyjaśniła Jalea. – Spodziewałam się tego.

– Znow nadlatuje, tym razem wolniej – zameldowała Jessica. – Faktycznie będzie lądował.

– Idź do hangaru i go powitaj, Jess – rozkazał Nathan – a potem przyprowadź gościa do sali odpraw.

- Tak jest – przytaknęła i wyszła.
- Nathan odwrócił się do Jalei.
- Jesteś pewna, że można mu ufać?
- Tak jak mówiłam, nie pierwszy raz korzystamy z jego usług.
- No cóż, facet lubi robić show z samego przybycia – dodała Cameron.

*

Jessica dotarła na dół rampy, gdzie czekał jej partner z operacji specjalnych, Enrique Mendez. Przez ramię przewiesił standardową automatyczną broń do walki w zamkniętych przestrzeniach, a w kaburze przy pasie miał pistolet.

– Stęskniłaś się?

Z uśmiechem podał jej broń. To był jego standardowy uśmiech w stylu Pan Czarujący, którym z uporem obdarzał kobiety. Zawsze mu powtarzała, że to nie działa, ale nigdy nie słuchał.

– Medycy tak szybko pozwolili ci wrócić do służby? – Spojrzała na jego udo, gdzie gruba warstwa opatrunku wypychała nogawkę.

– Wcale nie pytałem o pozwolenie – przyznał. Jessica rzuciła mu pełne dezaprobaty spojrzenie. – Hej, przecież nic mi nie jest.

– Doprawdy? – Mijając kolegę, poklepała go po opatrunku. Skrzywił się z bólu.

– Jess, do cholery, bądź miła.

Ruszyli korytarzem, aż dotarli do głównego wejścia do hangaru. Wewnątrz czekało dwóch marines, sierżanci Weatherly i Holmes. Ze wszystkich osób na pokładzie Jessica tylko o nich, o sobie i o Enrique mogła powiedzieć, że na pewno potrafią celnie strzelać.

– Tam podobno jest tylko jeden facet – oznajmiła. – Choć chyba trochę arogancki. Tak czy inaczej, rozegramy to ostrożnie. Jasne?

– Tak jest.

– Enrique, ty i Holmes ustawcie się po prawej burcie, my idziemy na lewą. Kąt ostrzału czterdzieści pięć stopni, ale jeśli zrobi się paskudnie, próbujcie go zranić, a nie zabić.

Nie czekając na odpowiedź, oddaliła się w swoją stronę i zajęła odpowiednią pozycję za leżącym kontenerem. Enrique i Holmes stanęli po przeciwnej stronie hangaru.

– Jesteśmy gotowi – powiadomiła mostek przez komunikator.

– Przyjąłem. Śluza napełnia się powietrzem, wrota za chwilę się otworzą – odpowiedział Nathan.

Po kilku chwilach ogromne wrota centralnej śluzy transferowej wsunęły się w sufit przy akompaniamencie pracujących przekładni i mechanizmów. Po drugiej stronie znajdował się ten sam okręt, który minutę temu śmigał wokół „Aurory” niczym irytujący owad. Patrzyli, jak maszyna powoli kołuje do hangaru. Gdy tylko opuściła śluzę, wrota automatycznie się zamknęły. Choć opuścili orbitę Ziemi bez żadnych jednostek na pokładzie, śluzy były zautomatyzowane i potrafiły wypuszczać i wpuszczać jednostki, nawet gdyby zawiodły wszystkie inne systemy.

Inaczej niż kilka dni temu, kiedy czekali na pojawienie się okrętu Maraka, hangar był w pełni oświetlony, a Jessica bynajmniej nie próbowała ukrywać się przed gościem. W reakcji na arogancję chciała pokazać, że jego obecność nie budzi w nikim strachu. To była jedna z wielu psychologicznych sztuczek, jakich się nauczyła.

Niewielki statek zatrzymał się, silniki ucichły powoli, ze szczelin buchnęły opary. Jednostka posiadała długi, cylindryczny kadłub podobny do spłaszczzonego cygara. Po bokach miała krótkie, grube skrzydła, a na rufie parę silników. W różnych miejscach kadłuba widoczne były dysze licznych silników manewrowych, ale Jessica nie dostrzegła żadnego uzbrojenia.

Tuż za kokpitem otworzył się niewielki właz, z którego wysunęły się schodki. Po chwili wyłonił się szczupły mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, z atramentowoczarnymi włosami i zadbanym zarostem okalającym usta. Rozejrzał się i natychmiast zauważył cztery lufy, celujące w niego z obu stron. Na ten widok uniósł otwarte dłonie, dając znać, że są puste.

– Jestem nieuzbrojony – oznajmił. – Nie stanowią zagrożenia.

– Trzymaj ręce na widoku – poinstruowała go Jessica.

Mężczyzna przez chwilę lustrował ją, aż doszedł do wniosku, że w razie konieczności nie miałyby problemu z pociągnięciem za spust.

– Jak sobie życzysz – zgodził się, unosząc ręce jeszcze wyżej. Zszedł po stopniach. – Proszę, nie róbcie mi krzywdy. Jestem tu na prośbę Jalei Torren. Jest z wami, prawda?

– Zgadza się – odpowiedziała. Mężczyzna nadal szedł w jej stronę. – Tyle wystarczy – dodała z napięciem w głosie. – Ręce na kark. Nawet nie drgnij, a wszystko będzie dobrze.

Wyłoniła się zza osłony i ruszyła w jego kierunku. Dała znak Enrique, żeby zrobił to samo, a tymczasem Weatherly i Holmes zostali z tyłu, gotowi ich osłaniać.

Nagle zamknął się właz statku przybysza. Jessica przystanęła.

– Miałeś się nie ruszać!

– Ja nic nie zrobiłem – zapewnił. – To automat.

– Coś jeszcze się poruszy... automatycznie?

– Nie, nic. Po prostu zadziałały zabezpieczenia statku.

– Przeszukaj go – rozkazała Enrique.

Ten zbliżył się i zaczął szukać ukrytej broni.

– Zapewniam, że zgodnie z umową jestem bezbronny – oświadczył przybysz.

– Dziewczyna zawsze powinna być ostrożna – rzuciła Jessica. Mężczyzna uśmiechnął się, wyczuwając jej sarkazm.

– W rzeczy samej – odpowiedział. – Zgaduję, że teraz zabierzecie mnie do swojego kapitana?

– Tędy – poleciała i dała mu znak, aby podążał za Enrique.

*

Tobin Marsh wkroczył pewnym krokiem do sali odpraw. Gdy dostrzegł Jaleę, wyciągnął ręce, uścisnął ją i ucałował w oba policzki, mówiąc słowa, które w ich języku z pewnością były miłe i czarujące. Po wstępnych uprzejmościach Jalea odwróciła się do Nathana i Cameron, którzy stali po przeciwnej stronie stołu.

– Tobinie Marsh – zaczęła po angielsku – poznaj komandora Nathana Scotta i komandor porucznik Taylor z „Aurory”.

– Niezmiernie mi miło – powiedział Tobin poprawnie, choć z wyraźnym akcentem. Miał inną wymowę i odrobinę gorszą składnię niż Jalea, choć ewidentnie bardzo się starał, aby jego *Angla* wypadł nienagannie.

– Mam nadzieję, że moje nietypowe wejście was zbytnio nie zaniepokoiło – dodał, ukradkiem zerkając w stronę Jessiki. Wyciągnął rękę i uścisnął dłoń Cameron, a później Nathana.

– Rzeczywiście, masz trochę agresywny styl latania – przyznał uprzejmie Nathan. – Ale nie chcieliśmy wyciągać z tego powodu pochopnych wniosków, ponieważ jesteśmy nowi w tym zakątku kosmosu.

– Doprawdy? Nie wiedziałem. – Trudno było nie zauważyć jego zaciekawienia. – Skąd pochodzicie?

Nathan zauważył ostrzegawcze spojrzenie Jessiki.

– Na razie powiedzmy, że z dość daleka.

– Ach tak? Teraz mnie zaintrygowałeś, kapitanie. Czy to naprawdę tak wielka tajemnica?

– Dopiero się poznaliśmy. A ta informacja jest obecnie nieistotna w kontekście usług, których potrzebujemy. Chyba że ujawnienie, skąd pochodzimy, stanowi niezbędny warunek dalszej współpracy. Bo jeśli tak, nie będziemy więcej marnować twojego czasu.

Nathan był zaskoczony, z jaką łatwością przyszyły mu do głowy te słowa i jak naturalnie zaznaczył odpowiednią mową ciała, że jest gotowy w każdym momencie wyjść. Chyba zaowocowały lata obserwowania zmagania ojca na arenie politycznej.

– Nie, to nie jest konieczne, kapitanie – powiedział Tobin. Czuł się aż nazbyt swobodnie podczas tego rodzaju negocjacji i w żaden widoczny sposób nie zareagował na ultimatum Nathana. – Przemawiała przede mną jedynie ciekawość, za co przepraszam. – Skłonił głowę na znak, że nie będzie naciskał. – A teraz słucham, kapitanie, jakich usług oczekujecie?

– Ci ludzie potrzebują wielu rzeczy – zaczęła Jalea. – Przede wszystkim jednak miejsca do przeprowadzenia napraw okrętu, a także żywności i innych zapasów. – Zawiesiła głos i rzuciła Tobinowi poważne spojrzenie. – A to wszystko trzeba im zapewnić... dyskretnie.

– Tak, tak, wspomniałaś w wiadomości. Nie będzie trudno to zorganizować, zwłaszcza w układzie Przystani – zapewnił Tobin. – W końcu dyskrecja jest jednym z powodów, dla których ludzie tu przylatują. Jednak świadczenie takich usług może się okazać dla mnie dość ryzykowne, dlatego muszę dokładnie wiedzieć, czyjej uwagi chcecie uniknąć.

– Mieliśmy niespodziewany i, pozwolę sobie dodać, niezawiniony zatarg z pewnym rządem – wyjaśnił Nathan.

– Tak, zauważyłem uszkodzenia waszego okrętu. To musiał być całkiem poważny zatarg. Słusznie zakładam, że mówimy o tym samym rządzie, z którym nasza przyjaciółka Jalea pozostaje w nie najlepszych stosunkach?

Nathana w pewien obrzydliwy sposób rozbawiła myśl, że wszędzie, nawet na drugim końcu Galaktyki, negocjacje zawsze wyglądają podobnie.

– Jak najbardziej.

– Rozumiem.

Tobin przyglądał zarost, udając, że rozważa ich prośbę. Nathan doskonale wiedział, że nie odmówi, bo przecież nie leciałby kilkanaście godzin w ciasnym stateczku, gdyby nie zamierzał dobić targu.

– Więc jesteś gotów zapewnić nam swoje usługi?

– Owszem, kapitanie. Myślę, że dojdziemy do porozumienia.

– A jakiego wynagrodzenia oczekujesz? – Nathan wolał uniknąć późniejszych niespodzianek.

– Proszę, kapitanie, jestem tu jedynie z powodu długu życia wobec Jalei i jej ludzi.

– Bez obrazy, Tobin, ale musi istnieć jakiś sposób rekompensaty. Tak byłoby uczciwiej, bo przecież nie jesteś naszym dłużnikiem.

– Doskonale mnie rozumiesz, kapitanie. Widzę, że jesteś człowiekiem mądrzejszym, niż wskazywałyby na to twój wiek. – Tobin znów się uśmiechnął. Nathan milczał, czekając na ciąg dalszy. – Masz rację. Istnieje sposób, w jaki mogę wyjść na swoje w obecnej... sytuacji. Jak wiele Jalea powiedziała wam o Przystani?

– Obawiam się, że bardzo mało. Przez ostatnich kilka dni byliśmy trochę zajęci. Może zechcesz nas oświecić?

– Oczywiście. – Tobin rozparł się wygodnie na krześle i zaczął: – Przystań jest swego rodzaju schronieniem. Miejscem, gdzie można znaleźć dyskretny azyl, a także centrum, że tak powiem, nieoficjalnego handlu różnymi towarami.

Nathan nachylił się do Cameron.

– To pewnie ci kosmiczni piraci, o których wspominałaś – zakpił pod nosem.

Cameron przewróciła oczami i skupiła uwagę na Tobinie, który niczego nie zauważył.

– Więc to możliwe, żebyśmy się tu ukryli? Pomimo obecności tak wielu statków?

– Gospodarka Przystani opiera się na pozyskiwaniu surowców z rozległych pierścieni. W układzie znajduje się tylko jedna planeta, gazowy olbrzym z wieloma księżycami. Miasto Przystań oraz jedyny port kosmiczny w układzie znajduje się na jednym z tych księżyców. W pierścieniach planety można znaleźć rudy metali, minerały oraz lód wodny. A atmosfera gazowego olbrzyma obfituje w przydatne gazy. Jednostki z całego kwadrantu przylatują, aby napełnić ładownie pozyskanymi tutaj surowcami. W zamian uiszczają opłatę pobieraną przez władze układu.

– Więc jest tu jakiś rząd? – zapytał Nathan, zaniepokojony perspektywą dalszych komplikacji.

– Nie nazwałbym tego rządem, kapitanie. To bardziej, że tak powiem, interes rodzinny. Jednak radziłbym traktować ich z takim samym szacunkiem, jak każdą inną legalną władzę. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Oczywiście.

– Jeśli chodzi o ukrycie waszego okrętu, to tylko kwestia załatwienia wam czasowej licencji górniczej. Jeśli będziecie mieli odpowiedni transponder identyfikacyjny, zapewniam, że nikt nie zwróci na was uwagi. Codziennie przez pierścienie przewijają się tyle statków, że wszystko oprócz otwartej walki przejdzie niezauważone.

– A w jaki sposób ty na tym zyskasz?

– Ach, racja. – Tobin uśmiechnął się chytrze. – Jeśli chcecie zdobyć zapasy, będziecie potrzebowali czegoś cennego na wymianę. Bez obrazy, ale po wyglądzie okrętu domyślałam się, że nie przewozicie wielkich bogactw. A skoro i tak zamierzacie udawać jednostkę górniczą, w mieście na księżycu załatwię wam ekipę wydobywczą. Część pozyskanych surowców wymienicie na zapasy, a część zostawicie sobie do własnych celów. Udział w zyskach będą też mieli robotnicy oraz ja sam. Pobiorę skromną opłatę w zamian za usługi pośrednika.

– Rozumiem – odpowiedział Nathan. Spojrzał na Cameron i Jaleę. Ich miny nie zdradzały, co myślą o propozycji Tobina. Na Jessicę nawet nie patrzył. Unikał jej wzroku, bo wiedział, jak bardzo nie odpowiada jej perspektywa wpuszczenia na pokład kolejnych

obcych. – No cóż, to bardzo ciekawa oferta. Ufam, że nie poczujesz się urażony, jeśli przeproszę cię na kilka minut, żeby przedyskutować to ze swoimi ludźmi.

– Ani trochę, kapitanie. Ani trochę.

– Dziękuję. – Nathan zwrócił się do Jalei: – Zabierzesz naszego gościa na krótki spacer? Odezwę się, kiedy będziemy gotowi kontynuować rozmowę.

– Jak sobie życzysz, kapitanie.

Jalea wstała od stołu i ruszyła do wyjścia.

– Będę czekał cierpliwie na decyzję – powiedział Tobin, również wstając.

– Postaram się, żeby to nie trwało długo.

Nathan pożegnał ich szczerym uśmiechem. Jeden marine wyszedł razem z nimi. Nathan uniósł rękę na znak, żeby Jessica i Cameron zaczekały, aż zamkną się drzwi.

– No dobrze, słucham – powiedział wreszcie.

– Nie ufam ani jemu, ani jej – stwierdziła Cameron.

– To oczywiste – zgodził się Nathan, odchylając się w fotelu. – Ale musimy coś zrobić. Nie możemy po prostu dryfować po obrzeżach układu.

– Czemu nie? – zapytała Cameron. – Oczywiście nie na stałe. Ale czemu nie możemy tu poczekać i sami wszystkiego naprawić, a potem ruszyć w drogę? To bezpieczniejsze, niż pchać się do systemu pełnego podejrzanego elementu.

– A co z jedzeniem, Cam? Zostały tylko orzechy i suszone owoce, które skończą się za dzień albo dwa.

– Nie wiem, Nathanie. Może uda się wymienić coś na żywność. Może ten cały Tobin przywiózłby nam trochę zapasów.

– Chyba chodzi mu po głowie coś innego. Liczy na większy zysk.

– Tego właśnie się obawiam – powiedziała z naciskiem Cameron.

Odwrócił się w stronę Jessiki.

– Wcale się nie odzywasz. Na pewno masz coś do powiedzenia.

Jessica, która do tej pory stała oparta o ścianę, podeszła do stołu i usiadła na krawędzi blatu.

– Słuchaj, cały ten układ jest podejrzan, nie mówię, że nie. Ale uważam, że nie mamy wyboru. Potrzebujemy żywności i zapasów. Ale też, co ważniejsze, potrzebujemy informacji. Znacznie więcej

informacji, niż możemy wycisnąć z Jalei. Jeśli mamy wrócić do domu, nie pomoże nam jeden szczęśliwy skok ani siła ognia, tylko spryt. A żeby się nim wykazać, musimy wiedzieć, co i jak. A to znaczy, że nie wolno nam ukrywać się gdzieś w próżni. Trzeba porozumieć się z tutejszymi, inaczej nie zbierzemy rzetelnych danych wywiadowczych.

Nathan spojrział na Cameron.

– Ona ma rację.

– Tak, wiem – powiedziała Cameron z widoczną irytacją. Nie lubiła sytuacji, w których wręcz roilo się od niewiadomych. – Żałuję tylko, że pakujemy się w to na ślepo.

– Właśnie o to chodzi. Musimy wiedzieć więcej. – Nathan zwrócił się do Jessiki. – Więc co proponujesz?

– Trzeba odwiedzić miasto. Własnymi oczami i uszami zebrać tyle informacji, ile zdołamy.

– Polecisz na powierzchnię księżyca?

– Nie ja, tylko my, oczywiście razem z obstawą.

– A do czego ja ci jestem potrzebny? – zapytał ze zdumieniem Nathan.

– No cóż, masz talent do negocjacji. Dobrze dogadujesz się z ludźmi. Ale nie jesteś zbyt spostrzegawczy.

– Pracuję nad tym.

– Od tego masz mnie.

– Z góry zakładacie, że w jego stateczku jest miejsce dla pasażerów – wtrąciła Cameron.

– Jeśli nie, na pewno potrafi załatwić coś większego – powiedziała Jessica. – Nie będziemy przecież daleko od Przystani.

– Więc ustalone – skwitował Nathan.

Było oczywiste, że Jessica się zgadza. I równie oczywiste wydawało się niezadowolenie Cameron.

– Przykro mi, Cam. Dwa do jednego, przegrywasz. – Uśmiechnął się i powiedział do Jessiki: – Wezwij ich z powrotem.

– To nie demokracja – przypomniała mu Cameron z ponurym wyrazem twarzy. – Jesteś kapitanem, ty decydujesz.

– Hej, odpuść mi trochę. Jestem w tym nowy, pamiętasz?

Po kilku chwilach do sali odpraw wrócili Tobin i Jalea.

– Postanowiliśmy przyjąć twoją ofertę, ale pod kilkoma warunkami – oznajmił Nathan. – Po pierwsze, robotnikom, których sprowadzisz na pokład, nie wolno opuszczać hangaru. Żadnemu, bez wyjątku. Za złamanie zakazu grozi co najmniej areszt. Po drugie, wszystkie działania w hangarze będą odbywać się pod czujnym okiem uzbrojonych strażników, którzy otrzymają pozwolenie na użycie ostrej amunicji w razie konieczności. – Na twarzy Nathana pojawił się wyraz surowej determinacji. – Ta kwestia nie podlega negocjacom. Znajdujemy się w nieznanej przestrzeni. Sam mówiłeś, że Przystań nie jest do końca bezpiecznym miejscem, szczególnie dla obcych. Mam nadzieję, że te warunki są do przyjęcia.

– Oczywiście, kapitanie. Rozumiem, że musicie zadbać o bezpieczeństwo okrętu, tym bardziej biorąc pod uwagę ostatnie zatargi z rządem.

– I jeszcze coś. Jeśli na pokładzie twojego statku jest miejsce dla pasażerów, kilkoro z nas chciałoby towarzyszyć ci w drodze na powierzchnię, żeby się rozejrzeć.

Tym razem Tobin zaprotestował.

– Kapitanie, sam przyznałeś, że Przystań nie należy do miejsc przyjaznych przybyszom. Uważam, że nie warto ryzykować. Przystań potrafi być bardzo niebezpieczna.

– Myślę, że zdołamy o siebie zadbać, jeśli zdarzy się coś niespodziewanego. Ale dzięki za troskę.

Tobin zrozumiał, że Nathan nie zmieni zdania, więc przestał się sprzeciwiać.

– Jak sobie życzysz, kapitanie. Mam miejsce dla maksymalnie sześciorga pasażerów i wolny fotel drugiego pilota. Jednak z powodu ciasnoty sugerowałbym poczekać, aż znajdziecie się w obrębie pierścieni.

– Oczywiście. A jeśli chodzi o twoje wynagrodzenie, interesuje nas tylko tyle urobku, ile trzeba, żeby zapłacić za zapasy. Całą nadwyżkę możesz podzielić między siebie i swoich ludzi.

Na te słowa Tobinowi zaświeciły się oczy.

– To bardzo hojne z twojej strony, kapitanie. Wolno zapytać, jak długo zamierzacie przebywać w naszym układzie?

– Tylko tyle, ile trzeba, żeby zdobyć zapasy. Dłuższy pobyt byłby... nierozważny – odparł z uśmiechem Nathan.

– Świetnie, a więc doszliśmy do porozumienia – stwierdził Tobin. Wstał i wyciągnął rękę.

– Na to wygląda – zgodził się Nathan, po czym uścisnął mu dłoń.

– Mogę zapytać, jak długo zajmie wam podróż do Przystani?

Nathan spojrział na Cameron.

– Około siedmiu godzin – oszacowała.

– Rozumiem, że masz dla nas transponder – powiedział Nathan.

– Owszem. Po instalacji będzie was identyfikował jako voloński frachtowiec – wyjaśnił gość. – Tego rodzaju statki mają zróżnicowany wygląd i dość często spotyka się je w tym zakątku kosmosu. Nawet jeśli ktoś wam się przyjrzy, nie powinniście wzbudzać podejrzeń. Zresztą i tak Volon znajduje się daleko stąd. Zanim ktokolwiek zdąży zweryfikować waszą tożsamość, was już tutaj nie będzie.

– A ile potrwa instalacja tego urządzenia?

– Podejrzewam, że niecałą godzinę. Będę potrzebował pomocy jednego z waszych techników.

– Zajmę się tym – obiecał Nathan. – Jalea, zaprowadź pana Marsha do działu inżynieryjnego, a ja uprzedzę Władimira, że będzie miał gości.

Jalea skinęła głową i wyprowadziła Tobina z pomieszczenia w eskorcie marines. Kiedy wyszli, Nathan odwrócił się do Jessiki.

– Nie musisz nic mówić – rzuciła, zanim zdążył się odezwać. – Zadbam o to, żeby byli pod stałym nadzorem – obiecała i wyszła.

Spojrział na Cameron, której mina wyrażała dezaprobatę dla jego planu.

– Wiem, wiem. Ja też nie skaczę z radości. Przekaż Abby, żeby zawsze miała gotowe parametry skoku, tak na wszelki wypadek.

– Jasne – zgodziła się i wstała.

– Ruszamy, gdy tylko zainstalujemy i uruchomimy transponder – dodał.

– Tak jest – odpowiedziała bez przekonania. – Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz – rzuciła na odchodne.

– Ja też – przyznał.

Kiedy opuściła salę odpraw, Nathan odchylił się w fotelu i powoli wypuścił powietrze. Po głowie krążyły mu dziesiątki myśli. Kilka dni temu opuścili orbitę Ziemi w przekonaniu, że to będzie rutynowy lot

ćwiczebny. Jednak nieprzewidywalny ciąg zdarzeń sprawił, że utknęli tysiąc lat świetlnych od domu, w pokieroszowanym okręcie i z ułamkiem liczebności docelowej załogi. Zapasy żywności były na wyczerpaniu, a oni nadal nie mieli pojęcia, jak wrócić na Ziemię. Ale przynajmniej teraz nie groziła im śmierć głodowa.

*

– Może nie działa kod, który wprowadziłeś? – Władimir zaczynał się denerwować. Od ponad godziny bezskutecznie próbowali zmusić transponder Tobina do współpracy z nadajnikiem nawigacyjnym „Aurory” i Rosjanin zaczynał mieć dość tej obcej technologii.

– Zadziała – upierał się Tobin. – Po prostu trzeba czasu. Wasz okręt jest wciąż daleko od centrum układu. Potrzeba kilku godzin, żeby sygnał przebył drogę stąd do Przystani i z powrotem.

– A po co nam to urządzenie?

– Wszystkie jednostki w układzie muszą być zarejestrowane. Podczas rejestracji statek spędza kilkanaście godzin w porcie, przechodzi skrupulatne inspekcje i tworzy się dla niego specjalne konto handlowe. To wymaga dużego zaangażowania i nie da się zrobić dyskretnie. Dlatego transponder będzie identyfikował was jako statek należący do niewielkiej firmy, która od czasu do czasu pozyskuje surowce z tutejszych pierścieni. Kiedy kontrolerzy odbiorą wasz sygnał, po prostu dodadzą was do systemu śledzącego ruch jednostek w przestrzeni i pobiorą standardową opłatę. Nikt nie zwróci na was uwagi.

– Opłatę? Musimy coś płacić? A jeśli tego nie zrobimy? – zastanowił się Władimir. Wiedział, że na pokładzie „Aurory” nie ma żadnych funduszy.

– To byłoby nierozsądne – ostrzegł Tobin. – Rodzina, która obecnie kontroluje Przystań, nie słynie z pobłażliwości.

– Skąd wzięłeś to urządzenie?

– Każdy może kupić transponder – wyjaśnił Tobin. – Za to kody trudniej zdobyć bez rejestracji. Na szczęście znam odpowiednich ludzi – dodał z uśmiechem.

– To aż tak proste? – zapytał z niedowierzaniem Władimir.

– Wcale nie mówiłem, że to proste – poprawił go Tobin – ale Przystań ma wiele do zaoferowania, jeśli człowiek wie, gdzie szukać.

Władimir odpowiedział uśmiechem. Zrozumiał, że w każdym zakątku Galaktyki musi istnieć czarny rynek.

– Jestem przekonany, że wszystko działa jak należy – zapewnił go Tobin. Wpisał ponownie kod i wcisnął klawisz „zatwierdź”, a wtedy na ekranie pojawiło się jedno słowo. Mignęło trzy razy, a potem przestało mrugać. Było jednak w *Angla*, języku podobnym do angielskiego w mowie, ale pisanym przy użyciu trochę innych liter.

– Co to znaczy? – zapytał Władimir.

– Urządzenie jest zablokowane – oznajmił nonszalancko Tobin.

– W jakim sensie? – zaniepokoił się Władimir.

– Kod musi być zablokowany, bo w przeciwnym razie nie zaakceptują go kontrolerzy.

To miało sens, choć Władimirowi nie podobał się pomysł, żeby cokolwiek było „zablokowane”.

– Skąd wiadomo, że możemy bezpiecznie lecieć dalej?

– Jeśli wasz okręt zbliży się do Przystani i nie zostanie zaatakowany, to znaczy, że jest bezpiecznie.

Rosjanin spojrzał na niego, unosząc brwi.

– Nie martw się, będzie dobrze. Robiłem to wiele razy – zapewnił Tobin.

– Przepraszam, to nie tak, że ci nie wierzę. Po prostu mam wrażenie, że to zbyt proste.

– Nie ma sprawy. Ale zrozum, rządząca rodzina ma gdzieś, czy jesteście tym, za kogo się podajecie. Liczą się pieniądze. Jeśli dostaną swoją zapłatę, nie będą wnikać w waszą tożsamość. Korupcja ma swoje zalety. – Tobin zaśmiał się pod nosem, po czym wstał, zadowolony z faktu, że instalacja przebiegła pomyślnie. – Powiedz kapitanowi, że możecie bezpiecznie wlecieć w głąb układu.

*

– Mostek, tu dział inżynieryjny – z głośnika dobiegł głos Władimira.

Nathan stanął obok oficera łączności, który nadal korzystał ze stanowiska pomocniczego. Dał podwładnemu znak, żeby otworzył

kanal.

– Tak, Władimir, słucham.

– Nathan, zainstalowaliśmy transponder, działa poprawnie. Tobin mówi, że można lecieć, kiedy tylko będziemy gotowi.

– Świetnie. Bez odbioru. – Nathan odwrócił się do Jessiki, która stała przy stanowisku taktycznym. – Jakies kontakty w okolicy?

– Ani jednego, odkąd przyleciał Tobin.

– Kaylah, czy tamto urządzenie nadaje? – Nathan skierował pytanie do podporucznik Yosef. Choć była oficerem naukowym, od kilku dni obsługiwała czujniki „Aurory”.

– Nadaje w regularnych odstępach impulsy dookolne, szerokie pasmo. Ale sygnał dotrze do Przystani dopiero za jakiś czas, sir.

– Więc przylecimy na miejsce krótko po nim?

– Sygnał wyprzedzi nas o kilka godzin.

Nathan spojrział na Jaleę, która stała na tyłach mostka, w pobliżu wyjścia.

– Czy oni nas tutaj widzą?

– Wątpię, żeby regularnie skanowali obrzeża układu. Nie mają powodu. A jeśli nawet, z takiej odległości trudno wykryć pojedynczą jednostkę, zwłaszcza nieruchomą.

– Chyba nie powinniśmy dać po sobie poznać, że tkwiliśmy tutaj przez dłuższy czas – dodała Jessica. – To wyglądałoby podejrzanie.

– Trafna uwaga – pochwalił ją Nathan. – Cameron, zakładam, że wyznaczyłaś już kurs.

– Oczywiście, parę godzin temu.

– Doktor Sorenson, czy parametry skoku są gotowe?

– Wykonałam kilkanaście zestawów obliczeń dla różnych punktów na naszej planowanej trasie do centrum układu.

– Doskonale. – Nathan przez chwilę zbierał myśli. Miał nadzieję, że jego decyzja nie okaże się błędna. – Ruszajmy. Łączność, ostrzec wszystkich o przyspieszeniu.

– Tak jest – potwierdził oficer.

– Pilot, lecimy w kierunku Przystani. Rozpędźmy się najpierw do maksymalnej szybkości, a potem zaczniemy stopniowo zwalniać. Chcę, żebyśmy sprawiali wrażenie jednostki, która właśnie wyszła z nadświetlnej.

– Tak jest, kapitanie. Ostre przyspieszenie do maksymalnej prędkości.

Cameron zaczęła wstukiwać polecenia na konsoli pilota, a tymczasem z głośników dobiegało ostrzeżenie oficera łączności. Amortyzatory inercyjne „Aurory” nadal nie były w pełni sprawne, więc Nathan musiał przytrzymać się konsoli taktycznej, żeby nie upaść, gdy główne silniki szybko osiągnęły maksymalny ciąg. Okręt zaczął gwałtownie przyspieszać, a Nathan z trudem dotarł do fotela dowódcy.

– Kiedy dolecimy do Przystani? – zapytał, siadając.

– Za jakieś sześć godzin.

Z powodu niedoboru kadry Cameron musiała jednocześnie pełnić funkcję pilota i nawigatora oraz oficera wykonawczego. Nathan zaoferował się pomóc jej z nawigacją, ale jeżeli sytuacja tego nie wymagała, Cameron wolała robić to sama. Choć nie sposób odmówić było Nathanowi talentu do pilotażu, jego umiejętności nawigacyjne pozostawiały wiele do życzenia.

Po krótkim okresie przyspieszenia okręt osiągnął maksymalną prędkość.

– Zero siedemdziesiąt pięć c – oznajmiła Cameron. – Wyłączam główne silniki. Rozpocznym decelerację.

Cameron uruchomiła przednie silniki hamowania. W ciągu najbliższych pięciu godzin miały one zredukować szybkość „Aurory” na tyle, aby okręt pochwyciła studnia grawitacyjna gazowego olbrzyma, wokół którego orbitowała Przystań. Załoga mogła już bez przeszkód chodzić po pokładzie.

– Świetnie. Odwołać ostrzeżenie przed przeciążeniami.

– Wlatujemy do układu, kapitanie – oznajmiła podporucznik Yosef.

– Miejmy nadzieję, że plan zadziała – mruknął pod nosem Nathan.

*

Sekcja medyczna, choć nadal pełna pacjentów, przynajmniej znów była czysta i uporządkowana. Chaos ostatnich dni wreszcie ustąpił łaadowi, a doktor Chen i garstka ochotników zdołała wrócić do normalnego trybu pracy. Lekarka trzykrotnie zwiększyła pojemność ambulatorium, zarządzając opróżnienie sąsiednich kabin

mieszkalnych i wykorzystanie ich jako sal dla poszkodowanych. Jednak nawet z pomocą wolontariuszy i całego dostępnego sprzętu kontrolowanie stanu zdrowia wszystkich pacjentów pozostawało sporym wyzwaniem. Chen kazała nawet wymontować część biomonitorów z kombinezonów kosmicznych, aby wykorzystać je do opieki nad rannymi.

Pomimo wysiłków młodej medycy w ciągu ostatnich dwóch dni zmarły trzy osoby. Jednej z nich nie dawano szans, obrażenia były zbyt poważne. Ale pozostali dwaj pacjenci mieli dobre rokowania, a zabiła ich infekcja, której nie dało się powstrzymać z powodu braku lekarstw. Do czegoś takiego nie doszłoby w szpitalu z prawdziwego zdarzenia.

Nathan odwiedzał doktor Chen i jej pacjentów co najmniej raz dziennie, zwykle pod pretekstem wizyty kontrolnej. Ale ona wiedziała, że nie chodzi o ranę w nodze – przychodził sprawdzić, co z załogą. Miała świadomość, że dowódca „Aurory” nadal czuje się winny wszystkich obrażeń, a tym bardziej śmierci tych, których nie udało się wyleczyć. Musiała przyznać, że początkowo sama go obwiniała, ale kiedy rozpowszechniono informacje o wydarzeniach z ostatnich dni, zrozumiała, że zrobił, co tylko mógł w niesamowicie trudnych okolicznościach. Podobnie jak większość załogi, wiedziała, że to nie jego wina. Wiedziała również, że Nathan nie wybaczy sobie jeszcze przez jakiś czas.

Dlatego nie zdziwiła się ani trochę, kiedy znów wkroczył do głównej sali ambulatorium, zatrzymując się przy łózkach, aby z każdym zamienić kilka słów. Podejrzewała, że jest bardzo zapracowany i nie powinien spędzać tu czasu. Bez wątplenia miał inne, ważniejsze obowiązki. Ale, z drugiej strony, niewykluczone, że potrzebował tych wizyt tak samo jak pacjenci, jeśli nie bardziej.

Nie pierwszy raz widziała takie zachowanie. Na Ziemi spędziła trochę czasu jako wolontariuszka w szpitalu polowym niedaleko granicy obszaru, o który toczyły wojnę dwa skłócone narody. Choć po odkryciu Arki Danych ludzkość osiągnęła globalne zjednoczenie, na planecie pozostało kilka regionów kontrolowanych przez plemiona, które zamieszkiwały je od stuleci. Grupa około pięćdziesięciu żołnierzy została zaatakowana przez wrogów, a dowódca jednostki również spędzał mnóstwo czasu w szpitalnych

salach, odwiedzając rannych. Zawsze miał wyraz twarzy podobny do miny Nathana.

Zaczekała, aż kapitan zakończy obchód. Wykorzystała jego wizytę jako pretekst do zrobienia sobie przerwy. Usiadła w pokoiku gospodarczym, po przeciwnej stronie od wejścia, i obserwowała go przez uchylone drzwi. Miała kilka torebek orzechów i suszonych owoców, które przegryzała od czasu do czasu. Od kilku dni nie usiadła do normalnego posiłku i nie tyle sypiała, co ucinając sobie krótkie drzemki.

Pełen obchód zajął Nathanowi prawie pół godziny. Nie wiedziała, czy zaglądał do sąsiednich sal, ale zakładała, że owszem.

– Jak noga? – zapytała, kiedy wszedł do pokoju gospodarczego.

– Praktycznie zdrowa – pochwalił się i podskoczył w ramach eksperymentu. – Już nie utykam, tylko od czasu do czasu czuję pulsujący ból.

– Utrzyma się pewnie jeszcze przez kilka dni. To efekt uboczny serum regenerującego tkankę kostną.

– A pani jak się trzyma?

– Bywało lepiej, ale znajduję czas na przekąski i drzemki. A kiedy w końcu ustabilizujemy stan wszystkich pacjentów, odpocznę dłużej. Do tego czasu jakoś dam radę. – Upiła kilka łyków wody z butelki. – A co słyhać na mostku?

– Właśnie o tym chciałem porozmawiać. Lecimy na księżyc zwany Przystanią.

– To wyjaśnia przyspieszenie. Następnym razem moglibyście dać nam więcej czasu na przygotowanie. My tutaj potrzebujemy kilku minut, a nie paru sekund – skarciła go.

Nathan poczuł się winny.

– Przepraszam, nie pomyślałem.

– A po co w ogóle tam lecimy?

– Żeby zdobyć trochę żywności i innych zapasów. Przeszedłem zapytać, czy potrzebujecie czegoś konkretnego.

– Przydałby się drugi lekarz – rzuciła pół żartem, pół serio.

– Z tego, co słyshałem o Przystani, ta opcja raczej odpada.

Doktor Chen wzruszyła ramionami.

– Prawdziwym jedzeniem też nie pogardzimy. Poprosiłabym o leki i tym podobne, ale wolę nie podawać pacjentom substancji

niewiadomego pochodzenia.

– Żywność jest na pierwszym miejscu. Kupimy tyle, ile się da.

– Przy okazji proszę zadbać, żeby wszyscy, którzy odwiedzą ten księżyc, poddali się po powrocie badaniom. Nie chcemy sprowadzić na pokład nieznanymi chorob.

To była kolejna rzecz, która nie przyszła Nathanowi do głowy. Każda taka sytuacja stanowiła dla niego przypomnienie, jak bardzo nie nadaje się do dowodzenia.

– No tak, zajmę się tym.

*

Choć na pokładzie nie pozostały już żadne zestawy lunchowe, Nathan i Władimir codziennie spotykali się na posiłek. Traktowali to jako pretekst do oderwania się od natłoku zajęć, a Nathan korzystał z okazji, by wypytać o postępy w naprawach bez zmuszania kolegi do sporządzania raportów. Choć Rosjanin był uzdolnionym inżynierem, napisanie choćby kilku zdań szło mu jak krew z nosa. Oczywiście trudno się dziwić, biorąc pod uwagę, ile miał pracy.

Do tego czasu zostały im tylko orzechy i suszone owoce, a nawet te należało oszczędnie rozdzielać. Jednak Cameron, która okazała się całkiem zaradna jako oficer wykonawczy, odkryła, że kapsuły ratunkowe zaopatrzone w liofilizowane racje żywnościowe. Nie należały one do najsmaczniejszych, ale wystarczyło zalać je gorącą wodą, by uzyskać sycące danie. A ponieważ „Aurora” posiadała co najmniej pięćdziesiąt kapsuł i jedynie szczątkową załogę, to rozwiązanie mogło załatwić im trochę czasu. Nathan nie pozwolił ogołocić wszystkich kapsuł – w końcu kiedyś mogły się przydać – więc użyto kombinezonów kosmicznych, aby dostać się do kapsuł ratunkowych w przedniej, wciąż zdehermetyzowanej części okrętu. Dopóki nie skończą napraw, i tak nikt nie mógł ich użyć.

– Co dzisiaj w menu? – Nathan podniósł pakiet z posiłkiem, który Władimir rzucił na stół. Cokolwiek to było, nie wyglądało zbyt apetycznie.

– Jakieś kluski, podobno z mięsem – powiedział Rosjanin, po czym postawił między nimi niewielkie naczynie z wrzątkiem. Nathan oderwał wieczko pojemnika i wlał do środka trochę wody.

– Wszystko będzie lepsze od orzechów i suszonych owoców – stwierdził z przekonaniem, starannie mieszając.

– Miejmy nadzieję. Na pewno nie będzie smakować gorzej niż tamte batony proteinowe.

– No to jak idą naprawy? – To było pytanie, od którego Nathan zawsze zaczynał, bo odpowiedź z reguły zajmowała większość ich krótkiej przerwy na posiłek.

– Powolutku do przodu. Naprawiamy wszystko, co się da, ale część systemów jest tak poważnie uszkodzona, że trzeba by wyprodukować nowe podzespoły. Mamy w hangarze kilka drukarek komponentów i obrabiarek, ale jeszcze ich nie zainstalowaliśmy. Przynajmniej odzyskaliśmy napęd i silniki manewrowe, a większość dział jest sprawna. Nawet te, które nie zostały wcześniej podłączone. To zasługa Danika i Alleta.

– Kogo?

– Dwóch rebelianckich inżynierów – wyjaśnił Władimir. – Jak ich nazywacie, *Karuzari*? Są bardzo dobrzy. Teraz pracują w torpedowni, może niedługo zadziałają autoładowniki na lewej burcie. Wyrzutnie na prawej są poważnie uszkodzone i przez jakiś czas nie da się z nich korzystać.

– Ech, nie miałem racji – powiedział Nathan, krzywiąc się po pierwszym kęsie dania z torebki. – Owoce i orzechy są lepsze.

– Hej, przynajmniej tu jest mięso – zaprotestował Władimir, zajadając się mieszanką. – Chociaż nie umiem rozpoznać, z czego.

– Więc mówisz, że tamci są dobrzy?

– Och tak! Nawet zwiększyli wydajność przesyłu energii do dział. Podnieśli szybkostrzelność o dziesięć procent! Wycisnęliby z nich jeszcze więcej, ale są ważniejsze rzeczy. – Władimir na chwilę przestał napychać usta makaronem. – Wiesz co, nasze systemy wydają im się bardzo proste.

– Cholera, to naprawdę paskudne – stwierdził Nathan. Nie miał pewności, czy da radę dokończyć posiłek.

– Przestań się mazać, jedzenie to jedzenie. Słuchaj, lecicie na powierzchnię Przystani, tak?

– Taki jest plan.

– I co tam będziecie robić?

- Postaramy się o jedzenie i zapasy, a przy okazji zbierzemy informacje. A co?
- Chyba ja też powinienem polecieć.
- Czemu?
- Tobin mówił, że tam kwitnie czarny rynek. Może znajdę jakąś ciekawą technologię? Coś, co by nam się przydało.
- Myślisz, że to możliwe? – Nathan wcześniej na to nie wpadł.
- Warto się rozejrzeć. Przydałoby nam się wiele rzeczy.
- Nie jesteś zbyt zajęty?
- Najważniejsze rzeczy już działają – upierał się Rosjanin – a moi ludzie poradzą sobie beze mnie.
- Aha, no dobrze. Nie widzę przeszkód.
- Chciałbym też zabrać Danika i Alleta. Pomogliby mi namierzyć przydatne technologie. Poza tym to był pomysł Danika.
- Nie jestem pewien, czy możemy wziąć ich obu. Na statku Tobina jest miejsce tylko dla siedmiu pasażerów, a Jessica chce lecieć z obstawą. Ale zgadzam się, że to dobry pomysł. Może uda się zabrać jednego.
- Miałeś rację, Nathan – przyznał Władimir.
- Że warto zabrać jednego z buntowników? To przecież twój pomysł.
- Że te kluski są paskudne.

*

- Sypiasz tutaj? – zapytała Jessica, zauważając poduszki i koc na kanapie gabinetu Nathana. – Przecież masz kabinę.
- Ale za daleko, na pokładzie C. Łatwiej przekimać się tutaj.
- Miałam na myśli kabinę kapitańską, parę kroków stąd.
- Nathan z przerażeniem pokręcił głową.
- Nie, za wcześnie na to – zaprotestował.
- Mięczak – mruknęła i opadła na kanapę. Podobnie jak reszta, niewiele spała przez ostatnich kilka dni.
- Dla ciebie komandor Mięczak, podporuczniku.
- Właśnie o tym chciałam porozmawiać. Nie sądzisz, że szef działu bezpieczeństwa powinien mieć stopień co najmniej porucznika?

– Po co? Chcesz być następną w łańcuchu dowodzenia, jeśli zginiemy ja i Cam?

– Gdzie tam! Po prostu chcę podwyżki.

– Zaczekajmy i zobaczmy, jak długo utrzymasz się na stanowisku.

– Co to niby miało znaczyć?!

– O czym rozmawiacie? – zapytała Cameron, która właśnie weszła do gabinetu.

– O niczym. Jak daleko jesteśmy? – odpowiedział Nathan.

– Trzy godziny lotu od Przystani.

– Miałyście okazję zrobić sobie przerwę i coś zjeść? – Nathan odniósł wrażenie, że żadna z kobiet nie opuściła mostka od ich ostatniego spotkania kilka godzin wcześniej. – Zjedzcie coś obie. A tego makaronu z mięsem nawet nie ruszajcie, dobrze radzę – dodał, siadając za biurkiem. – Macie jakieś przemyślenia odnośnie do listy zakupów?

– Żywność jest oczywiście na szczycie listy – zaczęła Cameron. – Jeden z techników od systemów podtrzymywania życia zasugerował, żebyśmy oprócz tego poszukali przypraw. Zanim się zaciągnął, pracował jako kucharz. Skoro mamy gotować lokalne jedzenie, warto mieć też tutejsze przyprawy.

– No tak. Doktor Chen wspomniała, że na powierzchni mogą istnieć choroby, na które nasz układ odpornościowy nie jest gotowy. Zaleciła ostrożność i badania kontrolne po powrocie. Więc tak sobie pomyślałem, że trzeba by sprawdzić wszystkie produkty, które zabierzemy na pokład.

– Zgadzam się – powiedziała Cameron.

– Dała mi też listę farmaceutyków, za którymi warto się rozejrzeć – dodał Nathan. – Antybiotyki, leki przeciwbólowe, tego rodzaju podstawowe rzeczy. W ambulatorium mieliśmy standardowe zapasy na czas pokoju, ale rannych jest tylu, że te środki są na wyczerpaniu. Dwóch ludzi umarło z powodu braku antybiotyków.

– Naprawdę myślisz, że znajdziemy coś, co będzie bezpieczne w użyciu? – zastanowiła się Cameron.

– Oni są ludźmi, tak jak my, więc pewnie mają podobne lekarstwa. Zresztą ich technologia jest pod niektórymi względami bardziej zaawansowana, więc może medycynę też mają bardziej rozwiniętą.

– Miejmy nadzieję – mruknęła Jessica.

– No nie wiem – zaproponowała Cameron. – To brzmi ryzykownie.

– Doktor Chen też jest sceptycznie nastawiona. Prawdę mówiąc, musiałem ją przekonać do tego pomysłu. Ale nie wiemy, jak długo będziemy z dala od Ziemi ani kiedy następny raz nadarzy się taka okazja.

– Coś jeszcze? – zapytała Cameron, robiąc notatki na datapadzie.

– Tak. Władimir chce lecieć z nami i poszukać na czarnym rynku przydatnych technologii.

Jessica, która do tej pory niezbyt uważnie przysłuchiwała się rozmowie, zaprotestowała:

– Hej, to chyba nie najlepszy pomysł. Może być niebezpiecznie, tym bardziej że Władimir niezbyt się nadaje na takie akcje. Jest zbyt przyjacielski i gadatliwy, wiesz?

– Chce zabrać rebelianckich inżynierów w roli przewodników. Ma do nich wielkie zaufanie.

– To też mi się niezbyt podoba – ostrzegła Jessica. – Niewiele z nimi rozmawiałam. Jeśli są choć trochę podobni do swojej koleżanki, nie ufam im.

– Może masz rację – przyznał Nathan – ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że to dobry pomysł. Dzięki znajomości lokalnej oraz naszej technologii będą nieocenieni. Chyba opłaca się zaryzykować.

– A w ogóle wystarczy dla nich miejsca? – zapytała Cameron.

– No cóż, Tobin mówił, że statek pomieści siedmiu pasażerów. Może darujemy sobie część obstawy?

– Nie ma mowy – powiedziała Jessica. – Wolę zabrać marines niż jakichś podejrzanych buntowników.

Nathana trochę zdziwiła taka opinia o rebeliantach, choć rozumiał punkt widzenia Jessiki. Znała się na takich sprawach, więc wolał słuchać jej rad.

– Dobrze, zatrzymaj swoich dwóch ludzi. Każę Władimirowi zabrać tylko jednego.

W tym momencie rozległ się sygnał komunikatora.

– Kapitanie, tu mostek – odezwał się oficer łączności.

– Słucham.

– Mamy wiadomość z Przystani, sir. Centrum kontroli lotów.

– W porządku, wezwijcie na mostek Jaleę i Tobina. Zaraz przyjdę.
– Rozłączył się. – Więc jak, ustalone? – Jessica z rezygnacją wzruszyła ramionami, a Cameron tylko skinęła głową. – Świetnie. Zobaczmy, czego chcą.

Nathan, Cameron i Jessica wkroczyli na mostek. Oficer łączności odtworzył wiadomość przez głośnik.

– „Volander”, tu centrum kontroli lotów, zgłoście się.

Wiadomość powtarzała się z identyczną intonacją, co sugerowało, że jest zapętlonym nagraniem. Nathan już miał odpowiedzieć, gdy na mostek weszli Tobin i Jalea.

– Kapitanie, może lepiej ja z nimi porozmawiam – wtrącił się Tobin.

Nathan spojrział na Jaleę, która kiwnęła głową, i na Jessicę, która wzruszyła ramionami.

– Dobrze.

Tobin podszedł do stanowiska łączności i zaczekał, aż oficer otworzy kanał.

– Kontrola lotów, tu „Volander”.

– „Volander”, czemu nie odpowiedzieliście od razu? – w głosie kontrolera dało się słyszeć zniecierpliwienie, które niepokoiło stojących tuż obok Nathana i Jessicę.

– Przepraszam, ale w trakcie podróży nasza antena uległa uszkodzeniu.

– „Volander”, proszę podać cel przylotu.

– Chcemy pozyskać surowce z pierścieni i kupić zapasy od tutejszych kupców.

– Przyjąłem. Będziecie potrzebowali lokalnej ekipy?

– Tak, będziemy.

– Rozumiem. Proszę podać swój limit, a my przydzielimy wam miejsce.

– Zaraz go wyślemy. Bez odbioru. – Tobin zwrócił się do kapitana.
– To powinno załatwić sprawę.

– Kto to jest „Volander”? – zapytała Jessica.

– Statek, który pierwotnie korzystał z kodu wprowadzonego przeze mnie do transpondera. Zaginął wiele miesięcy temu.

– O jaki limit pytali? – chciał wiedzieć Nathan.

– O maksymalną ilość urobku, jaką zamierzamy wydobyć z pierścieni. Na jej podstawie oblicza się opłatę uiszczaną przy odlocie. Standardowa ilość to kilkaset tysięcy ton.

– To chyba sporo – zauważył Nathan.

– Jeśli podamy za małą liczbę, zrobią się podejrzliwi. A jeśli za dużą, trudno będzie tyle zapłacić – ostrzegł Tobin.

Nathanowi nie podobał się ten układ. Był pewien, że Tobin zarobi na tym więcej, niż chciał przyznać, ale stwierdził, że nie ma sensu poruszać tego tematu, przynajmniej na razie. Spojrzał na Jessicę, która chyba myślała tak samo, sądząc z jej miny.

– Dobrze. Podaj ilość, jaką uznasz za stosowną.

– Przekaż kontroli lotów, że nasz limit wydobycia to trzysta tysięcy ton – rzucił Tobin do oficera łączności, po czym zwrócił się do Nathana. – Wydobycie, przetworzenie i sprzedanie takiej ilości nie powinno potrwać dłużej niż dwa dni.

– Można później zwiększyć ilość, jeśli będzie trzeba?

– Tak, choć to pewnie wzbudziłoby podejrzenia.

– Przysłali wytyczne nawigacyjne, sir – zameldował oficer łączności.

– Proszę je wysłać do stanowiska nawigatora, podporuczniku.

Cameron usiadła przy konsoli, żeby wytyczyć kurs.

– Przydzielili nam gęsty fragment pierścienia, kapitanie, niezbyt daleko księżyc. To chyba niezłe miejsce na kryjówkę.

– Świetnie. Lećmy, Cam. – Nathan odwrócił się w kierunku Tobina.

– Więc jak to się odbędzie? Teraz sprowadzisz na pokład robotników?

– Bez obaw, kapitanie. Bardzo mała część statków przylatuje tu z własnym sprzętem i górnikami. Na Przystani jest mnóstwo ekip do wynajęcia. Sprowadzą tu swoje jednostki i robotników. Statek wydobywczy będzie zbierał surowce i wyładowywał je w hangarze, gdzie zostaną posortowane i spakowane. To powszechna praktyka, przylatują tu jednostki z całego kwadrantu. Pierścienie obfitują w cenne metale i lód wodny. To rzadkie i wyjątkowe połączenie, jak wkrótce sami się przekonacie.

Nathan pokiwał głową na znak, że rozumie.

– Wszystko wprowadziłaś do komputera? – zapytał Cameron.

– Kurs wytyczony i gotowy.

– Ja siądę za sterami. Ty idź odpocząć i coś zjeść. Pod moją nieobecność będziesz dowodziła, więc możliwe, że to twoja ostatnia przerwa na długi czas.

– Dobrze. Wezmę prysznic i zjem obiad – powiedziała Cameron i wyszła.

– Niezły pomysł – zgodziła się Jessica. – Chyba zrobię to samo.

– Prawdę mówiąc – wtrącił się Tobin – tam, dokąd lecimy, zbytnia higiena może przyciągać uwagę. Zalecam, aby wszyscy, których zabieram na powierzchnię, powstrzymali się od kąpieli.

– Dobrze wiedzieć – powiedział Nathan.

– Jeśli to już wszystko, pójdę przygotować statek – oznajmił Tobin. Odczekał chwilę, a kiedy nikt nie zaproponował, odwrócił się i wyszedł.

Nathan popatrzył na Jaleę, która milczała przez cały ten czas.

– Twoim zdaniem poszło jak należy?

Z początku zrobiła zdezorientowaną minę, ale zaraz domyśliła się, o co mu chodzi.

– Tak się tutaj załatwia sprawy – zapewniła go. – Dopóki nie będziemy przyciągać uwagi, nie spodziewam się komplikacji.

Nathan pokiwał głową. Jalea podążyła za Tobinem.

– Chciałabym być tak mocno przekonana, że wszystko pójdzie gładko – mruknęła Cameron, kierując się do wyjścia. – Dobra, chodźmy stąd, Jessica. Zjedzmy coś.

– To będzie długi i śmierdzący lot – powiedziała Jessica.

*

– Spróbujmy tych racji, które wyjęli z kapsuł – zaproponowała Jessica, kiedy dogoniła Cameron na korytarzu. Podobnie jak wszyscy, miała dosyć orzechów i suszonych owoców. Zaraz jednak zauważyła, że Cameron ma poważniejszy wyraz twarzy niż zwykle.

– Co cię gryzie?

– Martwi mnie wasza wyprawa.

– Niepotrzebnie. Lądujemy, robimy zakupy, zadajemy kilka kluczowych pytań i dupa w troki. Zwykła wycieczka – zapewniła Jessica.

– Nie o ciebie się martwię, tylko o Nathana, albo raczej jego i Jaleę. Nie podoba mi się, że ona ma na niego wpływ. Nie ufam jej.

– Wiadomo, a kto jej ufa?

– Nathan – powiedziała Cameron.

– Wcale nie. A przynajmniej nie w takim stopniu, jak myślisz. On tylko udaje naiwnego, a w rzeczywistości zna się na ludziach.

– No wiem. Ale też często działa bez namysłu. Z tego, co słyszałam, Przystań nie jest miejscem dla impulsywnych osób.

– Bez obaw. Będę go pilnować. – Cameron nie odpowiedziała. – Mówię poważnie, Cam. Od tego jestem, prawda? Nie leci sam. Będzie miał w obstawie dwoje ludzi z operacji specjalnych, marine i byłego żołnierza. – Cameron spojrzała na Jessicę, nie rozumiejąc. – Och, nie wiedziałaś? Władimir przez cztery lata służył w piechocie, zanim wstąpił do akademii. Więc sama widzisz, że nie ma powodu do obaw. W razie kłopotów Przystań nie będzie wiedziała, co ją trafiło!

Cameron nie wiedziała, jak bardzo Jessica pali się do pracy w terenie, więc trochę zdziwił ją ten entuzjazm.

– Tylko nie pozwól, żeby szlajał się bez eskorty albo, co gorsza, sam na sam z Jaleę. Nadal jej nie ufam.

– Załatwione. Nie spuszczę kapitana z oczu dwadzieścia cztery na siedem – zażartowała Jessica. – Chwila, w zasadzie to ile godzin ma tutejsza doba?

Cameron zatrzymała się.

– Mówię poważnie, podporuczniku – powiedziała, patrząc Jessice prosto w oczy, poirytowana jej lekceważącym podejściem. – Masz za nim chodzić jak cień. Zrozumiano? – rozkazała.

Przez chwilę obie kobiety w milczeniu mierzyły się wzrokiem, aż wreszcie odezwała się Jessica:

– Możemy już iść?

W kąciu ust Cameron pojawił się cień uśmiechu. Odwróciła się i ruszyła korytarzem w kierunku stołówki.

2

– Pomożesz mi? – poprosił Nathan, gdy tylko Cameron weszła na mostek. – Robi się tłoczno.

Usiadła obok niego przy stanowisku nawigatora.

– O cholera! – wykrzyknęła. Nigdy nie widziała na ekranie tylu trajektorii. – Naprawdę przylatuje tu mnóstwo ludzi.

Nathan nie słuchał, w pełni skupiony na pilotowaniu. W najbliższej okolicy znajdowało się co najmniej pół setki jednostek i choć odległości między nimi były ogromne, prędkość statków sprawiała, że kilka sekund dekoncentracji mogło przynieść opłakane skutki.

– Proponuję zachować spory odstęp od pierścieni, dopóki nie znajdziemy się nad wyznaczonym miejscem – powiedziała podporucznik Yosef zza stanowiska obsługi czujników. – Nad płaszczyznę pierścieni dryfuje wiele pojedynczych skał, które trudno wykryć aż do ostatniej chwili.

– Ile do orbity synchronicznej? – zapytał Nathan.

– Dwie minuty – odpowiedziała spokojnie Cameron.

– Zawiśniemy wysoko nad wyznaczonym miejscem. Kiedy znajdziemy się na orbicie synchronicznej, powoli przekierują nas w kierunku pierścienia.

– Przyjęłam.

Cameron uważnie monitorowała tempo hamowania, upewniając się, że komputer pokładowy dopasuje pracę silników do prędkości orbitalnej ich wyznaczonej pozycji. Choć nadal przemieszczali się ze sporą szybkością, było to wręcz ślimacze tempo w porównaniu z prędkością obrotową gazowego olbrzyma pod nimi.

– Minuta – oznajmiła Cameron.

– Od rufy zbliża się statek, lekko po prawej burcie – ostrzegła Jessica. – Kontakt wizualny za pięć minut.

Ostatnie, czego chcieli, to żeby ktoś im się dobrze przyjrzał. Choć „Aurora” posiadała mniej agresywny wygląd niż stare jednostki, mimo wszystko bardziej przypominała okręt wojenny niż

frachtowiec. Nawet przy schowanym uzbrojeniu każdy, kto miał choćby szcątkowe pojęcie o budowie pojazdów kosmicznych, powinien się zorientować, że nie są bezbronni. A nawet gdyby to przeoczył, uwagę przyciągały uszkodzenia.

– Chyba trzeba obniżyć lot szybciej, niż planowałem – powiedział Nathan. – Lepiej, żeby nikt nas nie zobaczył bezpośrednio.

Cameron nie odpowiedziała. Rozumiała jego tok myślenia. Z jednej strony, pierścienie były bardzo gęstymi skupiskami skał i wolałyby nie wlatywać w nie ze sporą prędkością. Ale z drugiej, gdyby ktoś dobrze przyjrzał się „Aurorze” i zgłosił podejrzaną jednostkę rodzinie kontrolującej układ, groziłoby im jeszcze większe niebezpieczeństwo.

– Jesteśmy na orbicie synchronicznej – zameldowała.

– Przeskanuj otoczenie bezpośrednio pod nami, Kaylah! – zawołał Nathan. – I od razu mnie ostrzeż, jeśli wykryjesz duży obiekt na kursie kolizyjnym.

– Tak jest – odpowiedziała podporucznik.

– Schodzimy niżej.

Nathan odpalił silniki dokowania, rozpędzając okręt prostopadle w dół, w kierunku pierścieni. Utrzymał ciąg dłużej niż zwykle i nabrał większej prędkości, niż ktokolwiek uznałby za rozsądne – zwłaszcza Cameron.

– Spokojnie, Nathan, zwolnij.

W jej głosie pobrzmiwał strach. Rzadko reagowała emocjonalnie, szczególnie podczas lotu. Jednak biorąc pod uwagę prędkość opadania „Aurory”, było to zrozumiałe, choć odrobinę niespodziewane.

– Dwieście metrów do przodu, szybko! – rzuciła Kaylah.

Nathan nawet nie pytał o powód, wystarczył nagłący ton. Znowu odpalił silniki dokowania.

– Jeszcze sto pięćdziesiąt – dodała Kaylah. – Lekko w prawo.

– Teraz widzę – zameldowała Cameron. Gdy tylko usłyszała zalecenie podporucznik Yosef, zmieniła widok na wyświetlaczu, aby ukazywał najbliższe otoczenie okrętu, czyli małe i średniej wielkości skały tworzące pierścienie Przystani. – Strasznie gęsto.

– Jak daleko jesteśmy?

– Dwa kilometry. Skręć o dwa stopnie w lewo.

– Skręcam. – Nathan znów musnął drążek sterowniczy.

– Tak dobrze. – Cameron patrzyła na ekran, gdzie pojawiały się kolejne szczegóły chmury odłamków. – Może lepiej obniżyć dziób, zamiast zniżać nas prostopadle do pierścieni?

– Spód okrętu jest mocniej opancerzony – zaproponował Nathan.

– Może i tak, ale lecąc dziobem do przodu, zmniejszamy ryzyko kolizji. A nawet jeśli w coś uderzymy, to pod mniejszym kątem, więc uszkodzenia będą mniej poważne.

– Obniżam dziób – odpowiedział bez wahania. Choć w tym momencie uszło to jego uwadze, Cameron zasugerowała alternatywne podejście bez kłótliwego tonu, a on instynktownie i bez namysłu posłuchał jej rady.

Wcześniej, podczas szkolenia, nie potrafili skutecznie współpracować. Mieli zupełnie różne style działania. I wbrew temu, co mówił komandor Roberts – że będą się dopełniać, tworząc idealną ekipę lotniczą – praktycznie nie byli w stanie razem pilotować i nawigować, nie skacząc sobie do gardeł.

Jednak wydarzenia ostatnich paru dni kazały im odłożyć różnice i niesnaski na bok. Szkolenie dobiegło końca. Teraz walczyli o przetrwanie. Choć okoliczności sprawiły, że to Nathan został dowódcą – czego Cameron nadal nie mogła przeboleć – najwyraźniej zaczęli się dogadywać. „Komandor Roberts byłby dumny” – pomyślał Nathan.

– Kilometr – powiedziała Cameron.

Nathan opuścił dziób „Aurory”, która teraz sunęła lotem nurkowym w kierunku pierścienia.

– Jak daleko jest tamten statek? – zapytał Jessicę.

– Kontakt wizualny za minutę – zameldowała.

– Kiedy znajdzie się w zasięgu wzroku, będzie nad nami czy pod nami?

– Hm? Myślę, że mniej więcej na tym samym poziomie. – Jessica nie spodziewała się tego pytania.

– Kiedy wlecimy między skały? – tym razem zwrócił się do Cameron.

– Za półtorej minuty.

– Zero presji – mruknął do siebie.

„Aurora” leciała w stronę pierścienia, a tymczasem nieznana jednostka była coraz bliżej. Wszystko sprowadzało się do zgrania w czasie. Musieli ukryć się wśród skał, zanim tamci zdążą im się przyjrzeć. Nathan najchętniej odpaliłby główny napęd i ostro przyspieszył, ale to byłoby nie tylko szalenie ryzykowne, ale również podejrzone.

– Minuta – powiadomiła go Cameron.

– Niezidentyfikowana jednostka będzie w zasięgu wizualnym za trzydzieści sekund – zameldowała Jessica.

– Jak wyglądamy, Kaylah? – zapytał Nathan, nie odrywając wzroku od konsoli.

– Pokazujemy tylko wąski profil, sir.

– Chyba miałaś rację – mruknął do Cameron, która zamiast odpowiedzieć, rzuciła mu przelotne spojrzenie i uśmiechnęła się ledwo zauważalnie.

– Kontakt wizualny za dwadzieścia sekund – oznajmiła Jessica.

– Cam, nic się nie stanie, jeśli nas przechyle?

– Yy, no nie, możesz tak zrobić. Ale po co?

Nathan lekko wychylił drążek.

– Odwrócę nas „brzuchem” w ich kierunku – wyjaśnił, zadowolony z siebie.

„Aurora” zaprezentowała przelatującej jednostce spodnią stronę kadłuba, która była pozbawiona cech szczególnych.

– Wchodzimy w pierścień – zameldowała Cameron. – Nathan, możesz zacząć hamowanie.

– Jeszcze kilka sekund.

Choć pierścienie były gęstym skupiskiem skał, miały zaledwie kilometr grubości. Ostatnie, czego Nathan sobie życzył, to przelecieć na wylot i wyłonić się po drugiej stronie, gdzie przebywało nie wiadomo ile jednostek. Wreszcie, w ostatniej chwili, odpalił z pełną mocą silniki hamowania, szybko redukując prędkość okrętu, by w końcu zatrzymać się wewnątrz pierścieni Przystani. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

– Stoimy – zameldowała Cameron. Jej palce zatańczyły po konsoli, wprowadzając komendy i otwierając zestawienia danych. Po chwili dodała: – Znajdujemy się na orbicie synchronicznej, w miejscu o wyznaczonych współrzędnych.

Nathan wstał ze stanowiska pilota.

– Jessica, chyba musimy lecieć. – Zwrócił się do Cameron: – „Aurora” jest twoja, komandorze poruczniku.

– Tak jest – odpowiedziała Cameron, odprowadzając go wzrokiem. Jessica zasalutowała żartobliwie i puściła do niej oko.

*

Gdy Nathan i Jessica weszli do hangaru, silniki statku Tobina pracowały na wolnych obrotach. Władimir, podporucznik Mendez i sierżant Weatherly czekali obok. Wszyscy nosili nieoznakowane kombinezony, które rozpaczliwie domagały się prania – zgodnie z sugestią, żeby nie wyglądali na zbyt czystych.

– Barwna z nas gromadka. Gdzie twój przewodnik po technologii? – zapytał Nathan.

– W środku, z Tobinem i Jaleą – odpowiedział Władimir.

– Którego w końcu bierzesz?

– Danika. Allet nie chciał lecieć. Chyba nie lubi Przystani.

– To bardzo zachęcające – powiedział Nathan.

W tym momencie po rampie zszedł Tobin.

– Wszyscy na miejscu? – zapytał.

– Tak. Jak wyglądamy? – odpowiedział Nathan.

– Chyba jak każda inna załoga frachtowca. Brakuje tylko opończy, ale załatwię je dla was. Wiele osób nosi je dla ochrony przed warunkami, jakie panują na Przystani. Macie krótsze włosy niż większość mieszkańców, ale poza tym się nie wyróżniacie.

– A ja myślałem, że potrzebuję strzyżenia – zażartował Enrique, podążając za Tobinem.

Weszli gęsiego, Nathan na końcu. Wnętrze było ciasne. W kabinie pasażerskiej znajdowało się sześć miejsc, po trzy na każdej z burt. Siedziało się twarzą do środka. Na grodzi był właz prowadzący do niewielkiej ładowni, a po przeciwnej stronie wejście do kokpitu.

Nathan usadowił się przy ładowni, naprzeciwko Jalei. Siedzenia były sztywne i niezbyt wygodne, ewidentnie niezaplanowane z myślą o długich podróżach. Wyposażono je w pasy, które pamiętały lepsze czasy. Nathan zauważył, że siedzący w kokpicie Tobin nie zawracał sobie głowy uprzężą, więc uznał, że nie ma

potrzeby ich używać. Utwierdził go w przekonaniu fakt, że Jalea też się nie przypięła.

Dźwięk pracujących silników zrobił się głośniejszy, a zewnętrzny włącz podniósł się i zamknął z sykiem skompresowanego powietrza. Teraz znacznie słabiej słyszeli wizg silników, ale po wibracjach dało się poznać, że te pracują jeszcze intensywniej. Statek zaczął kołować i zawracać.

Przez okienko we włazie Nathan widział wnętrze kokpitu. Za przednią szybą zobaczył wrota śluzy, do której właśnie wjechali. Musieli odczekać parę minut, aż śluza opróżni się z powietrza.

Kiedy tak się stało, statek zaczął ponownie kołować. Wytoczył się ze śluzy transferowej do zewnętrznej komory hangaru i dotarł na skraj pokładu startowego, wyłaniając się spod zadaszenia. Wnętrze kabiny zalała upiorna poświata – odbite od gazowego olbrzyma światło w odcieniach brązu, czerwieni i pomarańcza.

Stateczek odpalił niewielkie silniki manewrowe i szybko oderwał się od „Aurory”. Z donośnym szcęknięciem schowało się podwozie. Kiedy przyspieszali, przez okienko mignęły im uszkodzenia, jakich okręt doznał w ciągu ostatnich bitew z Jungami i Takaranami. Dla Nathana był to przykry widok. Ucieszył się, że nie przelecieli nad lewą burtą, gdzie w kadłubie ziała ogromna wyrwa.

Mijali odłamki skalne o najróżniejszych rozmiarach i kształtach. W ciągu kilku minut stateczek wyłonił się z pierścieni i ruszył w stronę dużego księżyca zwanego Przystanią. Kiedy lecieli, Nathan mógł obserwować rozmaite statki wydobywające surowce z ogromnego skupiska fragmentów skał i lodu. Najmniejsze z jednostek były porównywalne ze statkiem Tobina, a największe przewyższały rozmiarem ziemskie okręty wojenne.

Nathan poczuł, jak serce bije mu coraz szybciej i podchodzi do gardła. Opuścił znajome wnętrze „Aurory” na rzecz maleńkiego obcego stateczku. Znajdował się tysiąc lat świetlnych od domu i oglądał rzeczy, o których Ziemianie nie mieli pojęcia. Spojrzał na Władimira. On, podobnie jak reszta, z niedowierzaniem wyglądał przez okno.

– Niesamowite – powiedział cicho Nathan.

– Tyle różnych jednostek! – wykrzyknął Władimir.

– I wszystkie lepiej uzbrojone – dodała Jessica, zerkając na Tobina, żeby sprawdzić, czy tamten ich słyszał. – Lepiej trzymaj język za zębami. Nie ma sensu pokazywać, że to wszystko jest dla nas nowe.

Nathan poczuł się okropnie naiwny, a Władimir tylko wzruszył ramionami i nadal wyglądał przez okno.

– Hej, zauważyliście, że te wielkie statki trzymają się z daleka od Przystani? – zauważył sierżant Weatherly, gdy zbliżyli się do brunatno-niebieskiego księżyca. – Podlatują tylko małe.

– Te większe to głównie statki towarowe – wytłumaczył Nathan. – Pewnie nie mogą zbyt często zmieniać orbity, zwłaszcza z pełnym ładunkiem. Pilotowanie takiej maszyny jest trudniejsze. Trzeba oszczędzać każdą odrobinę paliwa i energii kinetycznej. Spójrzcie na ich główne silniki. Są niewielkie, ale wyposażone w ogromne zbiorniki paliwa. Zaprojektowano je z myślą o długiej pracy z niską mocą.

– To dlatego „Aurora” ma tak wielki tyłek? – zażartował Enrique.

– Prawdę mówiąc, tak. I cały ten tyłek to silnik. Ona potrafi być naprawdę szybka, kiedy trzeba.

– Enrique lubi duże tyłki – powiedziała z uśmiechem Jessica.

– Tak? – zapytał Nathan.

– No i właśnie dlatego cię nie podrywam – odciął się Enrique. – Nie masz tyłka!

– Mam, tylko mój nie jest wielki jak szafa trzydrzwiowa.

Nathan uśmiechnął się, gdy wróciło wspomnienie sprzed kilku tygodni – odbicie Jess w lustrzanych płytkach, gdy zakładała suknię po ich krótkiej chwili intymności.

– Zaraz będziemy zniżać lot! – zawołał Tobin z kokpitu. – Może zatrząść, kiedy wejdziemy w atmosferę. Obawiam się, że amortyzatory inercyjne nie są zbyt skuteczne.

– Dzięki za ostrzeżenie – odpowiedział Nathan. – Nic nam nie będzie.

Większość promów, jakimi latał podczas nauki w akademii, nie posiadała amortyzatorów inercyjnych. Z początku był przerażony. Wprawdzie nigdy do końca nie przywykł do turbulencji, ale nauczył się je tolerować. Najgorsze zawsze były strumienie plazmy – smugi białopomarańczowego ognia za oknem potrafiły wystraszyć

każdego. Zawsze miało się wrażenie, że zaraz wedrą się do kabiny i spopielą wszystkich.

Statek przechylił się lekko, dzięki czemu mieli lepszy widok. Przystań była o połowę mniejsza od Ziemi i z orbity znacząco się od niej różniła. Przede wszystkim kolorem – była głównie brązowa z plamami szarości i zieleni. Większość powierzchni zajmował suchy ląd, a nieliczne akweny wydawały się niczym przy ziemskich oceanach. Dostrzegli też kilka mniejszych i większych łańcuchów górskich, lasów o dziwnych barwach i mnóstwo równin. Bieguny pokrywał śnieg. Większość powierzchni wyglądała na pozbawioną życia, a widoczna z orbity roślinność zdawała się dziwna i jakby blada. Spora część równin miała jasnobrązowy kolor, który kojarzył się z piaszczystymi plażami Ziemi. Nathan zwrócił też uwagę na kilka aktywnych wulkanów, z których wyciekała lawa. Pierwsze wrażenie było takie, że Przystań stanowi osobliwą mieszankę gościnnego świata i piekła.

Widziany przez okna księżyc rósł, aż znalazł się niepokojąco blisko.

– Nie powinniśmy już wyrównać lotu? – skomentował Nathan. Był jedynym pilotem w towarzystwie, więc odpowiedziały mu tylko spojrzenia.

Po kilku chwilach z pomieszczenia na tyłach statku zaczął dobiegać głośny pomruk, a po kilku sekundach jednostkę otuliła dziwna, niebieskawa poświata.

– To jakaś tarcza? – domyślił się Władimir.

Statek zaczął drzeć i lekko podskakiwać, a białobłękitna poświata powoli zmieniała kolor na bursztynowy. Po minucie wstrząsy nasiliły się. Teraz pole wokół jednostki świeciło intensywnym żółtopomarańczowym blaskiem, który niemal zupełnie przesłonił widok na powierzchnię.

– Ta tarcza chyba chroni nas przed temperaturą – stwierdził Nathan.

– To w ogóle możliwe? – zapytał Władimir.

– Najwyraźniej. To by wyjaśniało, czemu nie musieliśmy skierować dziobu w stronę powierzchni.

Nathan nie wierzył własnym oczom. Każdy pojazd kosmiczny, jaki widział, posiadał ochronną warstwę termiczną, nawet „Aurora”. Jej

spodnia część była wzmocniona i pokryta specjalną osłoną, która umożliwiała tymczasowy lot w atmosferze oraz hamowanie aerodynamiczne. Jednak takie materiały zwykle zwiększały masę jednostki, a także koszt i stopień skomplikowania procesu produkcyjnego. Z tego powodu energetyczna tarcza chroniąca przed nagrzewaniem przy wejściu w atmosferę stanowiła wysoce przydatną technologię, którą warto by było zabrać na Ziemię.

Rozważania o jej niezliczonych zastosowaniach przerwały Scottowi coraz silniejsze wstrząsy. Choć tarcza chroniła kadłub przed gorącem, najwyraźniej nie zmniejszała turbulencji. Było jeszcze gorzej, niż kiedy Nathan ostatnio wchodził w atmosferę Ziemi. Zawsze uważał, że jedną z zalet przebywania w pustce kosmosu jest brak turbulencji. Kiedy uczył się pilotować różnego rodzaju statki powietrzne, nie przeszkadzały mu aż tak bardzo, ponieważ to on siedział za sterami. Ale kiedy był pasażerem, żołądek zaciskał mu się w supeł.

Popatrzył na twarze swoich ludzi. Przed paroma chwilami przekomarzali się, ale teraz mieli poważne miny. Pewnie też zadawali sobie pytanie, czy stateczek się nie rozpadnie.

Po kilku minutach wstrząsy ustały równie nagle, jak się zaczęły. Tarcza energetyczna znów stała się bursztynowa, potem białobłękitna, aż wreszcie zniknęła, a wraz z nią ucichł pomruk generatora pola ochronnego.

Jakiś czas po wejściu w atmosferę Tobin wyrównał lot. Znajdowali się parę kilometrów nad niewielkim śródlądowym morzem i zmierzali w stronę wybrzeża. Statek stopniowo obniżał pułap, w miarę jak zbliżali się do linii brzegowej. Po kilku minutach lecieli już nad lądem, na wysokości kilkuset metrów. W dole widzieli farmy i rancza, tu i ówdzie upstrzone gęstszymi skupiskami budynków. Kierowali się do dużego miasta.

Jasnobrązowe plamy, które z kosmosu przywodziły na myśl plaże, okazały się roślinnością pokrywającą setki metrów kwadratowych terenu. Trudno było poznać, czy to jedna wielka, płaska roślina, czy wiele mniejszych, połączonych w pojedynczy twór. Nathan zauważył też ludzi, którzy ciąli płaską roślinę na mniejsze kawałki i wrzucali je na duże, pojazdy.

Farmy szybko ustąpiły miejsca zabudowaniom miejskim. Statek nadal schodził niżej, aż wreszcie znalazł się zaledwie sto metrów nad powierzchnią. Zbliżali się do portu kosmicznego. Tobin rozmawiał z kimś przez radio, Nathan po oficjalnym tonie domyślił się, że z kontrolerem lotu. Bądź co bądź, niebo nad portem było pełne lądujących i startujących jednostek, a ktoś musiał kierować ruchem.

Z powietrza port kosmiczny stanowił mozaikę lądowisk, hangarów i budynków serwisowych połączonych pasami startowymi, drogami kołowania i pozostałą infrastrukturą. Mniej więcej pośrodku znajdował się kompleks wielu budynków otaczających coś, co wyglądało na terminal główny. Kosmoport Przystani, choć przypominał swoje liczne ziemskie odpowiedniki, sprawiał wrażenie, jakby z początku był niewielki i rozrastał się z upływem czasu. W przeciwieństwie do portów kosmicznych, jakie znał Nathan, ten tkwił w samym sercu miasta, które najwyraźniej wyrosło wokół niego. Budynki mieszkalne, sklepy i punkty usługowe tuliły się do granic kompleksu, a Nathan zastanawiał się, jak można żyć w tak hałaśliwym sąsiedztwie.

Wreszcie statek zwolnił, odbił w prawo i zaczął zniżać lot, kierując się na wyznaczone lądowisko. Przez zawrozcenie silników, z wysiłkiem utrzymujących jednostkę w powietrzu, Nathan usłyszał dźwięk wysuwanego podwozia. Po kilku chwilach statek osiadł na platformie lądowiska, którą wykonano z wytrzymałej kraty o grubych prętach, osadzonej na wysokości kilku metrów z uwagi na strumienie gazów wylotowych. Gdy tylko podwozie dotknęło kraty, silniki przycichły.

Statek potoczył się po rampie, zjechał z platformy i znalazł się na asfaltowej drodze, która wiła się między miejscami postojowymi. Większość była niezadaszona i oddzielona jedynie budynkami serwisowymi, podczas gdy inne posiadały wiaty. Kiedy podchodzili do lądowania, Nathan widział szereg hangarów, ale tutaj nie było ani jednego.

Nathan popatrywał przez okno, kiedy mijali dziesiątki pojazdów kosmicznych. Niektóre wyglądały na zbyt zdezelowane, by w ogóle dotrzeć na orbitę. Niektóre szykowano do odlotu, inne właśnie serwisowano, a niektóre najwyraźniej nie działały od dłuższego

czasu. Kilka z jakiegoś powodu tymczasowo otoczono ogrodzeniem. Nathanowi przypomniały się słowa Tobina o rodzinie kontrolującej Przystań. Był ciekaw, czy właściciele uziemionych statków nie uregulowali należności i w efekcie stracili dostęp do swoich maszyn.

Kilka minut później statek ostro skręcił i wjechał między dwa podłużne budynki serwisowe. Dwóch mężczyzn w brudnych kombinezonach roboczych wyjrzało przez okno jednego z nich i patrzyli, jak Tobin zatrzymuje się i wyłącza silniki. Po chwili pilot zdjął zestaw słuchawkowy i wstał z fotela.

– Witajcie na Przystani – oznajmił.

Przecisnął się między nimi, dotarł na drugi koniec kabiny pasażerskiej, po czym wstukał kod na klawiaturze numerycznej przy drzwiach w tylnej grodzi. Dalej znajdował się wąski korytarz z półkami i wieszakami po obu stronach. Tobin wyciągnął rękę i sięgnął po wiszące na ścianach jasnobrązowe opończe.

– Ej! Ręce na widoku! – krzyknęła Jessica. Zerwała się z miejsca, dobyteła broni i wycelowała w niego. Enrique stanął krok za nią.

– Co jest, do cholery?! – zawołał Nathan. Wszyscy jego podwładni, nawet Władimir, sięgnęli po broń. – Powinienem o czymś wiedzieć?

– Odsuń się od tego! – warknęła Jessica. – Ręce nad głowę!

Tobin uniósł dłonie i powoli odsunął się od wieszaka, po czym odwrócił się do Jessiki.

– Ja tylko brałem opończe – zapewnił najbardziej czarującym i niewinnym tonem, na jaki potrafił się zdobyć.

Jessica zerknęła przez ramię, upewniając się, że ma wsparcie pozostałych. Podeszła do Tobina, chwyciła go za kołnierz i przycisnęła twarzą do ściany. Enrique zrobił krok w lewo, żeby mieć czystą linię strzału.

– O co chodzi? – dopytywał się Nathan.

Jessica odwróciła się i odsunęła opończe, odsłaniając stojak na broń z kilkunastoma pistoletami, karabinami szturmowymi, granatami i czymś, co wyglądało na ręczną wyrzutnię rakiet.

– Podobno nie jesteś uzbrojony – syknęła ze złością.

– W hangarze mówiłem, że nie mam przy sobie broni, a nie, że jej w ogóle nie posiadam – odparł na swoją obronę Tobin.

– Ta, jasne – mruknęła Jessica, lustrując jego ukryty arsenał. – Pewnie dużo polujesz, co?

– Nathan! – zaprotestowała Jalea. – Jeśli twoja obstawa zamierza tak gwałtownie reagować na najmniejsze oznaki zagrożenia, czeka nas mnóstwo kłopotów. Ostrzegam, że większość mieszkańców Przystani nie jest tak wyrozumiała.

– Przepraszam – powiedział Nathan. – Ale dla naszego wspólnego bezpieczeństwa lepiej teraz się przyznaj, jeśli ukryłeś na pokładzie więcej takich niespodzianek.

Jessica schowała broń i dała znak pozostałym, żeby zrobili to samo. Tobin odwrócił się w stronę Nathana i powoli opuścił ręce.

– Więcej nie mam – zapewnił. – To wszystko tylko do obrony własnej.

– Obrony? Przed czym, batalionem wojska? – zapytała Jessica.

Wręczyła mu stertę opończ, po które wcześniej sięgnął, i dała znak, żeby wyszedł z magazynu.

– Zdziwilibyście się, jak wiele sprzętu czasem potrzeba, żeby obronić się na powierzchni Przystani – powiedziała Jalea.

Tobin zaczął rozdawać okrycia.

– Zalecam nosić je przez cały czas. Chronią przed wpływem środowiska, a poza tym ukryjecie pod nimi broń i lepiej wtopicie się w tłum.

Tobin minął Nathana, podając mu ostatnią opończę. Była wykonana z grubego, ale lekkiego materiału, ewidentnie nie widziała pralki od dłuższego czasu i pachniała niezbyt przyjemnie.

Tobin otworzył główny właz, który odchylił się w dół. Ze skrzydła wysunęły się małe schodki i zawisły pół metra nad szarą powierzchnią.

Kabina szybko wypełniła się ciężkim, wilgotnym powietrzem Przystani. W nozdrza uderzało dziwne połączenie zapachu warsztatu z piżmowym odorem, które z początku wydawało się wręcz przytłaczające. Mimo wszystko po miesiącu w sterylnym, klimatyzowanym wnętrzu okrętu nawet tak „aromatyczne” powietrze stanowiło przyjemną odmianę.

Tobin jako pierwszy ostrożnie zszedł po rampie i zeskoczył na asfalt. Nathan stał najbliżej wyjścia, więc ruszył jako następny. Przystanął na schodkach i wyprostował się. Niebo miało błądy, nienaturalny bursztynowy odcień. Ciśnienie atmosferyczne okazało się odczuwalnie wyższe niż na Ziemi, co wyjaśniałoby turbulencje.

Powietrze było ciepłe i dość wilgotne, tak jakby zaraz miało zacząć padać.

Rozejrzał się. Zaparkowali między dwoma podłużnymi barakami z blachy. Wyglądały na tanie i proste konstrukcje, wyposażone w zaledwie parę okien i zwijane drzwi garażowe. Po obu stronach dostrzegł rzędy co najmniej kilkunastu podobnych budynków. Wokół kręciło się sporo ludzi, a między nieruchomymi statkami jeździły pojazdy serwisowe.

Podniósł wzrok. Przygaszony odcień bursztynu przywodził na myśl ziemskie niebo zaraz po zachodzie słońca, ale tutejsza centralna gwiazda układu jeszcze nie zaszła. Była niewielka i błada w porównaniu ze Słońcem. Dawała znacznie mniej światła, niż się spodziewał – Nathan patrzył bezpośrednio na nią przez kilka sekund i nawet nie rozboleły go oczy. Po drugiej stronie nieboskłonu wisiał gazowy olbrzym, wokół którego krążyła Przystań. Wyłaniał się zza horyzontu, zajmując połowę nieba, a odbijane przez niego światło oblewało księżyc, rzucając dodatkowe, bledsze cienie, które padały w przeciwną stronę. Efekt był nienaturalny i odrobinę niepokojący.

Nathan zszedł po rampie i zeskoczył na asfalt. Jego stopy uderzyły o podłoże słabiej, niż się spodziewał. Grawitacja była tu o połowę mniejsza niż na Ziemi i o jedną czwartą słabsza niż standardowe ciążenie „Aurory”. Podskoczył na próbę jeszcze kilka razy, odbijając się znacznie wyżej niż normalnie. To było dziwne uczucie – jednocześnie niepokojące i emocjonujące. Uśmiechnął się jak dziecko.

– Wiesz, Nathan, pewnie jesteś pierwszym Ziemianinem od ponad tysiąca lat, który postawił stopę na obcym świecie – rzucił zza jego pleców Władimir.

– Chyba powinienem powiedzieć coś wzniosłego, hm?

– Co tak śmierdzi? – zapytała Jessica, która zeszła za nimi.

– Niezbyt to wzniosłe, choć prawdziwe – mruknął Nathan. Władimir zaśmiał się, podskakując.

– Pobliski obszar porasta jadalny grzyb – wyjaśnił Tobin. – Rośnie wszędzie, gdzie jest gleba. Potrafi naprawdę odrażająco cuchnąć, ale ma wyrazisty smak i wiele substancji odżywczych. Prawdę mówiąc, dzięki niemu rozkwita tutaj cywilizacja, bo praktycznie nie wymaga pielęgnacji i jest całkiem cennym towarem eksportowym. Choć

niestety, na innych światach nie docenia się go tak bardzo, jak życzyliby sobie plantatorzy.

– Jaka jest teraz pora dnia? – zapytał Nathan.

– Południe.

– Naprawdę? Wygląda raczej jak zachód słońca.

– Kończy się cykl świetlny.

– Cykl świetlny?

– Kiedy Przystań jest między gwiazdą a planetą, mamy pięćdziesiąt dwa cykle normalnych dni i nocy. A kiedy przechodzi za planetą, przez następne pięćdziesiąt dwa dni jest tylko ciemność.

– Zero słońca przez prawie dwa miesiące? – zapytała retorycznie Jessica. – Przygnębiające.

– Można się przyzwyczaić – odparł nonszalancko Tobin.

– To wyjaśnia grzyby – mruknęła.

– Co robimy? – zapytał Nathan.

– Trzeba pojechać do hali robotniczej. Tam można zatrudnić ekipę do wydobycia surowców. Im szybciej zaczniemy, tym szybciej będziecie mieć fundusze na zakup towarów.

– Prowadź – powiedział Nathan.

– Nasz transport zaraz przyjedzie. I dlatego byłbym wdzięczny, podporuczniku – rzucił Tobin do Jessiki – gdybyś postarała się nie strzelać do kierowcy. Na piechotę to kawałek drogi.

– Spróbuję się powstrzymać – obiecała.

– Muszę was wszystkich ostrzec, żebyście zachowywali się dyskretnie – kontynuował Tobin, naciągając kaptur na głowę. – Pod gołym niebem zakrywajcie tyle skóry, ile możecie. Choć nasze słońce wydaje się blade, jego promieniowanie jest silne. Opończe mają specjalne włókna, które je odbijają. I nie zwracajcie na siebie uwagi. Większość ludzi, których spotkamy, to przyjezdni, równie nieufni jak wy. Lepiej o tym nie zapominajcie.

– Sugerujesz, że nie powinniśmy się bronić? – w głosie Jessiki zabrzmiało wyzwanie. Doskonale wiedziała, że nie o to mu chodziło, ale chciała zaznaczyć, że nie pozwoli, żeby cokolwiek stało się osobom, które otoczyła opieką.

– Oczywiście, że nie, podporuczniku. Po prostu zastanówcie się dwa razy, zanim sięgniecie po broń – odparł i odwrócił się.

– Zastanawianie się dwa razy to dobry sposób, żeby dać się zabić – skomentował pod nosem Enrique.

– Też tak uważam – mruknęła. – Słuchaj, ty i Weatherly zabezpieczajcie tyły. Miejcie oczy szeroko otwarte i nadstawiajcie uszu, może przy okazji czegoś się dowiecie.

– Dobra.

– Sierzancie, miej oko na Danika.

– A ty co będziesz robiła? – zapytał Enrique.

W tym momencie przyjechał transport.

– Zamierzam pilnować Tobina. Nie ufam temu pieprzonemu chudzielcowi.

*

Przejazd przez teren portu kosmicznego był krótki, bo utrzymywali sensowne tempo, ale przebycie niedługiego odcinka dzielącego port oraz halę robotniczą zajęło więcej czasu. Port kosmiczny stanowił centrum handlu i innej aktywności na tym niewielkim świecie. Tobin poinformował ich po drodze, że większość Przystani jest nadal słabo rozwinięta. Księżyc skolonizowano zaledwie przed kilkoma dekadami, aby wspomóc przemysł wydobywczy w pierścieniach gazowego olbrzyma. To dlatego miasto o tej samej nazwie rozrosło się wokół portu.

Kiedy wyjechali za główną bramę, został im do przebycia zaledwie kilometr. Wzdłuż każdej z głównych dróg znajdowały się rzędy sklepów i różnego rodzaju biur. Widzieli też straganiarzy handlujących najrozmaitszymi towarami. Nathan domyślał się, że w tych ciasnych, zakorkowanych uliczkach mogliby kupić wszystko, czego potrzebowali.

Po dłuższym czasie dotarli do dużego, jasnobrązowego budynku. Był brudny i zaniedbany, a w pobliżu zabijało czas wielu mężczyzn i kilka kobiet. Nad masywnymi podwójnymi drzwiami wisiał wielki napis w języku, którego Nathan nie rozpoznawał, jednak po wyglądzie ludzi, którzy czekali na zewnątrz, domyślił się, że to hala robotnicza.

– Najrozsądniej będzie, jeśli nie wejdziemy tam wszyscy – powiedział Tobin, wysiadając z pojazdu. – Może tylko parę osób?

– Jessica? – Nathan chciał wiedzieć, co ona o tym myśli.

– Wejdziemy we czwórkę – zaproponowała, wskazując na Tobina, Jaleę, Nathana i siebie. – Reszta niech się rozejrzy po okolicy.

– Może cztery osoby to zbyt wiele – nalegał Tobin. – Myślałem, że pójdziemy we dwóch...

– Idę tam, gdzie kapitan – przerwała mu Jessica. Błysk determinacji w jej oczach przekonał Tobina, że nie ma sensu się spierać.

– Rozumiem. Więc może chociaż we trójkę?

– Jalea jest moim tłumaczem – powiedział Nathan.

Tobin westchnął.

– Dobrze, niech będzie czwórka. – Skłonił lekko głowę i zaprosił ich gestem do środka.

– Świetnie – zgodził się Nathan. Czuł się nieswojo w nowej sytuacji i wolał zaufać osądowi Jessiki, która więcej niż raz sprawdziła się w walce. – Jak długo tu będziemy?

– To zależy od tego, ile ekip nadal szuka pracy – wyjaśnił Tobin. – Jednak o tej porze nie spodziewam się dużego wyboru.

– Też uwielbiasz, kiedy on niby odpowiada na pytanie, ale nie mówi nic konkretnego? – szepnęła Jessica do Nathana, który uśmiechnął się lekko, bo zauważył to samo już przy pierwszym spotkaniu z Tobinem.

– No dobra – dziewczyna zwróciła się do Enrique i pozostałych. – My wchodzimy do tego wielkiego, brzydkiego budynku. Będzie ubaw po pachy. A wy czterej rozejrzyjcie się, ale nie odchódźcie za daleko. Nie mam pojęcia, ile czasu tam spędzimy ani jak szybko będziemy chcieli się ulotnić, kiedy skończymy. Bądźcie więc gotowi.

– Załatwione, Jess – odpowiedział Enrique.

Władimir i Danik zdążyli już oddalić się w stronę najbliższego sklepu z elektroniką. Enrique i sierżant Weatherly podążyli za nimi.

– Prowadź – powiedział Nathan do Tobina.

Tobin wszedł po schodach prowadzących do budynku, a Jalea, Nathan i Jessica ruszyli za nim. Przed wejściem Tobin zdjął kaptur, a za progiem ukłonił się gburowatemu mężczyźnie za kontuarem. Zamienił z nim kilka słów, a potem dał znać reszcie, żeby poszli w głąb hali.

– Powiedziałem, że szukamy ekipy wydobywczej. Poinformowałem mnie, że kilka grup czeka na robotę, więc licytacja nie powinna trwać długo.

Podążyli za Tobinem do głównej sali. Pomieszczenie było przestronne, o wysokim sklepieniu, wypełnione wielkimi, ciężkimi stołami i ławkami z drewna. Wyglądało tak, jakby mogło pomieścić setki robotników, choć obecnie czekało tu zaledwie kilka ekip.

Urzędnik podał niewielki tablet mężczyźnie za dużym biurkiem na podwyższeniu w kącie sali. Nathan domyślił się, że to urządzenie podobne do datapadów, z których korzystali na „Aurorze”. Mężczyzna przeczytał coś z ekranu. Tymczasem kierownicy ekip zauważyli, że weszli potencjalni pracodawcy, i zaczęli przygotowywać się do licytacji.

Postawny mężczyzna za biurkiem przywołał Tobina i zamienił z nim kilka słów. Po chwili przemówił przez głośnik:

– Voloński transportowiec „Volander” szuka ekipy wydobywczej. Zadeklarowany limit: trzysta tysięcy ton. Czas wykonania zlecenia: dwa dni. Proponowane wynagrodzenie: dziesięć procent minus opłaty i koszty. – Mężczyzna zrobił pauzę, aby dać kierownikom ekip czas na wykonanie obliczeń. Po minucie kontynuował: – Rozpoczynam licytację.

– Dwadzieścia pięć! Plus koszty i opłaty! – zawołał kierownik pierwszej ekipy. Tobin skrzywił się, jakby zjadł coś ohydneho.

– Dwadzieścia dwa plus! – odpowiedział kierownik drugiej. Tobin nie zmienił wyrazu twarzy.

– Dwadzieścia plus! – wtrąciła się trzecia ekipa. Nathan zastanowił się, na jakiej podstawie ustalano kolejność zgłaszania ofert.

– Osiemnaście plus! – zaproponowała czwarta ekipa. Tobin nadal się krzywił.

Nastała chwila ciszy, bo wszyscy czekali na ofertę ostatniej, piątej ekipy. Jednak jej kierownik tylko machnął ręką na znak, że pomija swoją rundę. Albo nie był zainteresowany, albo nie chciał się jeszcze angażować.

– Szesnaście plus! – pierwsza ekipa przebiła czwartą.

– Piętnaście plus!

– Trzyście plus!

Kiedy przyszła kolej piątej ekipy, tamci znów spasowali. Zaczęła się kolejna runda, ale pierwsza ekipa milczała – nie zamierzali pracować za taką stawkę. Pozostałe ekipy solidarnie dały znak, że one również skończyły. Tobin pokręcił głową i wrócił do pozostałych.

– Co się stało? – zapytał Nathan. – Przecież potrzebujemy ekipy.

– Cierpliwości, kapitanie – odpowiedział z uśmiechem Tobin, kierując się w stronę wyjścia. – Negocjacje jeszcze się nie skończyły.

Nathan podążył za Tobinem. Nadal nie rozumiał, co się dzieje. Spojrzał na Jaleę, ale ona miała równie nieodgadniony wyraz twarzy, co zwykle.

Ruszyli na dół.

– Co to miało być? – zapytał Nathan w nadziei, że teraz usłyszy jakieś wyjaśnienie.

– To część rytuału. Każdy z nas musi odegrać w nim swoją rolę – zapewnił go Tobin.

– Więc chcesz powiedzieć...

– Nie wyglądacie na Volończyków – odezwał się ktoś za ich plecami.

Nathan odwrócił się i zobaczył niskiego dwudziestolatka z brudnymi włosami, niedbale związanymi w kucyk. Mężczyzna założył na głowę kaptur. Nathan go rozpoznał – siedział obok kierownika piątej ekipy.

– Naprawdę? – odpowiedział. Tobin skarcił go spojrzeniem, które jednoznacznie mówiło, żeby się nie odzywał.

– Jesteście zbyt czyści – wyjaśnił mężczyzna, wyłaniając się z cienia budynku. – Volończycy prawie nigdy się nie golą... a ich kobiety są z reguły grube i brzydkie – dodał, lustrując Jessicę.

– Eksperymentujemy z nowym stylem – zażartował Nathan, ignorując ostrzeżenie Tobina.

– Mogę w czymś pomóc? – wtrącił się Tobin. Wolał przejąć inicjatywę, zanim Nathan palnie coś głupiego.

– Weźmiemy tę robotę – oznajmił mężczyzna.

– Za osiem procent minus opłaty i koszty?

– Jeśli dobrze pamiętam, proponowaliście dziesięć.

– Ale przecież chcecie ominąć opłatę dla pośrednika, prawda? – odparł Tobin.

– Podobnie jak wy – zauważył niski mężczyzna. – I jestem jedynym, który oferuje wam wykonanie tej roboty bez dodatkowych opłat.

Młody człowiek najwyraźniej posiadał doświadczenie w tego rodzaju negocjacjach. Nathan uznał cały proces za intrygujący.

– Mój błąd. Chciałem powiedzieć dziesięć – uległ Tobin. – I twierdzisz, że się wyrobicie? To dużo urobku, jak na dwa dni.

– Żaden problem, mamy najlepszego pilota statku wydobywczego w całej Przystani – padła chełpliwa odpowiedź.

– Daruj, że to mówię, ale wydajesz się dość młody, jak na tę robotę.

– Może właśnie dlatego zgodziliśmy się wziąć tę fuchę za drobniaki – odparł tamten z uśmiechem. Ewidentnie nie obchodziło go, czy się obrażą, co sprawiło, że Nathan tym bardziej miał ochotę go zatrudnić.

Tobin skłonił głowę w wyrazie szacunku.

– Możliwe. A więc ustalone. Zakładam, że wasza ekipa jest gotowa zacząć od zaraz?

– Nie ma innej opcji, jeśli mamy skończyć za dwa dni.

– Niech ktoś od was spotka się ze mną przy stanowisku czterysta trzysta, polecimy razem na orbitę – powiedział Tobin.

– A wy nie lecicie? – zapytał młody mężczyzna, skupiając uwagę na Jessice.

– Oni muszą najpierw załatwić kilka spraw.

– Aha. – Mężczyzna minął Jessicę, szczerząc zęby. – Szkoda. Ty zdecydowanie nie jesteś z Volonu.

Nathan uśmiechnął się. Polubił tego faceta.

*

– Znaleźliście coś ciekawego? – zapytał Nathan, kiedy wszyscy wrócili do pojazdu Tobina.

– Ciekawego owszem, ale nic przydatnego – odpowiedział Władimir. – Chociaż do wieczora jeszcze daleko, a Danik wspomniał o wielkim targu, gdzie sprzedaje się używane podzespoły do niewielkich statków kosmicznych. Po przeciwnej stronie portu.

– Kapitanie! – zawołał Tobin. Skończył dobijać targu z młodym mężczyzną, który reprezentował ekipę. – Muszę wrócić na swój

statek i odeskortować jednostki górników na „Aurorę”.

– Jednostki? – Nathan zdziwił się, słysząc liczbę mnogą.

Tobin podszedł bliżej, żeby nie krzyczeć, i wyjaśnił:

– Ekipy wydobywcze posiadają zwykle co najmniej dwie, trzy jednostki. Jeden statek wydobywczy, który zbiera surowce z pierścieni i dostarcza je na wasz statek, a także jeden albo dwa promy towarowe, które przenoszą sprzęt i robotników oraz transportują urobek na Przystań, gdzie zostaje sprzedany. Kazałem im zabrać co najmniej dwa promy.

– Sir, proponuję wysłać z nimi podporucznika Mendeza i sierżanta Weatherly’ego – wtrąciła się Jessica. – Wolę, żeby Enrique miał oko na górników pod moją nieobecność.

– Dobrze – zgodził się Nathan. – Tobin, możesz ich zabrać ze sobą?

– Oczywiście, kapitanie. Wrócę na Przystań najpóźniej za kilka godzin. Sugeruję wam rozejrzeć się wśród sprzedawców ulicznych i spróbować lokalnej kuchni. Może znajdziecie coś, co zechcecie kupić. Jalea z pewnością sprawdzi się w roli przewodniczki, bo to nie jest jej pierwszy raz na Przystani.

– Nie masz nic przeciwko? – upewnił się Nathan, żeby nie myślała, że nikt nie pyta jej o zdanie.

– Z przyjemnością pomogę, kapitanie – odpowiedziała z uśmiechem Jalea. Położyła mu dłoń na przedramieniu i zaprowadziła w kierunku straganu.

Władimir patrzył na to z domyślnym uśmieszkiem. Lecz wystarczyło jedno spojrzenie na minę Jessiki, żeby uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Wracacie z Tobinem – Jessica poinstruowała Enrique i sierżanta Weatherly’ego. – Pod moją nieobecność odpowiadacie za bezpieczeństwo. Nie wiemy, ilu robotników będzie się kręcić po hangarze, więc miejcie oczy szeroko otwarte, a w razie potrzeby weźcie kogoś z załogi do pomocy. Niech nikt z obcych nie opuszcza hangaru, rozumiano?

– Nie ma problemu, Jess – odpowiedział Enrique. – Chodźmy, sierżancie – dodał, wchodząc do pojazdu.

3

Nathan i Jalea niespiesznie kroczyli zatłoczoną promenadą, a Jessica, Władimir i Danik podążali tuż za nimi. Szeroki bulwar wyłożono czymś podobnym do betonu, choć bardziej kamienistym niż materiał, który stosowano na Ziemi. Po obu stronach ciągnęły się rzędy straganów, a za nimi różnego rodzaju sklepiki. Niektóre stoiska stanowiły przedłużenie sklepów, inne stały luzem.

Gęsty tłum składał się z najróżniejszych ludzi. Kobiety kupowały produkty, podczas gdy mężczyźni stali z boku. Załogi statków rozglądały się za towarami i usługami. Wszystkich łączył wygląd – sprawiali wrażenie zabiedzonych, zupełnie jakby od dawna z trudem wiązali koniec z końcem.

Nathan dorastał w dobrze sytuowanej rodzinie. Mieli zarówno majątek, jak i władzę od wielu pokoleń. Jego dziadek i pradziadek byli wpływowymi politykami. Nathan wiedział, że ta kwestia stanowiła punkt zapalny w stosunkach z ojcem. Dayton Scott oczekiwał, że syn – podobnie jak wszyscy dobrzy synowie od czasów wielkiej biologiczno-cyfrowej zarazy – pójdzie w ślady ojca. Jednak zmiany społeczne wywołane odnalezieniem Arki Danych sprawiły, że idea sukcesji władzy w obrębie rodziny się zdezaktualizowała, a formalna edukacja ponownie zastąpiła tradycyjną naukę rzemiosła przez praktykę. Dlatego Nathan nie czuł przymusu, by wykonywać ten sam zawód, co ojciec. Prawdę mówiąc, nienawidził polityki.

Nie chcąc skupiać na sobie uwagi, z trudem ukrywał podekscytowanie nowymi widokami, dźwiękami i zapachami. Otoczenie, choć znajome pod względem architektonicznym i użytkowym, było dla niego kompletnie obce. Większość ludzi posługiwała się *Angla*, ale i tak wokół słyszało się oszałamiającą mieszaną języków. Przystań była schronieniem dla robotników napływowych, którzy pojawiali się i znikali. Jalea powiedziała, że mniej niż dziesięć procent ludności urodziło się i wychowało na księżycu – a ci z reguły nie spędzali tu całego życia. Większość

usiłowała wyrwać się na zamożniejsze światy, gdzie czekała ich lepsza przyszłość.

Gdziekolwiek nie zabłądził wzrokiem, natrafiał na różnorodność kultur. Jeszcze bardziej fascynujący był fakt, że ci ludzie pochodzili z innych układów gwiazdnych. Jego własny świat stosunkowo niedawno zaczął odzyskiwać poczucie globalnej społeczności, kiedy odkryto Arkę Danych, więc idea, że coś takiego mogłoby istnieć w skali międzygwiazdnej, była oszałamiająca i napawała go nadzieją dla ludzkości.

Nathan wiedział, że Ziemia stworzyła świetnie prosperującą cywilizację na planetach zwanych „światami centralnymi” – położonych w promieniu pięćdziesięciu lat świetlnych od Sol. Istniało również kilkanaście „światów obrzeża”, które nadal były na etapie rozwoju, gdy światy centralne ogarnęła zaraza. Jednak, o ile się orientował, nie powstały żadne ludzkie kolonie położone dalej niż sto lat świetlnych od Ziemi, a co dopiero tysiąc. Choć z drugiej strony, w bazach danych Arki zawarto przekazy medialne o nieautoryzowanych próbach kolonizacji, do jakich dochodziło w początkowych fazach epidemii. Uczni snuli teorie, że zdarzały się one po upadku infrastruktury układów centralnych. Niezainfekowani ludzie usiłowali uciec i zacząć wszystko od nowa na dziewiczych planetach. Statki eksploracyjne i obserwatoria astronomiczne odkryły dziesiątki światów potencjalnie nadających się do zamieszkania. Ale i one znajdowały się w promieniu co najwyżej kilkuset lat świetlnych od Ziemi.

A jednak tu byli – kroczyli między potomkami tych samych uchodźców, którzy przed wiekami uciekli ze światów centralnych. Ta myśl wprawiała Nathana w osłupienie. Zastanawiał się, jak ziemscy uczeni zareagowałiby na te przełomowe wieści. I co powiedziałby jego wykładowca historii, Bill Jenkins, z którym Nathan zaprzyjaźnił się na studiach. Spędzili wiele godzin, snując właśnie takie teorie, czasem prawie do świtu. Nathan stwierdził, że profesor byłby wniebowzięty, mogąc tu być i widzieć obcy świat na własne oczy.

Brnąc przez tłum, zostawili w tyle stragany pełne drobiazgów, jakie często sprzedaje się tuż przy porcie kosmicznym. Teraz mijali stoiska z gotowanym warzywami. Unosił się nad nimi specyficzny

aromat, który Nathanowi wydał się kuszący. Zapach warzywa smażonego w gorącym oleju na dużej, żelaznej patelni sprawił, że ślina napłynęła mu do ust.

– Co to takiego? – zapytał Jaleę.

– Korzeń *pompa* – odpowiedziała. – Smaży się go na tłuszczu z *tekatta*.

– Z czego?

– *Tekatta* to takie małe zwierzę. Żyją w ziemi, na Przystani jest ich pełno. Są szkodnikami, więc rolnicy ich nienawidzą.

– A to co? – zapytał, wskazując na niewielkie kwadraty brudnobiałej substancji. Miały brązowy odcień i chyba też były smażone.

– *Molo*. Rośnie tu tego mnóstwo.

– To ta jasnobrązowa roślina, której całe połacie widzieliśmy z powietrza?

– Raczej tak. *Molo* jest grzybem i świetnie radzi sobie w okresach ciemności. Stanowi bazę większości tutejszych potraw. Jest bardzo pożywny, choć niektórzy nie lubią jego smaku i konsystencji.

Starsza kobieta przy straganie zaproponowała Nathanowi małą porcję korzenia *pompa* i *molo*, podlaną gęstym, pomarańczowym sosem.

– Spróbuje pan? – zaoferowała.

Nathan z wdzięcznością przyjął próbkę. Najpierw wziął z talerzyka korzeń i skosztował.

– Mhm, niezłe. Smakuje jak łagodna cebula.

– Spróbuj *molo* z sosem – zasugerowała Jalea.

Nathan wziął kawałek *molo* i zgarnął nim trochę galaretowatej, pomarańczowej mazi. Powąchał, włożył do ust i zaczął ostrożnie żuć. Po chwili jego pełna zaciekawienia mina zmieniła się w wyraz aprobaty.

– Całkiem dobre. Przypomina skrzyżowanie pieczarek z tofu, a sos smakuje jak pikantna marmolada z pomarańczy – wyjaśnił, zapominając, że Jalea najprawdopodobniej nie zna tych produktów.

– Hej, Władimir! Musisz tego spróbować!

Odwrócił się do starszej kobiety i już chciał zamówić pięć porcji, gdy uświadomił sobie, że nie ma pieniędzy. Spojrzał z zażenowaniem na Jaleę.

– Czym zapłacimy?

– Pozwól, że ja to zrobię – zaproponowała z uśmiechem Jalea.

Złożyła zamówienie w lokalnym języku i zaraz dostała pięć dużych talerzy wypełnionych mieszanką, jakiej spróbował Nathan. Następnie wręczyła starszej kobiecie małe, ciemnoszare żetony i gestem dała znak, że reszty nie trzeba. Straganiarka z szacunkiem skłoniła głowę i podziękowała Jalei za jej hojność.

Przez ostatnie dwa dni żywili się liofilizowanymi racjami, więc z apetytem pochłonęli posiłek. Władimir, który, jak przekonał się Nathan, był w stanie zjeść niemal wszystko, pochłonął swoją porcję jak odkurzacz. Danik i Jalea byli zaznajomieni z tutejszą kuchnią, więc zjedli bez wahania. Natomiast entuzjazm Jessiki był wyczuwalnie mniejszy.

– Co się dzieje, Jess? – zapytał Nathan. – Nie smakuje ci *molo*? – zapytał z szerokim uśmiechem.

– Smakuje trochę jak grzyby – stwierdziła, siląc się na obojętny ton.

– A trochę jak tofu – dodał Nathan, jedząc z dużo większym zapałem.

– Nie jestem wielką fanką ani jednego, ani drugiego – wyjaśniła, wmuszając w siebie kolejny kęs. – Na pewno możemy to bezpiecznie jeść?

– Przepyszne! – powiedział Władimir, wycierając palcami resztki pomarańczowego sosu z talerza. – Przypomina gotowaną kapustę, którą przyrządzała moja babcia.

– Może powinniśmy kupić trochę *molo*, zabrać na pokład i przebadać. Jak długo wytrzyma? – Nathan zwrócił się do Jalei, ale ta jedynie spojrzała na niego z konsternacją. – Chodzi mi o to, czy szybko się psuje. Trzeba to trzymać w lodówce?

– Aha. Nie. Zazwyczaj suszy się go w słońcu albo w dehydratorze, a potem nadaje się do jedzenia przez długi czas. Niektórzy przyprawiają go przed suszeniem.

– Jerky z *molo* – zażartował Nathan. Jalea znów nie zrozumiała. – Jak myślisz, Władimir?

– Co to jest „jerky”?

– No wiesz, takie suszone paski mięsa z przyprawami? Serio nigdy o tym nie słyszałeś? – Zdziwiony niewiedzą kolegi, ponownie zwrócił

się do Jalei. – W każdym razie może kupilibyśmy tutaj trochę *molo*.

– Na tych stoiskach sprzedają tylko pojedyncze porcje. Może kawałek dalej znajdziemy większe ilości.

– No to prowadź. Dziękujemy, bardzo nam smakowało – rzucił na pożegnanie do starszej kobiety i skinął jej głową, odstawiając pusty talerz na blat.

*

Następne pół godziny spędzili, klucząc krętymi uliczkami i zgodnie z zaleceniem Tobina próbując wtopić się w tłum. Stoiska przypominały Nathanowi tydzień spędzony w Ameryce Południowej, w wiosce Luisa, jego współlokatora z akademii. Spędzili wówczas całe popołudnie, krążąc wśród straganów podobnych do tych tutaj. Wtedy Nathan po raz pierwszy opuścił metropolię i doznał sporego szoku kulturowego. Wówczas ten inny kraj wydał mu się zupełnie obcy, mimo że znajdował się przecież na tej samej planecie. Choć to zaskakujące, tutejsze stragany – odległe o tysiąc lat świetlnych od Ziemi – nie wydały mu się bardziej obce niż tamta zapomniana wioska w Ameryce Południowej.

Jeszcze kilkakrotnie przystawali, aby skosztować tutejszej kuchni. Tak jak mówiła Jalea, *molo* stanowił podstawowy produkt spożywczy i zawierała go praktycznie każda potrawa. Jednak niewielka różnorodność składników najwyraźniej nie ograniczała kulinarnej kreatywności tubylców.

Jessica wyraziła zaniepokojenie faktem, że Nathan próbuje absolutnie wszystkiego, co mu wpadnie w ręce – wbrew zaleceniom doktor Chen. Nathan zbywał jej obawy. Stwierdził, że powinni to potraktować jak zwykłą wycieczkę do innego kraju. Argumentował też, że na pokładzie brakuje żywności, a przepracowana lekarka i tak nie zdążyłaby przeanalizować wszystkich produktów spożywczych, zanim załoga zacznie przymierać głodem.

– Co to za zbiry? – zapytała Jessica, zerkając z ukosa na dwóch krzepkich mężczyzn. Nosili czarne oponcze, pod którymi ukrywali pancerze i broń. Stali przy zamkniętych drzwiach do jakiegoś biura i uważnie lustrowali tłum.

– Najemnicy. Pracują dla rodziny rządzącej – wyjaśniła Jalea.

- Zawsze są uzbrojeni po zęby?
- Słucham? – Jalea najwyraźniej nie znała tego określenia.
- Mają pancerze i ciężką broń, a do tego zestawy słuchawkowe – Jessica rozwinęła myśl. – Wyglądają, jakby szykowali się do szturmu.
- To pokaz siły. W ten sposób odstrasza się potencjalnych wrogów
- powiedziała Jalea.
- Znam takich typów – mruknęła Jessica. – Na ulicach spotyka się wielu takich najemników?
- Zwykle są równomiernie rozmieszczeni po mieście.
- Pilnują porządku albo coś w tym stylu? – zapytał Nathan.
- Nie obchodzą ich zasady, tylko egzekwowanie opłat – zapewniła Jalea.
- Tak jak mówiłam. Zbiry – podsumowała Jessica, patrząc na nich krzywo. – Nie lubię takich ludzi – dodała pod nosem.
- Nathan zauważył, że asortyment stoisk uległ zmianie. Zamiast straganów z drobiazgami i gotowymi posiłkami teraz mijali sprzedawców większych partii żywności. Widzieli *pompa* i kilka innych rodzajów jadalnych korzeni. Tu i ówdzie dostrzegali dziwne owoce, najróżniejsze zioła, a nawet fioletowe warzywa trochę podobne do pomidorów. Oczywiście na każdym straganie leżało też *molo*. Jedne odmiany były bledsze, inne ciemniejsze, a jeszcze inne przyprawione i suszone. Te ostatnie nieodmiennie kojarzyły się Nathanowi z paskami twardej wołowiny. Widzieli nawet *molo*, który poddano dojrzewaniu i celowo doprowadzono na skraj gnicia. Jalea wyjaśniła, że można je bezpiecznie jeść, ale trzeba przywyknąć do smaku.
- Na końcu tej uliczki powinni być sprzedawcy ilości hurtowych – powiedziała. – Większość handlarzy przyjeżdża z daleka i sprzedaje tylko tyle, ile trzeba, żeby kupić rzeczy, których nie wyprodukują sami. Musimy znaleźć rolnika, który mieszka w pobliżu i jest w stanie dostarczyć duże ilości.
- Jak myślisz, co powinniśmy kupić? – zapytał Nathan.
- Oczywiście mnóstwo *molo*. Tyle, ile się da.
- Dlaczego? – zaprotestowała Jessica.
- Smakuje jak smakuje, ale zawiera dużo substancji odżywczych. Na Przystani żyje wielu ludzi, których dieta składa się w dziewięćdziesięciu procentach z *molo*.

– O ile taką egzystencję można nazwać życiem – skwitowała Jessica, wzdrygając się na myśl o jedzeniu wyłącznie obślizgłych grzybów.

Nathan i Jalea kontynuowali spacer, a tymczasem Jessica przystanęła przy jednym ze straganów. Podniosła garstkę ziół i udała, że je wącha, ale w rzeczywistości dyskretnie obejrzała się na dwóch zbirów, których minęli przed chwilą. Ruszyła dalej dopiero wtedy, gdy upewniła się, że tamci zupełnie nie zwrócili na nich uwagi.

Po kilku chwilach dogoniła Nathana i Jaleę, którzy przystanęli obok kolejnego stoiska i właśnie oglądali pokaźny asortyment różnych rodzajów surowego *molo*.

– Dzień dobry – odezwała się Jalea.

– Dzień dobry wam wszystkim – odpowiedział sprzedawca.

Był starszym mężczyzną, który ewidentnie dużo pracował na powietrzu. Włosy miał upięte w krótki, ciasny kucyk, a nosił się jak człowiek uprawiający ziemię. Nathan zauważył jednak, że jest w nim coś niepasującego do rolnika, coś w ruchach i zachowaniu. Stał dumnie wyprostowany, w przeciwieństwie do przygiętych do ziemi chłopów w wiosce Luisa.

– Jesteście zainteresowani kupnem *molo*? – zapytał.

– Możliwe – odparła Jalea – o ile towar jest świeży i po rozsądnej cenie.

– Zbieram go codziennie – pochwalił się mężczyzna.

Wziął kwadratowy kawałek grzyba, urwał róg i wyciągnął w stronę Jalei, która powąchała go uważnie, po czym odgryzła kawałeczek.

– Jest nadal gorzki – stwierdziła.

– Potrzebuje jeszcze doby, żeby dojrzeć – zapewnił rolnik. – Do jutra będzie idealny.

– Oczywiście. – Jalea rozejrzała się po blacie. – Sprzedaje pan głównie bledsze odmiany?

– Zwykle mam też trochę tych ciemniejszych, ale dzisiaj przed południem sprzedałem większość towaru. Będę miał więcej jutro, po dzisiejszych zbiorach.

– Więc mieszka pan gdzieś tutaj?

– Niedaleko. Interesuje was większa ilość?

– Tak. Po niefortunnym wypadku zostaliśmy bez zapasów, z dużą załogą do wykarmienia. Będziemy też potrzebować też innych płodów rolnych.

– Ilu macie ludzi?

– Pięćdziesiąt osób do wyżywienia przez kilka tygodni.

Na twarzy rolnika na moment zagościło zdziwienie.

– Chyba będę w stanie dostarczyć taką ilość – obiecał. – Jeśli chcecie, po zamknięciu targu możecie się ze mną zabrać. Na własne oczy zobaczycie, co ma do zaoferowania moja skromna farma.

– To bardzo uprzejma propozycja. Skonsultuję się z resztą. Możliwe, że wieczorem do pana wrócimy.

– Czekam na to – rzekł na pożegnanie.

*

Pojazd Tobina zatrzymał się przy jego statku w kosmoporcie. Gdy tylko Mendez i Weatherly wysiedli, przyjechał drugi pojazd z czterema niechlujnymi mężczyznami.

– Kto to? – zapytał Mendez, wsuwając dłoń pod opończę, gdzie trzymał broń. Tobin dał mu znak, żeby zachował spokój, a tymczasem czwórka mężczyzn wysiadła i podeszła bliżej.

– W czym mogę pomóc? – zapytał Tobin.

– Jesteśmy z ekipy wydobywczej, którą wynajęliście – oznajmił osobnik będący najwyraźniej przywódcą grupy. Wręczył Tobinowi kartę identyfikacyjną.

– Spodziewaliśmy się jednego przedstawiciela – powiedział Tobin.

– Woleliśmy polecieć z wami. W pozostałych statkach jest trochę tłoczno.

Tobin obejrzał identyfikator, po czym, usatysfakcjonowany, oddał go z powrotem.

– Oczywiście. Miejsca akurat wystarczy dla was czterech. Możecie wsiadać, niedługo startujemy.

Mężczyźni weszli na pokład. Tobin przez kilka minut ustalał coś z ekipą naziemną portu.

– Możemy lecieć? – zapytał obstawę i wszedł na statek.

Sierżant Weatherly podążył za nim, a podporucznik Mendez rozejrzał się po raz ostatni i również wkroczył na pokład.

Właz zamknął się automatycznie po włączeniu silników. Statek powoli opuścił miejsce postojowe i wyjechał na drogę kołowania. Skręcili w lewo.

Mendez zerkał na ludzi, z którymi on i Weatherly dzielili niewielką kabinę pasażerską. Czterej mężczyźni byli brudni, mieli dawno niemyte włosy, znoszone ubrania i liczne braki w uzębieniu. Przywódca gapił się groźnie na Weatherly'ego. Z początku sierżant próbował go ignorować, ale kiedy dotarli do stanowiska startowego i zaczęli wznosić się w powietrze, nie wytrzymał:

– Mogę w czymś pomóc, staruszk?

– Wyglądasz mi na żołnierza – stwierdził podejrzliwie starszy mężczyzna, lustrując go od stóp do głów. – A jedyni żołnierze, jakich znam, to Takaranie. Jesteście Takaranami? – zapytał z nutą nienawiści.

Sierżant Weatherly zrozumiał, że tamten go prowokuje.

– Nie – odpowiedział bez zająknięcia. – Ale jestem przekonany, że kilku z nich zabiłem – dodał wesoło.

Starszy mężczyzna przez kilka sekund przyglądał mu się spod zmrużonych powiek, aż wreszcie rozchmurzył się i roześmiał, pryskając kropelkami śliny na wszystkie strony.

– Lubię cię.

– Nie posiadam się z radości, naprawdę – odpowiedział sierżant.

Wznosili się coraz wyżej i oddalali się od portu. W miarę jak przyspieszali, turbulencje narastały, choć nie mogły równać się z tymi, których doświadczyli, schodząc z orbity. Mendez wyrzwał przez najbliższe okno i zobaczył po prawej burcie trzy statki. Dwa z nich wyglądały na niewielkie promy towarowe, a trzeci był wyposażony w coś w rodzaju czerpaka.

– Kto to jest, do cholery? – rzucił Mendez, nie kierując pytania do nikogo konkretnego.

– Spokojnie, to nasi – poinformował go starszy mężczyzna, nieco zdziwiony jego niewiedzą. – Pierwszy raz wśród pierścieni, chłopcze?

– Można tak powiedzieć – przyznał Mendez. – Co to za mała jednostka?

– To nasz statek wydobywczy – wyjaśnił tamten. – Zbiera czerpakiem kamienie i lód, a potem oddaje je do przetworzenia.

Mendez patrzył, jak najmniejszy ze statków tańczy wokół pozostałych i przemyka między nimi.

– Co z nim nie tak?

– Och, po prostu Josh znów się popisuje. Za żadne skarby nie chce latać jak człowiek!

Dziób statku Tobina wzniósł się wyżej, a silniki zawyły głośniejsze, kiedy przyspieszali, by opuścić gęstą atmosferę księżycy. Po kilku chwilach wstrząsy ustały, powietrze zrobiło się rzadsze, a kolor nieba zastąpiła czerń kosmosu.

*

Piątka przybyszy z „Aurory” nadal przechadzała się zatłoczonymi uliczkami, lawirując między przechodniami i mijając rolników sprzedających płody rolne. Kilka osób zawiesiło na ich grupce wzrok dłużej, niż powinno, co trochę zaniepokoiło Nathana.

– Mam wrażenie, że trochę się wyróżniamy – szepnął do Jalei.

– Nie bardziej niż reszta obcych – powiedziała z przekonaniem. – Większość handlarzy to mieszkańcy Przystani. Rzadko się zdarza, że przyjezdni robią zakupy na tutejszych stoiskach. Większość nawet nie schodzi na powierzchnię, tylko handluje przez pośredników.

– Myślałem, że każda załoga wolałaby opuścić statek, przynajmniej na parę godzin – stwierdził Nathan. – Choćby po to, żeby rozprostować nogi i zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Niektórzy tak robią, ale większość nie uznałaby powietrza Przystani za świeże – odparła z uśmiechem Jalea.

– Trudno się nie zgodzić – mruknęła idąca za nimi Jessica. – Czy tu zawsze tak śmierdzi pleśnią?

– Ach, no tak, *molo*. Cuchnie szczególnie w porze zbiorów.

– Kapitanie, głosuję za tym, żebyśmy następnym razem nie przylatywali tutaj podczas zbiorów – powiedziała Jessica.

– Będę to miał na uwadze – obiecał. – Czemu *molo* jest tu tak popularny?

– To jedna z niewielu roślin, jakie rosną w okresach ciemności. Nieźle sobie radzi w długie, wilgotne noce.

– To by wyjaśniało te wszystkie szklarnie, które wcześniej widzieliśmy – dodał Nathan, przystając przy straganie z dziwnymi

owocami.

– Tak. Większość pozostałych rodzajów żywności bierze się właśnie stamtąd. – Jalea podniosła owoc, rozerwała go i podała każdemu kawałek do spróbowania. – To wymaga więcej pracy i energii, więc owoce i warzywa są droższe. Dlatego tubylcy jedzą tyle *molo*. Po prostu tak jest taniej. Większość produktów ze szklarni sprzedaje się załogom statków, które wydobywają surowce z pierścieni. To jeden z powodów, dla których ten świat nigdy się w pełni nie rozwinie. Gdyby nie bogactwo pierścieni, księżyc nigdy nie zostałby zreformowany.

– Co to znaczy „zreformowany”? – zapytał Nathan, przeżuując cząstkę dziwnego, fioletowego owocu. Był gorzkawy z nutą słodczy. Kojarzył się winogronami, ale miał gumową konsystencję.

– Przystań nie zawsze nadawała się do zamieszkania – wyjaśniła Jalea. – Atmosfera była zbyt rzadka i miała nieodpowiedni skład.

– Więc terraformowaliście ten świat? – zapytał z podekscytowaniem Władimir.

– Przykro mi, nie znam tego słowa – powiedziała Jalea, po czym dała handlarzowi znać, że chce kupić kilka sztuk fioletowego owocu.

– To znaczy „upodobnić do Ziemi” – wyjaśnił Nathan.

– Nigdy nie byłam na Ziemi, ale to określenie chyba pasuje. – Wyciągnęła garść żetonów i zapłaciła sprzedawcy.

– Dawno temu próbowano terraformacji na kilku planetach obrzeża, ale nie wiemy, czy proces się powiódł – dodał Władimir, jedząc owoc.

– Znam kilkanaście światów, na których ten proces zakończył się powodzeniem – powiedziała Jalea. – Jednak Przystań do nich nie należy.

– Dlaczego? – zapytał Nathan. – Moim zdaniem się udało.

– To prawda, księżyc nadaje się do zamieszkania. Takie było zamierzenie, więc ściśle rzecz biorąc, reformacja się udała. Tyle że przez te długie noce potrzeba rozbudowanej infrastruktury, żeby dało się jakoś żyć. A jak się domyślacie, taka infrastruktura kosztuje.

– Więc po co w ogóle tyle zachodu? – zapytała Jessica.

– Nie mam pewności, ale myślę, że na dłuższą metę reformacja opłacała się bardziej niż utrzymywanie stacji orbitalnych.

– To bez sensu – skomentował Nathan.

– Tak jak mówiłam, nie mam pewności. Tak czy inaczej, do Przystani przylgnęła łatka miejsca, z którego większość osób chce uciec. Nietrudno zgadnąć, że ten księżyc przyciąga najmniej pożądanych ludzi.

– Jak to „najmniej pożądanych”? – zapytał Nathan.

– Ujmę to tak. Na Przystań nie przylatuje się z wyboru, tylko z konieczności. A jeśli ktoś naprawdę chce tu zamieszkać, to znaczy, że ma dobry powód.

*

Podporucznik Kaylah Yosef siedziała przy swojej konsoli na mostku. Choć pierwotnie była oficerem naukowym, to od kiedy okręt stracił ponad połowę swojej szcątkowej załogi, pełniła funkcję operatora czujników. Pracowała po osiemnaście godzin na dobę i opuszczała stanowisko tylko po to, żeby skorzystać z ubikacji. Po blisko tygodniu ogłupiająco nudnego wpatrywania się w wyświetlacze, pragnęła wykonać zadanie choć w najmniejszym stopniu związane z nauką.

Jak zwykle śledziła trajektorie niezliczonych pojazdów kosmicznych przemierzających przestrzeń układu. Większość stanowiły niewielkie statki – towarowe, jak podejrzewała – które kursowały między większymi jednostkami a księżycem. Jedyny powód, dla którego monitorowała ruch wokół „Aurory”, był taki, żeby móc w razie potrzeby ostrzec przełożoną, że jeden z nich czymś się wyróżnia. W takim przypadku miała wysłać jego dane do stanowiska taktycznego, które pozwalało na bardziej precyzyjne śledzenie ruchów jednostek.

Gdy tylko coś poruszało się na jej wyświetlaczu, sprawdzała przewidywaną trajektorię obiektu, żeby upewnić się, że ich minie. Kiedy niewielka grupa statków nagle zmieniła kurs, linie na ekranie wskazały, że zbliżą się do „Aurory”. Kaylah wyprostowała się w fotelu.

– Komandorze poruczniku, cztery statki na kursie przechwytyjącym.

– Skąd lecą? – zapytała Cameron, podchodząc do konsoli podporucznik Yosef.

– Z powierzchni Przystani.

Kaylah dotknęła wolno przesuwającej się ikony wyznaczającej pozycję statku na czele formacji. Na bocznym ekranie ukazał się monochromatyczny schemat wybranej jednostki oraz wszystkie dostępne informacje na jej temat.

– Jeden z nich pasuje do profilu statku Tobina.

– Możemy to zweryfikować? – Uznała, że maszyna, jaką latał Tobin, z pewnością nie była unikatowa.

– Tylko na podstawie kodów z transpondera.

– No tak, a według naszych kodów jesteśmy „Volanderem”, a nie „Aurorą” – przypomniała Cameron.

– Mam ich wywołać? – zapytał oficer łączności.

– Po jakimu, w *Angla*? A jeśli się okaże, że to nie oni? – Cameron stwierdziła ze złością, że niepotrzebnie myślała na głos. Była pewna, że kapitan Roberts nie popełniłby tego błędu. – Wiadomo coś o pozostałych statkach?

Kaylah po kolei dotknęła każdej z ikon.

– To na pewno nie są jednostki wojenne – stwierdziła z ulgą. – Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że to jakieś promy towarowe.

– Komandorze poruczniku – odezwał się oficer łączności – otrzymałem wiadomość na kanale taktycznym. Kod identyfikacyjny należy do podporucznika Mendeza.

– Proszę mnie połączyć – rozkazała z ulgą Cameron.

– „Volander”, tu Mendez.

– Słucham, podporuczniku.

– Sierżant Weatherly i ja siedzimy na pokładzie statku Tobina. Lecimy w waszą stronę w towarzystwie trzech statków ekipy wydobywczej. Tobin mówi, że oba promy i my wylądujemy w hangarze, a ten mniejszy zacznie zbierać urobek.

– Gdzie kapitan? – zapytała Cameron.

– Wciąż na powierzchni. Robi zakupy z pozostałymi.

– Zakupy?

– Tak jest. Podporucznik Nash kazała mi zabezpieczyć hangar pod jej nieobecność.

– Przyjęłam. Skontaktujcie się ze mną, kiedy wrócicie na pokład, podporuczniku. Chętnie dowiem się więcej o tych „zakupach”.

- Tak jest. Bez odbioru.
- To będzie ciekawe – skwitowała Cameron.

*

- To nie jest voloński statek – mruknął starszy mężczyzna.
 - Jasne, że jest – skłamał Mendez.
 - Ich statki wyglądają jak sterta pudeł związanych sznurkiem – zaoponował górnik. – Ten tutaj jest zbyt ładny, żeby był voloński.
- Mendez nie odpowiedział, wychodząc z założenia, że i tak go nie przekona.
- I chyba oberwał w walce – dodał mężczyzna. Spojrzał z ukosa na Mendeza. – Bez obaw, chłopcze. Na Przystani nikt nie przepada za Takaranami, tego bądź pewien. Wasze tajemnice są u nas bezpieczne.

*

Po kilku minutach trzy z czterech jednostek wjechały do hangaru „Aurory”. Statek Tobina znalazł się na pokładzie jako pierwszy i zatrzymał się po rufowej stronie.

- Nie wjedziesz głębiej? – zapytał Mendez.
- Zaraz wracam na Przystań – odpowiedział Tobin. – Nie chcę ich zostawiać bez transportu na dłużej, niż to konieczne.
- Dobry pomysł – powiedział Mendez, nim wyszedł.

Tymczasem pozostałe dwa promy zatrzymały się w połowie ogromnej hali hangaru i właśnie opuszczały rampy. Nie były zbyt przyjemne dla oka – w zasadzie wyglądały jak metalowe pudła wyposażone w cztery silniki na obrotowych mocowaniach, po jednym w każdym rogu, oraz z doczepionym z przodu kokpitem o jajowatym kształcie.

Gdy tylko ich rampy oparły się o pokład, ze środka zaczęto wytaczać wózki i sprzęt. Z każdego promu wyszło co najmniej dziesięciu robotników obojga płci. Ci ludzie nie wyglądali tak zdrowo, jak czwórka mężczyzn, którzy zabrali się statkiem Tobina. Twarze mieli ponure i pozbawione nadziei, a ruszali się powoli i ociężale.

– Musimy podłączyć do prądu maszyny do przetwarzania urobku
– oznajmił starszy mężczyzna, który wcześniej siedział obok Mendeza.

– Kim są ci ludzie? – zapytał Mendez.

Ruszyli w kierunku promów.

– To tylko robotnicy – rzucił tamten, po czym zaczął wykrzykiwać polecenia do zaniebanych ludzi, którzy nadal opuszczali statki. Niektórzy krzywili się i kulili ze strachu na widok mężczyzny i jego kolegów.

– Coś mi tu nie pasuje – mruknął Mendez do sierżanta Weatherly’ego. Tamten tylko skinął głową. – Miej na nich oko, a ja idę zebrać jeszcze paru ludzi do pomocy przy pilnowaniu górników. Niech nikt nie opuszcza hangaru, rozumiano?

– Tak jest – odpowiedział sierżant.

*

Władimir i Danik przetrząsali używane części przy jednym ze stoisk. Od ponad godziny oglądali komponenty u sprzedawców na tyłach kosmoportu, ale jak dotąd Władimir nie znalazł niczego ciekawego.

– Dlaczego Takaranie tu nie przylatują? – zapytał Nathan Jaleę.

– Zasoby wydobywane z pierścieni są ważne dla funkcjonowania wielu układów, również dla tych w takarańskiej przestrzeni. Zaburzenie normalnego funkcjonowania Przystani odbiłoby się negatywnie na gospodarce ich własnych światów – wytłumaczyła Jalea.

– A skoro Takaranie trzymają się z daleka, przylatuje tu każdy, kto chce się przed nimi ukryć – podsumowała Jessica.

– Owszem, choć to nie oznacza, że na Przystani jest bezpiecznie – ostrzegła Jalea. – Pewnie się domyślacie, że pełno tu szpiegów. Głupotą byłoby zakładać, że Takaranie nie mają swoich agentów na powierzchni.

– Co na to rodzina, która kontroluje Przystań? – zapytał Nathan.

– Myślę, że to ich nie obchodzi, dopóki działania wywiadu nie mają wpływu na interesy.

– A mówiąc „interesy”, masz na myśli pobieranie opłat – dodał Nathan.

– Szybko się uczysz – pochwaliła go Jalea.

– Niezupełnie. Po prostu w naszej historii jest wiele podobnych przykładów.

– Ach tak. Mamy takie powiedzenie: „Czasy się zmieniają, ale zwierzę zwane człowiekiem nigdy”.

W tym momencie podszedł do nich Władimir, otrzepując dłonie z kurzu.

– Nie mogę znaleźć nic przydatnego. Może gdybyśmy mieli więcej czasu, a ja trochę bym się znał na tych urządzeniach... Przykro mi, przyjacielu.

– Nie szkodzi. – Nathan machnął ręką.

– Lepiej wróćmy na stragany rolników – powiedziała Jalea. – Człowiek, z którym rozmawialiśmy, niedługo odjedzie.

*

– Kiedy ostatnio kontaktowałem się z podporucznik Nash, mówiła, że mają później spotkać się z jakimś lokalnym rolnikiem – zameldował Mendez po przyjściu na mostek. – Zamierzają pojechać na jego farmę, żeby kupić dużą ilość czegoś o nazwie *molo*.

Cameron odwróciła twarz, słysząc nieznane słowo.

– *Molo?*

– Coś w rodzaju grzyba. Jess, to znaczy podporucznik Nash, mówi, że to jakby połączenie pieczarek z tofu. Chyba niezbyt jej posmakowało – dodał wesoło.

– Faktycznie nie brzmi zbyt zachęcająco – zgodziła się Cameron.

– W każdym razie cholerstwo rośnie jak szalone. Z orbity widzieliśmy wielkie na setki metrów kwadratowych polacie tego grzyba. Tobin mówi, że jest odżywczy, choć dziwny w smaku, a na jego bazie można ugotować wiele potraw. To podstawa diety mieszkańców Przystani.

Cameron nie podobał się fakt, że reszta została na powierzchni. Powrót Mendeza i Weatherly'ego na „Aurorę” uszczuplił ochronę tamtych o połowę. Wprawdzie Jessica była dobrze wyszkolona, co już dwukrotnie udowodniła w ciągu ostatniego tygodnia, jednak

Cameron oczekiwała, że pobyt na księżycu potrwa zaledwie parę godzin – a teraz wyglądało na to, że się przedłuży.

– Mówili, kiedy ponownie się odezwą?

– Zamierzają skontaktować się z nami po dotarciu na farmę tamtego faceta. Podporucznik nie chce korzystać z anteny w mieście, żeby nie przyciągać uwagi.

– Dobrze – powiedziała Cameron, choć jej mina świadczyła o niezadowoleniu.

– Coś jeszcze, komandorze poruczniku? Powinienem wracać do hangaru.

– To wszystko, dziękuję.

Mendez wyprostował się, skinął głową i wyszedł.

Cameron, choć starała się tego nie okazywać przy załodze, nie czuła się komfortowo w sytuacji, gdy ich dowódca oraz główny inżynier przebywali na powierzchni obcego świata. Jej zdaniem zanadto polegali na ludziach, których prawie nie znali. Cameron nigdy nie lubiła być zdana na innych, a już szczególnie na nieznanym.

– Proszę spojrzeć, ten facet to jakiś szaleniec – powiedziała podporucznik Yosef.

Cameron spojrzała na jej konsolę i pochyliła się nad wyświetlaczem. Na pierwszy rzut oka trajektoria statku wydobywczego wydawała się normalna. Jednak po chwili stało się jasne, co Kaylah miała na myśli.

– On tak lata przez cały czas?

– Tak. Z początku myślałam, że nasze czujniki wymagają kalibracji, ale sprawdziłam. Dane są poprawne.

Cameron przyglądała się, jak stateczek zygakuje między większymi odłamkami skał, zgarniając mniejsze okruchy do czerpaka.

– On prawie nie zwalnia – stwierdziła, zaskoczona. – Da się wygenerować trójwymiarowy obraz w czasie rzeczywistym?

– Niestety nie. Nadal nie odzyskaliśmy połowy rdzeni obliczeniowych – wyjaśniła Kaylah. – Ale mogę skompilować nagranie do obejrzenia później, jeśli pani chce.

– Nie, dzięki. Po prostu stwierdziłam, że to byłby ciekawy widok. – Patrzyła jeszcze przez kilka sekund, wciąż nie mogąc się nadziwić

agresywnemu stylowi pilotażu. – Ktokolwiek siedzi za sterami, naprawdę zna się na rzeczy. Trzeba mu to przyznać.

4

Zanim Nathan i pozostali wrócili z targu z podzespołami, większość sprzedawców żywności spakowała się i odjechała.

– Wróciliście – powiedział rolnik, z którym wcześniej rozmawiali. Zdążył już złożyć stragan oraz markizę i właśnie ładował rzeczy na pojazd. – To znaczy, że nadal chcecie kupić trochę *molo*?

– Chcemy – odpowiedziała Jalea. – A pańska oferta jest nadal aktualna?

– Owszem, zapraszam. – Rolnik uśmiechnął się. – Sprzedałem dziś dużo towaru, więc mam dla was mnóstwo miejsca.

– Jak później wrócimy? – szepnęła Jessica do Nathana i Jalei.

– Skontaktujemy się z Tobinem. Farmy są poza granicami miasta, więc można tam lądować bez ograniczeń. Odbierze nas, kiedy poprosimy – zapewniła Jalea.

Rolnik wrzucił ostatnie pudło na skrzynię ładunkową transportera i otrzepał ręce.

– Nazywam się Redmond Tugwell – oznajmił, wyciągając dłoń. – Przyjaciele mówią mi po prostu Tug.

– Więc my powinniśmy zwracać się... – zaczął Nathan, ściskając mu dłoń.

– Jeśli zamierzacie kupić ode mnie dużą ilość *molo*, to możecie nazywać mnie właśnie tak.

– Dobrze, Tug, miło cię poznać. Jestem Nathan. To Jalea i Jessica, a tamci dwaj to Władimir i Danik.

– Mnie również jest miło. Wsiadajcie, możemy ruszać. Mieszkam godzinę drogi od miasta.

Pojazd był w zasadzie dużą platformą na kołach. Z przodu miał wysokie wybrzuszenie, w którym mieścił się silnik oraz niewielka konsola sterująca, kolumna kierownicy, przepustnica i hamulec ręczny. Za kierownicą znajdowała się ławeczka, na której oprócz kierowcy mogli się zmieścić dwaj pasażerowie. Wzdłuż brzegów platformy biegły barierki z rozkładanymi ławeczkami. Barierki dało

się łatwo zdemontować, dzięki czemu pojazd mógł przewozić obiekty większe nawet od skrzyni ładunkowej.

Tug wskoczył na platformę, rozłożył ławeczki i usadowił się za kierownicą. Wyciągnął rękę do Jalei, podciągnął ją i kazał usiąść po swojej prawej. Nathan zajął miejsce po lewej. Z tyłu po jednej stronie usiadła Jessica, a naprzeciw niej Władimir i Danik.

– Trzymajcie się – ostrzegł Tug. – Może trochę trząść.

Tug lekko pchnął przepustnicę i pojazd ruszył. Silnik działał bezgłośnie, jedyny dźwięk wydawał piasek i żwir pod kołami.

Sunęli bocznymi uliczkami powolnym, równym tempem, od czasu do czasu przystając, by ustąpić pierwszeństwa pieszym albo innemu pojazdowi. Ulice były mniej zatłoczone niż wcześniej. Tug wyjaśnił, że w mieście największy ruch panuje rano i wczesnym popołudniem, bo potem większość handlarzy zwija stragany. Doby na Przystani były dłuższe niż na większości światów, więc ludzie pierwszą połowę dnia spędzali na prowadzeniu interesów, a drugą w domach – w większości na niewielkich farmach.

Nathan był zaskoczony tym, jak niewiele osób mieszka w obrębie miasta. Jeśli nie liczyć sklepikarzy, którzy kwaterowali nad swoimi lokalami, oraz górników i techników obsługujących port, prawie wszyscy mieli domy na niewielkich działkach wokół miasta. Oczywiście wiązało się to z regularnymi dojazdami, ale dni były dłuższe o kilka godzin, więc mało komu to przeszkadzało.

Po dziesięciu minutach znaleźli się na obrzeżach miasta, gdzie mogli rozwinąć znacznie większą prędkość. Teren był przeważnie płaski, tylko czasami urozmaicany niewielkimi pagórkami. Przy drodze widzieli różnej wielkości gospodarstwa. Prawie każde posiadało co najmniej jedną szklarnię, choć większość miała ich kilka lub kilkanaście. Wszędzie rósł *molo* – wzdłuż drogi i pomiędzy rzędami szklarni. Tam, gdzie człowiek spodziewałby się zobaczyć przydomowy trawnik, rosły poławie grzyba. Nathan zastanowił się, po co właściwie jadą tak daleko, skoro *molo* jest wszędzie.

Rzuciło mu się w oczy, że podłoże na otwartym terenie wydaje się wyschnięte. Domyślił się, że niewiele roślinności przetrwałoby tu bez pomocy człowieka.

– Czemu jest tak sucho? – zapytał Tuga.

– Na Przystani nie pada deszcz – wyjaśnił rolnik. – W ogóle nie ma tu niczego, co nazwalibyście pogodą. Chyba że podczas długiej nocy.

– Ale oprócz *molo* rosną jakieś dzikie rośliny, więc musi tu być trochę wody.

– Pod ziemią tak. I, jak pewnie zauważyliście, w powietrzu też.

– No tak, jest bardzo wilgotne.

– Kiedy zaczyna się ciemna część cyklu, temperatura spada, a większość wody w atmosferze się skrapla. Potem, kiedy wraca słońce, przez pierwsze tygodnie wszystko się zieleni.

– Zgaduję, że niedługo zapadnie ciemność? – wywnioskowała Jessica.

– Zgadza się. Za cztery dni zacznie się długa noc.

– I naprawdę potrwa pięćdziesiąt dwa dni? – zapytał Nathan.

– Co robicie przez ten czas? – zastanowiła się Jessica. – Nie robi się zimno?

– Bardzo. Przeważnie siedzimy w domach. Osobiście pracuję wtedy w szklarniach, bo tam jest ciepło. Ale ogólnie bardzo niewiele się dzieje, kiedy jest ciemno, przynajmniej tutaj, na wsi.

– Brzmi jak typowa zima w Rosji! – wykrzyknął Władimir.

Pojazd toczył się dalej po wyboistej drodze.

– W mieście jest lepiej – dodał po chwili Tug. – Mają oświetlenie i ogrzewanie.

– Pewnie chodzi o tamte kratki wentylacyjne na budynkach.

– Tak, dmuchają na ulice ciepłym powietrzem. W ten sposób zużywają mnóstwo energii, ale to konieczne. Były plany, żeby zamknąć większość miasta w środku kopuły, ale wątpię, żeby władze chciały poświęcić tyle czasu i pieniędzy.

– Kiepsko – mruknęła Jessica.

– Nie lubisz zimna? – zapytał Władimir.

– Dorastałam na Florydzie – wyjaśniła. – Nikt tam nie lubi zimna.

– W miejscu, gdzie się wychowywałem, mieliśmy śnieg i lód przez co najmniej pół roku – powiedział Władimir. – Było bardzo chłodno, ale kiedy stopniał śnieg, robiło się zielono i pięknie.

– No cóż, na Przystani nigdy nie jest pięknie – rzekł Tug. – Może nasz księżyc nie cieszy oka, ale żyjemy tu jak chcemy i nikt nie wchodzi nam w paradę. A dzięki pierścieniom nie jest najgorzej.

Nathan przez kilka chwil wpatrywał się w surowy krajobraz.

– Właśnie zdałem sobie sprawę – powiedział – że przez cały ten czas nie widziałem ani ptaka, ani wiewiórki, ani nawet psa. Nie macie tu zwierząt?

– Jakież mamy – odparł Tug. – Choć żadne nie pochodzą stąd, bo przed reformacją Przystań była jałową skałą.

– Nie trzymacie nawet psów i kotów? – zdziwił się Nathan.

– Niektórzy tak, chociaż większości mieszkańców nie stać na takie luksusy.

– Ale na pewno macie zwierzęta hodowlane? No wiesz, krowy, kury, świnię, kozy. Zwierzęta, które można jeść.

– Oczywiście. Ale one też są drogie w utrzymaniu i sporo kosztują. Mają je tylko bogaci. Trzyma się je w pomieszczeniach, żeby chronić przed zimnem i kradzieżą.

– Za to nie brakuje robactwa – skomentowała Jessica, zabijając coś, co usiadło jej na szyi.

– Fakt – powiedział ze śmiechem Tug. – Owady zawsze znajdują sposób, żeby przekraść się na światy zamieszkałe przez ludzi.

*

– Bardzo szybko nadlatuje – ostrzegła podporucznik Yosef.

Do tego czasu wieści o umiejętnościach pilota statku wydobywczego rozeszły się po pokładzie, więc na mostek przyszło kilka osób więcej niż zwykle, żeby zobaczyć jego pierwsze lądowanie.

– Przełączyć ekran na podgląd pokładu startowego – rozkazała Cameron.

Na głównym wyświetlaczu ukazał się widok z kamery skierowanej ku rufie. Zobaczyli otwartą część pokładu, centralne przewężenie kadłuba oraz ogromną sekcję napędową „Aurory”. Mały punkcik – ledwo widoczna, błyszcząca plamka – pędził w stronę okrętu i stawał się coraz większy.

– Leci nie tylko szybko, ale też wysoko – zauważyła Cameron.

Po kilku chwilach punkcik przerodził się w niezgrabny kształt statku wydobywczego. Maszyna szybko zniżyła lot i przemknęła tuż nad rufą, a gdy tylko minęła sekcję napędową, zanurkowała

w „dolinę” przewężenia, by zaraz poderwać dziób i ostro zahamować, odpalając silniki lądowania.

– „Volander”, tu „Górnik” – z głośników usłyszeli głos pilota. – Lepiej otwórzcie zewnętrzne wrota, jeśli nie chcecie, żebym w nie wjechał.

– Zróbcie, co mówi – rozkazała Cameron.

*

Zewnętrzne wrota śluzy transferowej zaczęły się otwierać, gdy tylko podwozie statku wydobywczego dotknęło płyty lądowiska. Maszyna była tak rozpędzona, że szybko potoczyła się w stronę śluzy i ledwo zmieściła się pod wolno unoszącymi się wrotami, a potem zahamowała tuż przed wewnętrznymi drzwiami.

– „Volander”, tu „Górnik”. Jestem w środku, zamykajcie.

Wrota śluzy natychmiast zaczęły się zamykać, a statek zmniejszył obroty głównych silników, aby zaraz wjechać do hangaru.

*

– Cholera, czy to naprawdę było konieczne? – zapytała Cameron. Choć imponowały jej umiejętności pilota, nie życzyła sobie, aby ktoś lądował tak brawurowo na jej okręcie.

– Pewnie nie – zgodziła się podporucznik Yosef – choć robiło wrażenie.

– Zostawiam pani mostek, podporuczniku. Idę pogadać z tym asem przestworzy o właściwych procedurach lądowania. – Wyszła, nie czekając na odpowiedź.

*

Statek wydobywczy wjechał w głąb hangaru i ostro skręcił, po czym wreszcie się zatrzymał. Ktoś z ekipy natychmiast wbiegł pod maszynę i otworzył panel w podwoziu. Po naciśnięciu kilku przycisków mechanizmy blokady ustąpiły, a masywna kapsuła z urobkiem gładko opadła na pokład. Chwilę później dwóch robotników odtoczyło ją do rozładunku, podczas gdy inni podłączyli

statek do przewodu tankowania, wychodzącego z pobliskiego promu.

Tymczasem Cameron wkroczyła do hangaru i natychmiast podeszła do Mendeza, odpowiedzialnego za zabezpieczenie całej operacji.

– Podporuczniku Mendez – warknęła – chcę zamienić kilka słów z tamtym pilotem. – Wskazała kabinę statku wydobywczego.

– Yy, tak jest. Ale chyba musi pani porozmawiać z ich brygadzystą – odpowiedział.

– Który to?

– Wychodzi na to, że ja, psze pani.

Podszedł do nich starszy mężczyzna, który właśnie nadzorował rozładunek urobku – ten sam, który wcześniej groźnie przyglądał się Mendezowi.

– Komandorze poruczniku – zaczął Mendez – oto brygadzysta.

– Marcus Wallace do pani dyspozycji.

– Panie Wallace, chciałabym zamienić słowo z jednym z waszych pilotów – powiedziała zdecydowanym tonem Cameron.

– Domyślam się, że chodzi o Josha.

– Jeśli to ten lekkomyślny dupek za sterami statku wydobywczego, to tak.

Spojrzała przez okno kabiny i zobaczyła pilota w hełmie. Właśnie sprawdzał kontrolki przed odlotem. Większość twarzy miał zakrytą, ale na widok Cameron zasalutował kpiąco. Mogłaby przysiąc, że na jego wargach dostrzegła arogancki uśmiezek.

– Obawiam się, że to niemożliwe, proszę pani. Trwa tankowanie przy włączonych silnikach, więc nie może opuścić kokpitu. Zresztą i tak zaraz startuje.

– No to niech pan przekaze temu narwańcowi, że należy zgłaszać zamiar lądowania i postępować zgodnie z poleceniami kontrolera lotu. Bo kiedy następnym razem będzie pędził jak szalenciec, rozbije się o zamknięte wrota. Zrozumiano?

– Tak, proszę pani – odpowiedział Marcus, śmiejąc się pod nosem.

Podporucznik Mendez też się nieznacznie uśmiechnął, ale szybko spoważniał, napotkawszy karcące spojrzenie Cameron, która odwróciła się na pięcie i pospiesznie wyszła.

Marcus odezwał się przez zestaw słuchawkowy:

- Joshua, chyba wszystko słyszałeś.
- Następnym razem muszę grzecznie poprosić o pozwolenie? – zażartował Josh przez komunikator.
- Gdybyś był tak miły. I może trochę ostrożniej z tą przepustnicą.
- Niech będzie, ale psujecie całą zabawę.
- Dobra! – zawołał energicznie Marcus. – Kończyć rozładunek, przymocować kapsułę i niech startuje! Ruchy, ludzie!

Robotnicy pospiesznie wygrzebali ostatnie odłamki ze środka, a potem wtoczyli pojemnik z powrotem pod statek. Ktoś wcisnął przycisk, a wtedy mechanizm podniósł kapsułę. Zasobnik przywarł do kadłuba, zacisnęły się klamry. Rozległ się sygnał z syreny alarmowej, statek wydobywczy zamrugał światłami, ostrzegając wszystkich wokół, że zaraz ruszy. Kilka sekund później maszyna zaczęła kołować tyłem, a potem zawróciła i skierowała się do śluzy.

– „Volander”, tu „Górnik”. Proszę o pozwolenie na start – w eterze zatrzeszczał głos Joshua.

Marcus uśmiechnął się.

– Grzeczny chłopiec.

*

W miarę jak oddalali się od miasta, farmy robiły się coraz bardziej rozproszone, a między nimi ciągnęło się coraz więcej nieużytków. Wreszcie skręcili w małą, boczną dróżkę, która prowadziła do czegoś w rodzaju kanionu o pionowych ścianach. Wąwóz miał kilkaset metrów długości i czterdzieści szerokości.

– Co to za miejsce? – zapytał Nathan.

– Dom – odparł ze śmiechem Tug.

– Nie, chodzi mi o ukształtowanie terenu.

– O ile mi wiadomo, to zapadlisko.

– Żartujesz.

– Na powierzchni księżycy jest sporo miejsc, gdzie ziemia się zapadła – poinformował ich Tug. – Podobno to skutek uboczny reformacji. Żeby zagęścić atmosferę, wydobyto mnóstwo wilgoci z warstw wodonośnych, które często były zamrożone. W każdym razie niektórzy zadaszli mniejsze rozpadliska i stworzyli dla siebie habitaty. Mój jest ciut większy.

Wjechali do wąwozu. Po obu stronach drogi ciągnęły się długie szklarnie porozdzielane szopami. W głębi kompleksu leżał *molo* – pocięty, zbelowany i poukładany w sterty, gotowy do sprzedaży.

– To wszystko *molo*? – zapytał Nathan.

– Tak. Los uśmiechnął się dziś do mnie i do was. Te bele miały pojechać do innego klienta, ale ten wycofał się w ostatniej chwili. Gdyby nie wy, musiałbym to wszystko wysuszyć, żeby się nie popsuło. Oszczędziliście mi sporo pracy, więc w zamian zaoferuję wam świetną cenę za tę partię.

– Gdzie to uprawiałeś?

– Tutaj. Przed zbiorami grzyb pokrywał teren od ściany do ściany. Dno zapadliska zawiera więcej wilgoci niż grunt na górze, więc *molo* rośnie tu gęściej i szybciej niż w większości miejsc.

– Ile trzeba czasu, żeby tyle go wyrosło?

– Tylko parę tygodni.

– Cholera, to prawdziwa fabryka grzybów – zdziwiła się Jessica.

Pojazd przystanął na końcu podłużnego zapadliska, przed dużym budynkiem usytuowanym pośrodku ściany zamykającej wąwóz. Budynek, który Nathan uznał za mieszkalny, łączył się z innymi budynkami, a te z kolei były połączone za pomocą tuneli ze szklarniami, które ciągnęły się wzdłuż obu klifów. Wyglądało na to, że mieszkańcy mogli przez całą ciemną porę ani razu nie wychodzić na zewnątrz.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Tug.

Kiedy zeszli z pojazdu, z domu wyszła mała dziewczynka i kobieta kilka lat młodsza od Tuga. Ta ostatnia spoglądała na obcych bardzo nieufnie, za to dziecko było jedynie ciekawe. Kobieta zmrużyła oczy, próbując dojrzeć twarze ludzi, z którymi przyjechał do domu jej mąż.

– W porządku, Ranni. Przyjechali kupić nasz *molo*.

Metaliczny rozbłysk ujawnił jakiś przedmiot u boku kobiety. Dłoń Jessiki natychmiast powędrowała pod opończę, do kabury. Jej reakcja nie umknęła uwadze Nathana.

– O co chodzi? – zapytał szeptem.

– Jest uzbrojona.

– Zaczekaj. Może po prostu jest ostrożna.

Tug ruszył w kierunku żony, a Jalea podążyła za nim. Po kilku krokach wyłonili się z bursztynowego blasku nisko wiszącego słońca i weszli w obszar oświetlony przydomowymi lampami. Teraz kobieta mogła wreszcie lepiej zobaczyć ich twarze i wtedy nagle się rozluźniła. Schowała dużą broń energetyczną za plecy, a tymczasem córeczka puściła się biegiem w stronę ojca. Dłoń Jessiki odsunęła się od kabury.

– Tatuś! – pisnęło dziecko, skacząc w wyciągnięte ramiona ojca. Rolnik porwał dziewczynkę w powietrze, przytulił ją i ucałował w policzki. – Co mi przywiozłeś, tatusiu?

Tug odstawił córeczkę na ziemię i wyciągnął z kieszeni cukierek.

– Proszę, twój ulubiony. A teraz wracaj do domu, słońko. Tatuś musi coś załatwić. – Odwrócił się do Nathana i reszty. – Jeśli chcecie sprawdzić towar, to nie krępujcie się, zaraz do was dołączę. – Skłonił się lekko i podążył za żoną do środka.

– Dzięki, że jej nie zastrześliś, Jess – mruknął Nathan.

– Dobrze, że nie podniosła tego cholerstwa – odpowiedziała Jessica. – Zabiłabym na miejscu.

– Nie uważam, żeby ci ludzie wam zagrażali – skarciła ją Jalea.

– Na pewno masz rację. Obejrzymy *molo*? – powiedział Nathan.

Jalea poprowadziła ich w kierunku bel, zerkając z dezaprobatą na Jessicę.

– Tiaa, popatrzmy sobie na śliczne grzyby – wymamrotała podporucznik Nash.

Z wnętrza domu usłyszeli kłótnię między Tugiem a jego żoną. Mówili w swoim ojczystym języku, ale nietrudno było się zorientować, że żona rolnika nie jest zachwycona niespodziewanymi gośćmi. Nathan zerknął na Władimira. Ten najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku.

*

W kawiarence przy kosmoporcie Tobin usiadł przy tym samym stoliku, co zwykle. Dopiero wrócił z pokładu „Aurory” i wreszcie miał okazję skosztować znajomej kuchni. Właśnie zaczynał posiłek, gdy przy stoliku za nim usiadł podejrzany osobnik, odwrócony plecami do Tobina.

– Ufam, że nasi goście dotarli – powiedział cicho mężczyzna, jakby do siebie. Tobin ledwo go słyszał przez kawiarniany gwar.

– Owszem – odpowiedział między kęsami. – A co z zapłatą?

– Już jest na twoim koncie.

Tobin wyciągnął z kieszeni niewielki datapad i sprawdził saldo. Suma wywołała na jego twarzy uśmiech.

– Doskonale – mruknął, odłożył urządzenie na blat i kontynuował posiłek.

– Nie jest łatwo zebrać tak dużą sumę w tak krótkim czasie. Masz szczęście, że posiadamy zasoby w tym układzie – powiedział mężczyzna.

Tobin prychnął.

– Nie obrażaj mnie tymi kłamstwami.

– Niecierpliwimy się, Tobinie. Gdzie oni są?

– Cierpliwości. Niedługo się dowiecie.

– Dowiemy się teraz, nędzny robaku – rzucił groźnie tamten.

– W tym momencie są niedostępni – skłamał Tobin. Prawda była taka, że nie rozmawiał z nimi od kilku godzin i nie znał ich aktualnego położenia. – Trzymajcie się planu, przyjacielu. Niech wasi ludzie czekają przy moim stanowisku o ustalonej porze.

Mężczyzna odchrząknął z niezadowoleniem.

– Lepiej, żebyś się nie mylił, Tobin.

Po tych słowach jednym haustem dopił drinka i wyszedł. Tobin kontynuował posiłek, z trudem tłumiąc podekscytowanie.

*

– Domyślam się, że *molo* spełnia wasze oczekiwania – powiedział Tug, podchodząc.

– Tak, z pewnością się nada – odpowiedział Nathan.

– Ile za niego chcesz? – Jalea ewidentnie uznała, że sama powinna zająć się negocjacją ceny.

– Powiedziałbym, że dziesięć standardowych kredytów za kilogram to uczciwa cena.

– W jednej beli jest pięćdziesiąt kilo? – zapytała Jalea.

– Zgadza się. Możecie wziąć wszystkich dwadzieścia bel, jeśli chcecie.

Jalea zwróciła się do Nathana:

– To uczciwa oferta. Wątpię, czy znajdziesz lepszą.

– Ile powinniśmy kupić?

Nathan nie miał pojęcia, na ile posiłków wystarcza jedna bela. Ani też jakie zyski przyniesie wydobywanie surowców z pierścieni. W takich kwestiach musiał zaufać osądowi Jalei.

– Nie widzę powodu, żeby nie kupić wszystkiego. Jeśli będziecie go odpowiednio przechowywać, powinien wystarczyć załodze na kilka tygodni, może nawet dłużej.

– A stać nas na to? – zapytał szeptem.

Jalea dyskretnie skinęła głową i odwróciła się do Tuga.

– Weźmiemy wszystko. Należy się dziesięć tysięcy kredytów, dobrze liczę?

– Zgadza się. W jaki sposób zapłacicie?

– Jesteśmy w trakcie operacji wydobywczej w pierścieniach. Kiedy jutro rano sprzedamy na targu część surowców, zapłacimy za towar.

– Tak będzie dobrze. Towar dostaniecie po zapłacie, z pewnością rozumiecie.

– Oczywiście.

– Mogę dostarczyć go do portu, jeśli chcecie.

– Nie trzeba – zapewniła go Jalea. – Jutro odbierze go prom.

– Wasza wola. Jeśli macie ochotę, możecie zjeść z nami obiad. Poproszę żonę, żeby ugotowała trochę swojej pysznej potrawy z *molo*. W ten sposób sami skosztujecie wysokiej jakości produktu, który wam sprzedaję. A za kilka dodatkowych kredytów może nawet przekonam ją, żeby zdradziła przepis.

– Jesteśmy zaszczytzeni twoim zaproszeniem. – Jalea skłoniła głowę. – Kapitanie, mam nadzieję, że się zgodzisz. – Rzuciła mu wymowne spojrzenie.

– To rzeczywiście zaszczyt – powiedział uprzejmie Nathan, odpowiadając w podobnym stylu.

– Cudownie – powiedział Tug. – Przekażę żonie, że na obiedzie będą goście. – Skłonił głowę i ruszył do domu.

– Świetnie, grzybowa potrawka na farmie – skomentowała Jessica.

– I pomyśleć, że dołączyłam do floty, żeby wyrwać się z farmy.

– Mówiłaś, że pochodzisz z Florydy – rzucił Władimir.

– A co, myślałeś, że Floryda to same plaże i panienki w bikini? – odparowała Jessica.

– Nie jestem pewien, czy ten obiad to dobry pomysł – stwierdził Nathan. – Chyba nie powinniśmy spędzać tyle czasu na powierzchni.

– Zgadza się – poparła go pospiesznie Jessica, która szukała pretekstu, żeby nie jeść więcej *molo*.

– Odrzucenie zaproszenia byłoby dość nieuprzejme, kapitanie – ostrzegła go Jalea. – W dodatku sam mówiłeś, że chcesz dowiedzieć się więcej o tym zakątku kosmosu. Jak to ujęliście? „Zasięgnąć języka”? Teraz nadarza się okazja.

– Może masz rację. Przykro mi, Jess – powiedział Nathan.

Jessica przewróciła oczami. Wiedziała, że on ma rację – to rzeczywiście była dobra okazja na zebranie informacji.

– Gospodarze są zwykle gadatliwi przy obiedzie – przyznała.

Nathan zwrócił się do Jalei.

– Przekaż Tobinowi, żeby odebrał nas dziś wieczorem.

– Jak sobie życzysz – powiedziała i oddaliła się.

– Jessica, rozstaw miniaturową antenę i skontaktuj się przez wąskie pasmo z „Aurorą”. To znaczy z „Volanderem”. Niech wiedzą, co u nas.

*

Podporucznik Mendez obserwował, jak robotnicy dźwigają pojemniki z posortowanymi rudami z urządzenia przetwórczego do promu. Byli to głównie mężczyźni, z wyjątkiem trzech kobiet. Stanowili dziwną mieszankę najróżniejszych typów ludzi, zupełnie do siebie niepodobnych. Choć poruszali się w jednostajnym, morderczym tempie, brygadzista bez przerwy na nich krzyczał.

W pobliżu siedział ktoś z obsługi technicznej ekipy i chrupał jakąś suszoną substancję.

– Co to za ludzie? – zagadnął go Mendez.

– Po prostu robotnicy – odpowiedział technik.

– Jak to „po prostu robotnicy”?

– Najróżniejsi. Niektórzy przychodzą z własnej woli, inni kupieni.

– Co? Niewolnicy?

– Niezupełnie. Zazwyczaj po prostu są komuś winni mnóstwo pieniędzy. Podpisują kontrakt i sprzedają samych siebie do pracy, żeby spłacić dług.

– I ile trwa taki kontrakt?

– To zależy od sumy. Zwykle co najmniej kilka lat.

Mendez pokręcił głową i oddalił się, żeby zrobić kolejny obchód po hangarze. Nie robił tego z konieczności, tylko raczej po to, aby stworzyć pozory czujności i zniechęcić kogokolwiek, kto chciałby wymknąć się z pokładu startowego. Jednak ci ludzie najwyraźniej naprawdę byli tylko robotnikami. Interesowało ich jedynie przetrwanie wyczerpujących zmian, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność.

Robiąc obchód, Mendez postanowił zboczyć ze standardowej trasy i skręcić w kierunku obszaru sortowania. Po obu stronach taśmociągu stało około dziesięciu ludzi. Obok nich przesuwaly się odłamki skalne ze statku wydobywczego, a robotnicy, wyposażeni w specjalne okulary skanujące, wybierali niektóre z nich i umieszczali w pojemnikach, które stały obok. Kiedy jeden z pojemników się napełnił, inny pracownik wymieniał go na pusty, a pełny niósł do maszyny przetwórczej.

Mendez zatrzymał się przy końcu taśmociągu, gdzie stał brygadzysta Marcus.

– Co oni sortują?

– Wybierają kawałki z największą zawartością cennych metali. No wiesz, złota, srebra... Cholera, w tych pierścieniach są nawet diamenty. Jest taka teoria, że kiedyś w układzie były dwie gwiazdy, ale jedna wybuchła jako supernowa. Większość pierścieni składa się z wielkiej planety przesuniętej przez eksplozję w kierunku gazowego olbrzyma. Znalazła się za blisko i grawitacja ją rozerwała.

– Nie macie maszyn, które mogłyby sortować skały?

– Jasne. Ale maszyny kosztują. Psują się. A ludzie są tańsi i bardziej wszechstronni. – Uśmiechnął się, spoglądając na atrakcyjną, choć zaniedbaną robotniczkę.

I w tym momencie jeden z pracowników, mężczyzna w średnim wieku, oparł się obiema rękami o skraj taśmociągu. Od razu było widać, że jest wyczerpany i potrzebuje chwili wytchnienia. Jednak przerwa bez pozwolenia szybko wywołała gniew brygadzysty.

– Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz? – ryknął Marcus, idąc w jego stronę. – Czy ktoś mówił, że jest fajrant?

– Hej! – wtrącił się Mendez i chwycił brygadzystę za ramię. – Spokojnie! Nie widzisz, że jest po prostu zmęczony?

– Gównu mnie obchodzi, czy jest zmęczony! Płacimy mu za pracę, nie za odpoczynek!

– Powiedziałem: spokojnie! – powtórzył z naciskiem Mendez. Tym razem jego ton wyraźnie dawał do zrozumienia, że to nie jest sugestia.

Brygadzysta odwrócił się do podporucznika. Był zdeterminowany, by pokazać, że nikt nie będzie mu mówił, jak ma kierować podwładnymi. Wyczerpany robotnik nie chciał być powodem kłótni, świadomy faktu, że nawet jeśli uniknie kary w tym momencie, i tak go nie ominie.

– W porządku – zapewnił Mendeza. – Już dobrze. Mogę pracować.

– Wyprostował plecy i wrócił do sortowania. – O, proszę. Przepraszam, panie Wallace.

Marcus odwrócił się do Mendeza i przeszył go lodowatym spojrzeniem.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – zapytał Mendez, a w jego głosie rozbrzmiało wyzwanie.

Brygadzysta zlustrował młodego podporucznika, zahaczając wzrokiem o broń do walki w zamkniętych przestrzeniach i pistolet przy boku. Nieugięty wyraz twarzy wojskowego mówił wszystko, co Marcus Wallace chciał wiedzieć. To nie był człowiek, którego wolno lekceważyć, brygadzysta stęknął więc tylko i wrócił do swoich zajęć.

5

– Cudownie pachnie – pochwaliła grzecznie Jalea.

Żona Tuga bez słowa przyniosła jedzenie z kuchni. Choć jak dotąd zachowywała uprzejme milczenie, ewidentnie nie podobało jej się, że mąż bez zapowiedzi zaprosił gości na obiad.

– Ranni świetnie gotuje. Przepraszam, jeśli posiłek wyda wam się niezbyt urozmaicony, ale jeszcze nie zgromadziliśmy zapasów na długą ciemność.

– Na pewno będzie pyszny – zapewniła Jalea, puszczając w obieg półmisek ze smażonym *molo*.

– Macie bardzo ładny dom, Tug – rzuciła Jessica. Chciała przełamać lody, świadoma faktu, że obiad to idealna okazja do zebrania informacji. Nawet jeśli wiązało się to z wmuszeniem w siebie większych ilości *molo*. – Nieźle się ustawiliście.

– Rzeczywiście, może trochę lepiej niż inni – przyznał Tug z nutą dumy w głosie. – Nasze życie nie jest takie złe. Jasne, to ciężka praca, ale nie tak ciężka jak w górnictwie.

– Dużo ludzi wydobywa surowce z pierścieni?

– W Przystani człowieka czekają dwie ścieżki kariery – wyjaśnił Tug. – Albo pracujesz w pierścieniach, albo karmisz tych, co pracują w pierścieniach. One są jedynym powodem, dla którego zreformowano ten księżyc. Ludzie przylatują po tutejsze surowce z całego sektora.

– Czemu? – zapytał Nathan. – To znaczy skoro to taka ciężka praca.

– Zależy. W tej branży są dwa typy ludzi. Ci, którzy przylecieli z własnej woli, i ci, którzy nie mieli nic do gadania.

– Jak to nie mieli nic do gadania? – chciał wiedzieć Nathan.

– Dzięki pierścieniom człowiek może zarobić mnóstwo pieniędzy w krótkim czasie. Ci, którym się uda i przeżyją, zwykle opuszczają Przystań z majątkiem, który pozwala im zacząć życie na nowo w przyjemniejszym miejscu. Może nawet założyć firmę na bardziej dostatnym świecie. Niestety, większość przylatuje tu, żeby spłacić długi.

– Pracownicy kontraktowi?

– Coś w tym stylu. Kiedy ktoś nie jest w stanie spłacić długu, podpisuje kontrakt. Wierzyciel może go wtedy sprzedać ekipie wydobywczej na Przystani albo gdzie indziej. Tacy robotnicy muszą później pracować do końca trwania kontraktu.

– Dla mnie to brzmi jak niewolnictwo – rzuciła Jessica.

– Wiele osób zgadza się z tą opinią – przytaknął Tug. – Ten system może wydawać się barbarzyński, ale obowiązuje od stuleci. Właśnie z tego powodu Przystań jest miejscem pełnym kryminalistów, zbirów i innych podejrzanych typów.

– Dziwi mnie fakt, że Takaranie nie zapuszczają się tutaj – powiedziała Jessica w nadziei, że skieruje rozmowę na bardziej treściwe tory.

– Tak naprawdę to wymawia się „Ta’Akar”. Tak brzmi nazwisko rodu, który rządzi tą częścią kosmosu od prawie tysiąclecia. Nie zwracają sobie głowy tym układem, ponieważ wywołałoby to sprzeciw wielu sąsiednich systemów. Bo widzicie, wiele światów jest zależnych od naszych pierścieni. Nie wszyscy mogą pochwalić się takim bogactwem zasobów. Układy Ta’Akarów mają własne źródła surowców, ale wiedzą, że lepiej nie złościć tych, którzy ich nie posiadają. Jednak wielu uważa, że Ta’Akarowie mają szpiegów na Przystani. Oczywiście nie ma na to dowodów.

– Całkiem sporo wiesz o Ta’Akarach – zauważyła Jessica z nutką podejrzliwości.

– Nie więcej niż przeciętny człowiek – zapewnił Tug.

– Urodziłeś się tutaj? – zapytała Jessica.

– Nie. Znalazłem się tu przypadkiem.

– Jak to?

– Byłem pilotem myśliwca w Bojownikach Pelee. Mój okręt doznał uszkodzeń w walce, dryfowałem przez kilka tygodni. Ocalił mnie statek towarowy lecący na Przystań. Liczyli, że ograbią mój myśliwiec z komponentów, ale okazało się, że żyję, więc musieli mnie ze sobą zabrać. Potem jednak odlecieli i zostawili mnie na Przystani. Nie miałem jak wrócić na Pelee, więc Przystań siłą rzeczy stała się moim domem. Sprzedałem reaktory myśliwca i za uzyskane pieniądze kupiłem tę skromną farmę.

– Co się stało z resztą twojego okrętu? – zapytał Władimir.

– Wymontowałem jeszcze kilka podzespołów, ale poza tym jest w dużej mierze nienaruszony. Trzymam go w jednej ze stodół.

– Naprawdę? – podekscytował się Władimir. – Bardzo bym chciał rzucić na niego okiem. Oczywiście jeśli wolno.

– Nie mam nic przeciwko.

– I od tego czasu uprawiasz *molo*? – zapytała Jessica.

– Prawie dwadzieścia lat.

– Jak poznałeś żonę?

– Zobaczyłem ją któregoś razu w hali robotniczej. Pracowała dla ekipy, którą zatrudniłem do budowy dodatkowych szklarni. Nie mogłem oderwać od niej wzroku, więc wykupiłem jej kontrakt.

Jessica szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

– Chcesz powiedzieć, że kupiłeś sobie żonę?

– Nie, ja tylko zwolniłem Ranni ze wszelkich zobowiązań. Nie zmuszałem jej, żeby ze mną została. Zaproponowałem nawet, że opłacę jej przelot na rodzinną planetę, ale odmówiła i powiedziała, że zarobi na koszty transportu, pracując dla mnie. No i tak jakoś wyszło.

– Więc nigdy nie uzbierała pieniędzy na bilet, hm? – zażartował Nathan.

– Och, trzyma je gdzieś ukryte – odparł ze śmiechem Tug. – Kiedy się rozzłości, grozi, że odleci. – Dołożył sobie potrawki. – Ale dość już o mnie. A wy? Skąd pochodzicie? Rozpoznaję akcent i manieryzmy dwójki z was – dodał, wskazując na Jaleę i Danika. – Ale pozostałych nie. Chyba nigdy nie spotkałem kogoś takiego.

– Oni pochodzą z odległego układu – powiedziała Jalea.

– Naprawdę? – Tug podrapał się po podbródku, lustrując gości. – Więc jak trafiliście tak daleko od domu?

Jessica rzuciła Jalei pełne dezaprobaty spojrzenie. Przed opuszczeniem „Aurory” ostrzegła Nathana, żeby nie ujawniał zbyt wiele. Żałowała, że nie odbyła podobnej pogadanki z rebeliantką.

– Seria niefortunnych zdarzeń doprowadziła nas na wasz księżyc – odpowiedział Nathan, starannie dobierając słowa.

– Rozumiem. A czemu odwiedziliście powierzchnię? – Tug zerknął na Jaleę, która odwzajemniła spojrzenie z neutralnym wyrazem twarzy.

– Po prostu szukamy sposobu, żeby jak najszybciej wrócić do domu.

– I znaleźliście go?

– Nadal rozważamy różne opcje – powiedział Nathan.

Tug ponownie zmierzył ich wszystkich wzrokiem.

– Jest taka stara legenda. Jedna z tych, które Ta'Akarowie od wieków próbują wypłenić. Opowiada o tym, że wszyscy pochodzimy z bardzo odległego układu. Wokół tej legendy urosły kontrowersje, które ciągną się od niezliczonych pokoleń.

– Jak to? – zapytał Nathan.

– Kilka stuleci po przejęciu kontroli nad swoim światem Ta'Akarowie próbowali przekonać ludzi, że legenda jest nieprawdziwa i że wszyscy pochodzą z planety, na której żyją. Ludność się oburzyła, ponieważ legenda stanowiła podstawę ich wierzeń religijnych. Jednak Ta'Akarowie nie ustawali w wysiłkach, aż wreszcie zaczęli uciekać się do przemocy.

– To zadziałało? – zapytała Jessica.

– Z początku nie. Ale z czasem ludzie mieli dość stawiania oporu i pogodzili się z tym, co im narzucano. Oficjalnie przyjęli doktrynę Ta'Akarów, ale wielu w tajemnicy nadal wierzyło w co innego.

– A ty w co wierzysz? – zapytał Nathan. – Jeśli wolno zapytać.

– Sam nie wiem, w co wierzę – wyznał uczciwie gospodarz. – Ale na pewno nie w ta'akarską Doktrynę Pochodzenia.

– I ta doktryna przetrwała tak długi czas? – zapytał Nathan.

– Najwyraźniej cię to dziwi – powiedział Tug.

– Po prostu tego typu rzeczy zwykle zanikają, kiedy władza przechodzi z rąk do rąk na przestrzeni pokoleń.

– Tak, ale to nie dotyczy rządów Ta'Akarów – wyjaśnił Tug. – Bo widzisz, ich ród ma dostęp do specjalnej terapii, która znacznie wydłuża życie. Ostatni władca rządził przez ponad dwa stulecia, a obecny prawdopodobnie utrzyma się u władzy jeszcze dłużej.

– Naprawdę?

Choć szczegóły dotyczące takiej terapii znaleziono w ziemskiej Arce Danych, za jej pomocą udało się przedłużyć życie zaledwie o kilka dekad, a nie stuleci. Co więcej, tylko w niewielkim stopniu opóźniała ona proces starzenia.

– I ta doktryna stanowiła powód do rebelii, o której tyle słyszałem?
– Nathan nie wiedział, jak na to pytanie zareaguje Tug, ale odnosił wrażenie, że rolnik wie więcej, niż chciałby ujawnić.

– Ach tak, rebelia. – Tug uśmiechnął się, myśląc nad odpowiedzią.
– Jak pewnie wiesz, ludzie nie lubią, kiedy ktoś mówi im, co mają myśleć. Z czasem pod rządami Ta’Akarów przybywało ludzi, którzy otwarcie odrzucali ich doktrynę. Kiedy siły zbrojne spróbowały wymusić na nich posłuszeństwo, napotkały opór, który szybko przerodził się w bunt ogarniający całą ta’akarską przestrzeń. Powstanie trwa od ponad dwudziestu lat. Pochłonęło wiele istnień po obu stronach i kosztowało Ta’Akarów wiele układów.

– Chcesz powiedzieć, że kiedyś kontrolowali więcej niż pięć układów? – zapytała Jessica.

– Och tak, dwa razy tyle. Ale wojna zmusiła ich do porzucenia zewnętrznych terytoriów, aby zachować kontrolę nad centralnymi światami – wyjaśnił Tug. – Prawdę mówiąc, ten układ też kiedyś należał do nich.

– Więc za bardzo rozproszyli floty i armie? – Jessica miała nadzieję uzyskać informacje o ta’akarskich siłach zbrojnych.

– Owszem. Nie spodziewali się tak zacieklego oporu. Stracili wiele okrętów, a ich ludzie dezercerowali na masową skalę. Gdyby się nie wycofali, wątpię, czy w ogóle pokonaliby rebeliantów.

– A więc wojna się skończyła? – zapytał Nathan.

– Ostatnio Ta’Akarowie przeprowadzili ofensywę przeciwko resztkom sił buntowników. Mówi się, że uciekła ich zaledwie garstka, a Ta’Akarowie ogłosili zwycięstwo. Podejrzewam, że będą polować na niedobitków, aż wyeliminują ich co do jednego.

Nathan usłyszał melancholię w głosie Tuga.

– Chyba jesteś rozczarowany.

– Jeśli ta pogłoska okaże się prawdą, to tylko kwestia czasu, zanim Ta’Akarowie upomną się o utracone układy.

– Wielu uważa, że nie poprzestaną na odzyskaniu tego, co stracili – wtrąciła Jalea.

– Sądzisz, że planują dalszą ekspansję – domyślił się Nathan.

– Jeśli chcą zapobiec przyszłym niepokojom, rozsądnie z ich strony byłoby poszerzyć obszar wpływów – wyjaśnił Tug. – Dzięki temu staną się znacznie potężniejsi.

– Zbyt potężni, by ktokolwiek ich obalił – skwitowała Jessica.

– Ale jeśli, tak jak mówisz, ich siły są obecnie osłabione, to czy ekspansja nie powinna być trudna?

– Można by tak pomyśleć – zgodził się Tug. – Jednak mówi się, że Ta’Akarowie są na skraju przełomu. Pracują nad nowym, prawie niewyczerpanym źródłem energii. Jeśli to prawda, nikt ich nie powstrzyma.

Po tych słowach przy stole zaległa cisza. Nathan z jednej strony był ciekaw tych pogłosek, ale z drugiej strony złościł się, że to kolejna informacja, jaką Jalea postanowiła przed nimi zataić.

– Co wiesz o tym źródle energii? – zapytała Jessica.

– Tylko tyle, że naukowcy prowadzą badania na rodzinnej planecie Ta’Akarów i że podobno prace są bliskie ukończenia.

– Skąd o tym tyle wiesz? – zapytała Jessica. – Coś takiego jest chyba objęte tajemnicą.

– Ta’Akarowie mówią o tym otwarciu, bo swoją rodzinną planetę uważają za twierdzę nie do zdobycia. A wiedza o nadchodzącym przełomie technologicznym pomaga utrzymać ludność w ryzach. Poddani mają nadzieję na lepszą, stabilniejszą przyszłość.

Znów zapadła cisza.

– Ale dość już o doktrynach i rebeliach. To zbyt przygnębiający temat, jak na rozmowę przy obiedzie. – Rolnik zwrócił się do Rosjanina. – Władimirze, niewiele się dzisiaj odzywałeś. Opowiedz mi o waszym świecie.

Władimir spojrzał niepewnie na Nathana, ale ten tylko skinął lekko głową i wzruszył ramionami.

– Nasz świat jest pięknym miejscem – zaczął Rosjanin, ostrożnie dobierając słowa. – Ma wiele różnorodnych klimatów i ekosystemów, a także mnóstwo kultur i cywilizacji. Niektóre liczą sobie tysiące lat – dodał, ponieważ był dumny ze swojego rosyjskiego dziedzictwa. Jego kultura należała do tych nielicznych, które przetrwały wielką biologiczno-cyfrową zarazę.

– Doprawdy? Wasza cywilizacja jest aż tak stara? – Tug był zdumiony. – Więc jak to możliwe, że nigdy nie natrafiliśmy na waszych rodaków?

– Dopiero niedawno zaczęliśmy zapuszczać się poza nasz skrawek kosmosu – wtrąciła się Jessica.

– Więc jesteście odkrywcami?

– Tak, w pewnym sensie – powiedział Nathan.

– W pewnym sensie wszyscy nimi jesteśmy, prawda? – podsumował Tug.

Władimir, który jak zwykle szybko pochłonął jedzenie, postanowił się ulotnić.

– To może wy sobie spokojnie jedzcie, a ja, jeśli nikt nie ma nic przeciwko, pójdę zerknąć na twój statek.

– Oczywiście – zgodził się Tug. – Znajdziesz go w tamtej dużej stodole na końcu kompleksu. Wyjdź frontowymi drzwiami i idź prosto, nie przegapisz jej.

– Dziękuję – odparł Rosjanin, wstając zza stołu.

Jalea powiedziała coś w swoim ojczystym języku do Danika, który szybko podniósł się i podążył za Władimirem.

– Kapitanie, ciekawi mnie jedna rzecz – odezwał się Tug.

Zaniepokojona Jessica kopnęła Nathana pod stołem w ramach przypomnienia, że musi uważać na słowa.

– Co takiego? – zapytał Nathan tak uprzejmie, jak potrafił.

– Władimir powiedział, że wasz świat ma tysiące lat. A jednak nigdy nie słyszałem o cywilizacji starszej niż milenium, z wyjątkiem jednej. Czyżbyście pochodzili z planety, o której myślę?

Nathan poczuł się zapędzony w kozi róg. Choć mieli gospodarza za prostego rolnika, okazało się, że dysponuje on znaczącą wiedzą o zakątku Galaktyki, w którym się znaleźli. Co więcej, kapitan podejrzewał, że Tug zataja przed nimi wiele innych, przydatnych informacji.

W przeszłości Nathan zawsze stawiał na bezpośredniość, ale teraz stawka była znacznie wyższa, a on poczuł się jak ryba wyjęta z wody.

– Gdyby tak było, co oznaczałoby to dla ciebie?

– Odpowiedź na to pytanie jest skomplikowana.

– Spróbuję się nie pogubić – zapewnił Nathan z cieniem uśmiechu w kąciку ust. Zerknął na Jessicę, która nie była pod wrażeniem jego umiejętności omijania niewygodnych tematów.

– Może będzie lepiej, jeśli opowiem wam tę legendę – zaczął Tug. – Mówi ona, że cała ludzkość pochodzi z jednej, bardzo odległej planety zwanej Ziemią. Blisko trzysta tysięcy lat temu jej

mieszkańcy zaczęli podróżować do sąsiednich gwiazd. W którymś momencie rozgniewali czymś swoich bogów i zostali pokarani potwornym złem, które szybko rozprzestrzeniło się po ich światach. Wielu uciekło, żeby ich również nie pochłonęła owa potworność. Niektóre grupy zdołały zbiec i zaczęły życie na nowych, nietkniętych światach. Inne z kolei były już skażone przez ludzi dotkniętych złem. Te światy upadły, zanim jeszcze się narodziły, a ich ludność rozproszyła się jeszcze dalej w głąb Galaktyki.

– A to jest jeden z takich układów? – zapytał Nathan.

– Można tak powiedzieć. Uważa się, że część takich statków w końcu osiedliła się gromadzie Pentaura. Jest tam pięć gwiazd, bogate w zasoby i zdatne do zamieszkania planety pozwoliły na szybki rozwój cywilizacji międzygwiazdnej. Dzięki niewielkim odległościom kolonie wymieniały się technologiami i surowcami, z korzyścią dla wszystkich. Przynajmniej na początku. – Tug podniósł butelkę i nalał wszystkim po równo, po czym kontynuował: – Do czasu, gdy jeden ze światów zapragnął mieć więcej i uznał, że najlepiej zdobyć to siłą.

– Ta’Akarowie – domyśliła się Jessica.

– Zgadza się. Zdobyli pozostałe planety tak szybko, że ich przywódca obwołał się bogiem, którego przeznaczeniem jest rządzić wszystkim, co zdoła podbić. Choć, o ile mi wiadomo, nazywał to raczej „zjednoczeniem”.

– W jaki sposób tak szybko zdobyli pozostałe światy? – zapytała Jessica.

– Nie utworzyły sił zbrojnych – wyjaśnił Tug. – Nie uznały tego za konieczne.

Nathanowi przeszła przez myśl Ziemia i jego ojciec, który ubiegał się o urząd, aby powstrzymać rozbudowę floty, ponieważ podobnie jak wielu innych obawiał się, że to sprowokuje dynastię Jung do ataku wyprzedzającego.

– Kiedy Ta’Akarowie zaczęli propagować tę Doktrynę Pochodzenia?

– Dopiero gdy przejęli kontrolę również nad układami wokół gromady Pentaura. To wtedy Caius Ta’Akar obwołał się władcą wszystkich światów.

– Trochę to narcystyczne – mruknęła Jessica. – I nikt nie próbował go powstrzymać?

– Z początku nie. Przyjęcie Doktryny egzekwowano z taką brutalnością, że nikt nie odważył się jej przeciwstawić. Bywało tak, że bombardowano z kosmosu i równano z ziemią całe miasta, żeby pokazać, że opór nie będzie tolerowany. To były czasy oblędu i rozpacz.

– A jednak ci rebelianci odrzucają Doktrynę? – zapytał Nathan.

– W tym powstaniu nie chodzi o Doktrynę Pochodzenia samą w sobie. Nikogo tak naprawdę nie interesuje, skąd pochodzimy, a rebelianci nie buntują się przeciw temu, że narzuca im się wiarę w wynurzenia megalomana. Ta'Akarowie przedstawiają ich w oczach opinii publicznej jako terrorystów i fundamentalistów. Ale nie dajcie się zwieść. Tu chodzi o wolność, ni mniej, ni więcej. Zestawienie Doktryny z legendą o pochodzeniu człowieka to tak naprawdę tylko symbol ucisku i niesprawiedliwości.

Nathan nie odpowiedział od razu. Jako były student historii był zafascynowany opowieścią rolnika. Jednak obecnie najbardziej interesował go wpływ zaistniałej sytuacji na jego podwładnych, jego okręt i, co ważniejsze, jego świat.

– To bardzo ciekawa opowieść, Tug, ale nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Gdybyśmy naprawdę pochodzili z Ziemi, co by to dla ciebie oznaczało?

– Dla mnie osobiście? Nic. Choć byłoby to, delikatnie mówiąc, interesujące. No bo wiecie, to niesamowite, kiedy legenda okazuje się prawdą. – Rolnik zadumał się na chwilę. – Jak się zastanowić, to chyba miałyby na mnie wielki wpływ. A na innych? To kolejna trudna kwestia, kapitanie.

Tug nachylił się do przodu, opierając łokcie o stół.

– Ale gdybyście pochodzili z Ziemi, a Ta'Akarowie się o tym dowiedzieli, znaleźlibyście się w ogromnym niebezpieczeństwie.

Nathan wyczuł powagę w głosie Tuga.

– Czemu? Jakie stanowimy dla nich zagrożenie?

Tug szeroko otworzył oczy i zawołał coś w ojczystym języku, gdy rozmówca niechętnie potwierdził jego przypuszczenia. Nathan natychmiast zrozumiał swój błąd.

– Więc to prawda?! – wykrzyknął Tug. – Kapitanie, Caius uzna was za bezpośrednie zagrożenie dla swojej suwerenności. Nie rozumiesz? Jesteście chodzącym dowodem, że jego Doktryna to stek bzdur. Kiedy rozniosą się wieści o waszym przybyciu, a możecie być pewni, że się rozniosą, ludzie zbuntują się po raz kolejny. To będzie koniec Caiusa i jego reżimu!

– Albo nastąpi pieprzona rzeź – wtrąciła się Jessica.

– Jess!

– Nie! Nathan, słyszałeś, co mówił. Zrównali całe miasta z ziemią, żeby udowodnić, że nie żartują. Jak myślisz, co zrobią w takiej sytuacji? Co zrobią z nami?

– Nie zniszczą waszego okrętu – zapewniła Jalea.

– Gówno prawda! Rozwalą nas w drobny mak i pozbędą się śladów.

– Bardzo prawdopodobne, że już wiedzą o technologii napędu skokowego – wyjaśniła Jalea – a w takim wypadku zechcą przejąć „Aurorę” w jednym kawałku.

– Co to jest napęd skokowy? – zapytał Tug. Jalea zaczęła wyjaśniać w ich ojczystym języku, ale zdążyła powiedzieć tylko kilka słów, bo Jessica nagle zerwała się na równe nogi, wyszarpnęła pistolet z kabury i wycelowała jej w głowę.

– Zamknij gębę, natychmiast! – warknęła.

– Spokojnie, Jess! – zawołał Nathan, unosząc ręce. Wprawdzie nie mierzyła w niego, ale miał broń tuż przed nosem. – Co ty, do cholery, wyprawiasz?

– Ona mu mówi o napędzie, Nathan!

Nagle z kuchni dobiegł wysoki, mechaniczny jęk. Jessica obejrzała się w lewo i zobaczyła Ranni, żonę Tuga, stojącą w progu z uniesioną bronią energetyczną. Celowała w głowę Jessiki i była gotowa do strzału.

Jessica przesunęła lufę o parę cali w lewo – tak, aby teraz mierzyć w Tuga.

– To nie jest standardowa broń prosto z magazynu – poinformowała spokojnie. – Osobiście wyregulowałam czułość spustu. Wystarczy delikatnie pociągnąć. – Spojrzała gospodarzowi prosto w oczy, mrużąc powieki i dając jasno do zrozumienia, że nie

zawaha się przed niczym. – Kiedy ona mnie zastrzeli, módl się, żeby nie drgnął mi palec.

Przez kilka długich sekund wszyscy milczeli, rozważając dostępne opcje. Wreszcie odezwał się Nathan.

– W porządku, niech wszyscy się uspokoją i wezmą głęboki wdech – zaczął cichym i opanowanym głosem. Zerknął na podporucznik Nash. – Powiedz, co jest nie tak, Jess.

– Ta mała rebeliancka księżniczka musi się nauczyć, żeby nie paplać o czymś, co nie jest jej sprawą.

– Chyba masz rację.

– Przepraszam, jeśli coś źle powiedziałam, kapitanie – wtrąciła się Jalea.

– Przeprosiny przyjęte – odpowiedział Nathan, ale uniósł rękę na znak, że to nie najlepszy moment, żeby się odzywała. – A teraz może wszyscy opuścimy broń i porozmawiamy jak cywilizowani, dorośli ludzie, dobrze? – Spojrzał na Jessicę. – Pasuje?

– Jeśli ona robi to samo.

Nathan spojrzał na Tuga.

– A robi?

Tug rzucił żonie uspokajające spojrzenie i skinął głową. Ranni powoli opuściła lufę i wyłączyła broń, która wydała opadający, coraz cichszy jęk.

– Chyba powinienem ci coś powiedzieć, kapitanie – odezwał się Tug. – Trzymam pod stołem broń, którą teraz położę na blacie, żeby była na widoku.

Powoli wyjął spod stołu niewielki emiter energii, który ścisnął między kciukiem a palcem wskazującym, aby było jasne, że go nie użyje. Położył broń na blacie.

– Robię to na znak dobrej woli – wyjaśnił z uśmiechem. – Przepraszam, kapitanie, ale mieszkamy daleko od miasta, a przecież nie znamy się dobrze.

– Nie szkodzi – zapewnił Nathan. – Rozumiem wasze obawy. A teraz może usiądziemy i dokończymy rozmowę?

Usiadł, a Jessica zaraz zrobiła to samo.

– Wycofać się – rzuciła przez komunikator.

Nathan spojrzał na nią ze zdziwieniem i podążył za jej wzrokiem. Na zacienionej werandzie, za oknem za plecami Tuga, stał Władimir.

W prawej ręce trzymał broń do walki w zamkniętych przestrzeniach, z której celował do rolnika i jego żony. W lewej miał pistolet wymierzony w kogoś niewidocznego. Nathan założył, że to Danik. Władimir puścił oko do zgromadzonych i opuścił broń. Nathanowi ten widok wydał się odrobinę niepokojący, bo do tej pory znał kolegę i współlokatora jako jowialnego, wesołego faceta, który z wprawą eksperta utrzymywał okręt w jak najlepszym stanie. Gdy otrząsnął się z pierwszego szoku, przeniósł wzrok na Jessicę.

– Ups, chyba zostawiłam włączony mikrofon – rzuciła potulnie.

– Kapitanie, może będzie lepiej, jeśli zaczniemy być ze sobą szczerzy – zaproponował Tug. – To całe owijanie w bawełnę jest bardzo męczące, zgodzisz się?

– Rzeczywiście – przyznał Nathan.

– Nathan, jeśli zamierzasz... – zaczęła Jessica.

– Nie każ mi przypominać, kto tu dowodzi, Jess – ostrzegł i rzucił jej poważne spojrzenie, po czym znów skupił uwagę na gospodarzu.

– Owszem, Tug, jesteśmy z Ziemi. Ale trafiliśmy tu przypadkiem. Testowaliśmy eksperymentalny system, który nazywamy napędem skokowym. Dzięki niemu jesteśmy w stanie przebyć dziesięć lat świetlnych w mgnieniu oka.

Tug spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Ależ, kapitanie, Ziemia znajduje się znacznie dalej.

– To prawda. Ale stało się coś dziwnego. Zaatakowały nas okręty Jungów, a potem, dokładnie w momencie skoku, doszło do eksplozji antymaterii. W skrócie, nagle znaleźliśmy się w gromadzie Pentaura. O ile dobrze rozumiem, wskoczyliśmy w sam środek ostatniej, desperackiej walki rebeliantów.

Tug słuchał z szeroko otwartymi oczami. Popatrzył na Jaleę, jak gdyby doszukując się znaku, że to tylko żart.

– To byliście wy – szepnął. – Słyszeliśmy, że ktoś się wtrącił, dzięki czemu garstce buntowników udało się uciec. Jesteś jedną z nich? – Jalea przytaknęła. – Och, kapitanie, bez wątpienia grozi wam niebezpieczeństwo. Krąży plotka o tajemniczej jednostce, która nagle pojawiła się w środku bitwy, zniszczyła flagowy okręt Ta'Akarów, a potem po prostu zniknęła. Z pewnością ścigają was listem gończym. Będzie was szukał każdy, nawet najgłupszy

kryminalista z manią wielkości. A przecież znaleźliście się w sercu największej zbieraniny zbirów i szumowin, jaką widziała Galaktyka.

– Świetnie – rzuciła Jessica. – Znowu po uszy w gównie.

– Cóż, przynajmniej tylko my o tym wiemy – powiedział Nathan.

– Kapitanie, czy któryś z ta’akarskich okrętów widział, jak skacze? – zapytał Tug.

– Co najmniej jeden, może dwa. Nie jestem pewien.

– Jalea ma rację. Jeśli zorientowali się, że potraficie przeskakiwać między gwiazdami, nie cofną się przed niczym, żeby zdobyć tę technologię. – Tug uznał, że Nathan nadal nie rozumie powagi sytuacji, więc ciągnął: – Mówiłeś, że w momencie skoku trafiła was eksplozja antimaterii?

– Tak.

– I że dzięki temu zabrało was znacznie dalej, niż uznawaliście za możliwe?

– Taka jest robocza teoria.

– Kiedy Ta’Akarowie dodadzą dwa do dwóch, zechcą połączyć wasz napęd ze swoim nowym źródłem energii. A to zmieni ich reżim w niepowstrzymaną siłę. – Tug pokręcił głową. – Musicie go zniszczyć.

– Co zniszczyć?

– Napęd skokowy!

– Odbiło ci?! – krzyknął Nathan i zerwał się z krzesła. – To nasza jedyna droga powrotu.

– Tylko tak możemy być pewni...

– Nic nie rozumiesz – przerwał mu Nathan. – To jedyny prototyp. Na Ziemi nie istnieje więcej egzemplarzy. Nie ma nawet dokumentów świadczących o jego istnieniu. Ten napęd to jedyna nadzieja Ziemi na odparcie inwazji.

Tug spojrzał Nathanowi prosto w oczy.

– Jeśli Ta’Akarowie przechwycą wasz napęd skokowy, kapitanie, tamci Jungowie, o których mówisz, będą waszym najmniejszym problemem.

Frontowe drzwi domu Tuga otworzyły się na całą szerokość, a zza nich wypadł Nathan. Wybiegł na werandę i potknął się na schodkach. Jessica podążyła za nim, a Jalea i Tug ruszyli za nią.

– Nathan! Co ty wyprawiasz? – krzyknęła Jessica.

– Musimy wracać na okręt – powiedział Nathan, wychodząc z cienia na bursztynowy zmierzch. – Musimy stąd zniknąć!

Nagle uświadomił sobie, że donikąd nie dojdzie, więc zamarł w pół kroku. Kręciło mu się w głowie. Musiał uporządkować myśli. Jego ludzie, jego okręt i jego świat były w niebezpieczeństwie, a on musiał coś zrobić. Cokolwiek.

Odwrócił się do pozostałych.

– Jalea, wezwij Tobina, niech nas zabierze.

– Oczywiście – odpowiedziała.

– Jess, zbierz wszystkich. Czas lecieć.

Podporucznik Nash rozejrzała się.

– Dobrze, wszyscy są na miejscu – powiedział Nathan.

– Tobin się nie zgłasza – poinformowała go Jalea.

– Może to i lepiej, kapitanie – zapewnił Tug. – Statek przylatujący tutaj o tak późnej godzinie z pewnością wzbudziłby podejrzenia.

– No dobrze – mruknął Nathan, obmyślając kolejny plan. – Więc może pojazdem. Możesz nas zawieźć z powrotem do miasta?

– W jakim celu?

– Żebyśmy spotkali się z Tobinem w porcie – w głosie Nathana dała się słyszeć desperacja.

– A jeśli go tam nie ma? – zapytała Jalea.

– Zaczekamy na niego – odparł Nathan.

– Bezpieczniej byłoby poczekać tutaj – oznajmił Tug. – Z daleka od ludzi, którzy chętnie wydaliby was Ta’Akarom w zamian za nagrodę.

– Jalea? – zapytał Nathan błagalnie. – I jak?

– Niestety, nie zgłasza się.

– Jess, połącz się z okrętem – rozkazał Nathan, myśląc odrobinę bardziej racjonalnie. – Powiedz im, jak wygląda sytuacja. Niech oni spróbują skontaktować się z Tobinem.

– Tak jest. – Oddaliła się kawałek, a kiedy mijala Władimira, szepnęła do niego: – Miej na niego oko.

– Nie martw się – uspokoił ją Rosjanin, po czym zbliżył się do kolegi. – Nathan, co jest nie tak?

– Mamy przesrane – syknął Nathan pod nosem.

– Jak to? Dlaczego?

– Jeśli Tug mówi prawdę, cały sektor będzie na nas polować. A jesteśmy za bardzo uszkodzeni, żeby walczyć.

– No to po prostu uciekniemy skokiem – powiedział Władimir. – Będziemy skakać po dziesięć lat świetlnych, aż wrócimy do Sol. – Rosjanin położył koledze dłoń na ramieniu. – I nigdy nas nie dogonią – obiecał. – Za dużo się martwisz, Nathan. Nic nam nie będzie, zobaczysz.

Nathan spojrział przyjacielowi prosto w oczy. Zazdrościł Władimirowi siły i pewności siebie. Niezależnie od tego, jakie kłody los rzucał mu pod nogi, Rosjanin zawsze bez wahania stawiał czoła każdej przeszkodzie.

– Nie wiem, co robić – wyznał cicho.

– Coś wymyślisz, Nathan.

– A jeśli to będzie błąd?

– Wtedy wymyślisz inny sposób. A teraz wyprostuj się, głowa do góry i przestań jęczeć – zażartował tamten. – To żenujące.

Władimir uśmiechnął się szeroko, po czym zrobił nadąsaną minę, przedrzeźniając kolegę.

– Dobra – powiedział ze śmiechem Nathan. Stuknął w swój komunikator. – Jess, poinformuj załogę „Aurory”, że przenocujemy tutaj. Niech namierzą Tobina i powiedzą mu, żeby był gotowy zabrać stąd towar i pasażerów jutro koło... – Zawiesił głos i popatrzył na Tuga.

– Południa? – zasugerował gospodarz.

– Koło południa – dokończył Nathan. – I powiedz, że później się odezwiemy. – Wyłączył mikrofon i zwrócił się do Tuga; – Przyjmiemy twoją propozycję noclegu, a jutro odlatujemy.

– Ale nadal kupujecie ode mnie *molo*, prawda?

Nathan uśmiechnął się.

– Oczywiście.

– Mam jedną prośbę – dodał Tug.

– Jaką?

– Opowiesz mi więcej o swoim świecie?

– Oczywiście – odpowiedział Nathan, ruszając w kierunku domu.

6

Nathan wyszedł na werandę przed domem Tuga. Przez ostatnie dwie godziny opowiadał gospodarzowi o Ziemi – o kolonizacji pierwszych układów centralnych, o biologiczno-cyfrowej zarazie, która niemal zniszczyła ludzkość. Opowiedział o wiekach rozpacz po epidemii, a także o szybkim rozwoju po odnalezieniu Arki Danych sto lat wcześniej.

Tug spijał słowa z jego ust, trochę jak dziecko słuchające historii o odległej krainie. Przez cały ten czas Nathan odnosił wrażenie, że daje gospodarzowi ostatni brakujący element układanki – tajemnicy, która dręczyła go przez całe życie. To było niespodziewane doświadczenie dla nich obu. Kiedy skończył, Tug z pewnością wiedział więcej o Ziemi niż jakikolwiek inny mieszkaniec kwadrantu.

Nathan zadał sobie pytanie, czy nie powiedział zbyt wiele. Gdyby Jessica była obecna przy ich rozmowie, z pewnością uznałaby, że tak. Ale Tug chciał usłyszeć jak najwięcej. Nathan nie rozumiał, czemu wiedza o Ziemi jest dla rolnika tak istotna. Był ciekaw, ilu osobom ją przekaże. Ci ludzie nie zdawali sobie sprawy, skąd tak naprawdę pochodzili. Mieli mity, opowieści i legendy. A jednak nie znali prawdy. Nathan miał wrażenie, że w pewnym stopniu oddał temu światu sprawiedliwość.

Nathan przeciągnął się i wziął głęboki wdech. Wiejskie, nocne powietrze było inne – nadal gęste i wilgotne, przesycone wonią *molo*, ale pozbawione smrodu olejów silnikowych, spalin i innych zapachów cywilizacji. Było też cicho, niemal zbyt cicho. Na Ziemi zawsze rozlegały się jakieś dźwięki. Nawet w dziczy zawsze dały się słyszeć setki stworzeń, małych i dużych, zajętych swoimi sprawami. Jednak na tym reformowanym księżycu prawie nie było zwierząt. Cisza napawała Nathana spokojem.

Rozejrzał się po kompleksie i dostrzegł w pobliżu przykucniętą Jessicę, która właśnie rozstawiała niewielką antenę satelitarną, aby połączyć się z „Aurorą”.

– Jess, udało ci się z nimi skontaktować? – zapytał, podchodząc bliżej.

– Zaraz spróbuję.

Nathan stanął obok.

– Rozejrzałaś się po okolicy?

– Skąd pomysł, że się rozglądałam?

– A jak myślisz, czemu mianowałem cię szefową działu bezpieczeństwa?

– Bo należę do garstki osób na pokładzie, które znasz z imienia.

– Czego się dowiedziałaś?

Jessica skończyła rozstawiać antenę i wstała.

– Z tym miejscem jest coś nie tak.

– Ale co? Na moje oko wygląda normalnie.

– Niby tak, ale kilka rzeczy mi tu nie pasuje.

– Na przykład?

– Na przykład czemu tu jest tylko jeden pojazd? Można by pomyśleć, że skoro facet ma tyle szklarni, potrzebowałby więcej maszyn do transportu zbiorów na targ.

– I tak nie może jechać więcej niż jednym pojazdem jednocześnie.

– Na pewno od czasu do czasu bierze kogoś do pomocy. W przeciwnym razie po co mu tamten barak mieszkalny? Nawet jeśli jest jedynym kierowcą, chyba powinien mieć chociaż przyczepę.

Nathan zastanowił się nad jej argumentem. Jessica była z natury podejrzliwa, dzięki czemu idealnie nadawała się do swojej pracy.

– Może ktoś przyjeżdża po towar.

– Może, ale to nie wszystko. Biorąc pod uwagę skalę upraw, myślę, że powinien być trochę bogatszy. Albo odkłada pieniądze, albo rozdaje płody rolne za pół darmo.

– Czyli albo jest sprytnym biznesmenem, albo naprawdę kiepskim.

– No dobra, ale po co te wszystkie emitery?

– Emitery? – To przykuło uwagę Nathana.

– Są wmontowane w ściany zapadliska, od krawędzi klifu prawie aż do dna.

– Co to za emitery?

– Nie umiem tego rozpoznać. Ale na pewno emitery tarczy albo innego pola.

- Może tylko odstraszą owady – zażartował Nathan.
- Jasne, śmieję się. Ale pamiętasz tamten uszkodzony myśliwiec? Ten, który nasz gospodarz podobno ogołocił z części wiele lat temu? Nie jest tak poważnie uszkodzony, jak opowiadał Tug. Wprawdzie wygląda na stary i poobijany, i z pewnością uczestniczył w walce, ale Władimir twierdzi, że te uszkodzenia są świeże. Mało tego. Jego zdaniem maszyna nadal jest sprawna.
- Tug mówił, że sprzedał reaktor, żeby kupić farmę.
- Może tak zrobił. Może potem zastąpił go nowym. Może właśnie na to wydał całe pieniądze. Ale teraz myśliwiec ma dwa reaktory i oba są sprawne. Władimir uważa, że da się je odpalić i wystartować w kilka minut.
- No dobrze, to dziwne.
- I jeszcze coś. Oznaczenia na kadłubie. Przypominają emblematy na mundurach żołnierzy, którzy wdarli się na pokład C.
- Na pewno?
- Pięcioramienna gwiazda zamknięta w okrąg, trudno ją z czymś pomylić. Sądzę, że mamy do czynienia z ta'akarskim myśliwcem.
- Wspominał o dezercjach na masową skalę. Może jest dezercerem.
- Albo szpiegiem – zasugerowała Jessica.
- Przyznaję, że to straszna myśl.
- Choć prawdę mówiąc, to mało prawdopodobne – przyznała Jessica.
- Dlaczego?
- No bo uprawa *molo* to kiepska przykrywka dla szpiega. Dużo więcej czasu spędza się na farmie niż w mieście. A kiedy już się tam pojedzie, człowiek siedzi tylko na targu. Trudno w ten sposób zebrać wiele informacji. Choć z drugiej strony, może nie takie jest jego zadanie. Może ma tylko czekać, aż Ta'Akarowie będą potrzebować agenta na Przystani.
- Nie pocieszasz mnie, Jess.
- Zalecam wystawić warty na noc, tak na wszelki wypadek.
- Zgoda. Poinformuj załogę o sytuacji, a ja pójdę i zobaczę ten myśliwiec na własne oczy.

– Skontaktowaliśmy się z Tobinem – powiedziała Cameron. – Twierdzi, że władze kosmoportu poddały jego statek wyrywkowej inspekcji i dlatego na jakiś czas musiał dezaktywować łączność.

– Wierzysz mu? – spytała Jessica.

– To logiczne wyjaśnienie, chociaż nie było z nim kontaktu przez kilka godzin. Trochę za długa ta inspekcja. Zgodził się, że bezpieczniej będzie spędzić noc na farmie, zamiast wzbudzać podejrzenia nocnym lądowaniem.

– No dobrze. Odezwiemy się za cztery godziny. Bez odbioru.

Cameron dała znak oficerowi łączności, żeby zamknął kanał. Oddział naziemny przebywał na powierzchni od ośmiu godzin – czyli i tak dłużej, niż z początku zakładali – a teraz pobyt miał przedłużyć się jeszcze o co najmniej czternaście godzin.

Na „Aurorze” czas mijał bez niespodzianek. Górnicy zawieźli już na Przystań trzy promy pełne rudy, a Tobin zapewnił, że zysk z ich sprzedaży wystarczy z nawiązką na pokrycie wszelkich opłat i kosztów. A ponieważ ekipa zamierzała pracować przez całą noc, pieniędzy powinno bez problemu wystarczyć na zakup żywności.

– Kaylah, przed nami długa noc – powiedziała Cameron – a ty masz sporo pracy, więc może zrób sobie przerwę. Prześpij się, odpocznij. Ja będę monitorować ruch pod twoją nieobecność.

– A co z panią? – zapytała Kaylah. – Jest pani na służbie równie długo, co ja.

– Nic mi nie będzie, zresztą i tak niewiele sypiam – zapewniła Cameron. – Poza tym kiedy wrócisz, zdrzemnę się w kapitańskim gabinecie. A teraz idź, zanim zmienię zdanie.

– Tak jest – odpowiedziała podporucznik Yosef, po czym opuściła mostek.

Cameron usiadła na jej miejscu i długo przyglądała się wyświetlaczowi. Przed nią rozpościerało się istne morze kontaktów – mieszanka skał i okruchów lodu, przetykana tu i ówdzie jednostkami o najróżniejszych rozmiarach. Te mniejsze, prawdopodobnie statki wydobywcze, śmigały między odłamkami, podczas gdy większe tkwiły w miejscu, w pierścieniach lub tuż obok, czekając, aż napełnią się ich ładownie. Całość była bardzo dezorientująca i trudna do ogarnięcia wzrokiem.

Cameron pokręciła głową i zanotowała sobie w pamięci, że jeśli Kaylah ma tymczasowo pełnić obowiązki operatora czujników, musi przejść dodatkowe szkolenie w zakresie konfiguracji wyświetlacza. Zaczęła oznaczać poszczególne typy jednostek kolorami. Tym, które nie stanowiły zagrożenia, przypisała zieleń, natomiast te, które warto mieć na oku, wyróżniła na pomarańczowo. Jedynie dwie jednostki zasługiwały na czerwień. Obie były lokalnymi patrolowcami należącymi do rodziny rządzącej. Czuwały na skraju pierścieni. Cameron nie potrafiła określić ich zamiarów, ale jako jedyne posiadały sensowne uzbrojenie, więc należało bezustannie śledzić ich aktywność. Cameron wiedziała, że jeśli któraś znajdzie się na tyle blisko, by przyjrzeć się „Aurorze”, załoga szybko zrozumie, że to nie jest voloński frachtowiec. Wolą nie myśleć, co by się wtedy stało.

*

Podporucznik Mendez siedział na skrzyni przy ścianie hangaru i obserwował ekipę przy pracy. Powieki mu opadały i z trudem odpędzał sen. Podszedł do niego Marcus, brygadzysta. Mendez wyprostował się i szerzej otworzył oczy, żeby tamten nie widział, jak bardzo jest zmęczony. Nie przepadał za starszym mężczyzną, tym bardziej że brygadzysta przez cały czas łajał pracowników.

Marcus nie wydawał się ani trochę senny i radośnie żuł coś, co przypominało małą, brzydką marchewkę.

– Pora na dobranoc, chłopcze?

– Po prostu żałuję, że nie mam pod ręką kawy – wymamrotał Mendez.

– Co to jest kawa?

– Gorący napój, od którego nie chce się spać.

– No to idź po nią. My się nigdzie nie wybieramy.

– Nie mogę. Skończyła się.

– Szkoda. Mówisz, że dzięki niej nie śpisz?

– No.

– Masz. – Marcus wyjął z kieszeni drugą, podobną bulwę i rzucił ją Mendezowi. – Żuj to przez dłuższą chwilę.

– Co to?

– Powiedzmy, że kawa na patyku – odparł ze śmiechem Marcus. – Podziękujesz później – dodał i wrócił do pracy.

Mendez uniósł nieforemną bulwę. Po dokładniejszych oględzinach doszedł do wniosku, że to wcale nie bulwa, tylko gałązka gęsto pokryta galaretowatymi kroplami w odcieniach pomarańcza i żółci. Powąchał, ale nie poczuł żadnego zapachu. Spróbował skubnąć kawałek jednej z kropel, ale były twardsze, niż się wydawało. Oderwał całą kulkę z gałązki, obejrzał i postanowił spróbować. Była chrupka, kojarzyła się z orzechami ziemnymi. Jej smak, choć znośny, był raczej gorzki i nieprzyjemny. Zerwał kolejną i jeszcze następną, aż ogolocił patyczek niemal w połowie.

Po kilku chwilach Mendez odkrył, że nie wiadomo kiedy wstał i zaczął chodzić. Nie był w stanie usiąść, bo rozpierała go energia. Spojrzał na przechodzącego w pobliżu Marcusa i skinął mu głową w ramach podziękowania. Tamten uśmiechnął się i roześmiał.

– Tylko nie zjedz za dużo, bo zaczniesz chodzić po ścianach!

*

– Ten myśliwiec jest niesamowity – oznajmił Władimir.

Stojący w progu stodoły Nathan nie widział kolegi tak podekscytowanego, odkąd po raz pierwszy powiedział mu o napędzie skokowym. Okręt okazał się mniejszy, niż sądzili. Mierzył zaledwie dwadzieścia metrów długości i może dziesięć szerokości. Przypominał stare projekty typu „latające skrzydło” – rozciągnięty, spłaszczony trójkąt o dwóch masywnych silnikach, po jednym z każdej strony kadłuba w kształcie cygara, który tylko trochę wystawał ponad płaszczyznę głównego skrzydła. Kokpit był ledwie widocznym wybrzuszeniem z otworami obserwacyjnymi z przodu i po bokach.

Nathan podążył za Władimirem do drabinki prowadzącej do kabiny. Z ziemi widział tylko fotel pilota, ale kiedy dotarł na szczyt, zauważył, że z tyłu mieści się jeszcze drugie siedzenie.

– Tyle technologii upchniętej w tak małej maszynie – zachwycił się Władimir. – Broń energetyczna i kinetyczna, tarcze refleksyjne, antygravitacyjne systemy startowe, amortyzatory inercyjne... –

Rosjanin zrobił pauzę na oddech. – Nathan, on ma nawet generator pola nadświatlnego!

– Myśliwiec szybszy od światła?

– W ograniczonym zakresie, ale jednak. Zresztą nawet bez tego prześcignąłby „Aurorę” swoim napędem podświatlnym.

– A jaki ma ten napęd?

– Reaktory są fuzyjne, tyle wiem. Co do samych silników, nie mam pojęcia.

– Danik też nie wie?

– Nie jestem pewien. Może tak, może nie. Jeszcze nie do końca rozumiem wszystko, co mówi – wyznał Władimir.

Nathan zastanowił się, czy Danik, podobnie jak Jalea, zataja przed nimi informacje. To miałyby sens, w końcu oboje pochodzili z tej samej organizacji. Może wpojono im, żeby osobom postronnym mówili jak najmniej. Jessica z pewnością również miała takie podejście. Jeśli chodzi o Nathana, musiał dopiero opanować sztukę trzymania języka za zębami.

Zszedł z drabinki i wtedy zauważył ślady po trafieniach na kadłubie. Maszyna ewidentnie została ostrzelana. Skrzydło przy jednym z silników było osmalone. Prawdopodobnie coś się paliło.

– Myślisz, że on dalej lata?

– Jestem tego prawie pewny.

– I myślisz, że technologie z tego okrętu są dla nas cenne?

– Już sam miniaturowy napęd nadświatlny byłby bardzo przydatny. Jeśli nie dla nas, to zdecydowanie dla floty.

– Ciekawe, czy Tug zechciałby go nam sprzedać.

– Och, Nathan, nie kuś mnie – powiedział łakomie Władimir.

*

Nathan przestąpił próg niewielkiego baraku mieszkalnego za domem Tuga. Był to prosty budynek z drewna, gliny i kamienia, niewiele różniący się od pozostałych. Podłoga wyglądała jak zwykła ziemia, ale w jakiś sposób stopiono ją i zmieniono w gładką powierzchnię. W środku stało dziesięć drewnianych ram łóżek, po dwie pary z obu stron wejścia i jeszcze sześć wzdłuż przeciwległej

ściany. Na każdym leżał koc z grubej tkaniny. Po prawej znajdowały się drzwi, prawdopodobnie do łazienki.

Pomieszczenie oświetlały panele zawieszane nad każdym z łóżek. Emanowały łagodnym, miękkim blaskiem. Wzdłuż belek sufitowych biegły też rzędy większych lamp, ale te były zgaszone. Pomieszczenie, pomimo swojej prostoty, tchnęło atmosferą wygody i odprężenia, a Nathan nie mógł się doczekać, kiedy położy się i wypocznie po długim, emocjonalnie męczącym dniu. Ruszył w kierunku łazienki i już wyciągał dłoń do klamki, gdy nagle skrzydło drzwi cofnęło się do środka. Drgnął, wystraszony.

– Och, Nathan – powiedziała Jalea, sama również nieco zaskoczona. – Nie wiedziałam, że jest tu ktoś jeszcze.

Nathan cofnął się. Jalea pozbyła się większości ubrań i miała na sobie tylko obcisły kostium zwinięty tak, że sięgał kilka centymetrów poniżej pępka, oraz stary, znoszony podkoszulek. Nathana zawsze fascynowały oczy Jalei. Prawdę mówiąc, działały na niego tak mocno, że od czasu do czasu zadawał sobie pytanie, czy nie ufa jej głównie z powodu tych oczu. Jednak zawsze widział ją w luźnych ubraniach i dlatego aż do teraz nie zdawał sobie sprawy, jak doskonałą ma figurę.

– Przepraszam. Nie chciałem przeszkadzać – odezwał się.

Z jakiegoś powodu czuł zażenowanie, choć przecież nie była naga. Odwrócił się, podszedł do najbliższego łóżka, zdjął opończę i rzucił ją na łóżko.

Jalea minęła go i stanęła przy sąsiednim łóżku. Nathan obserwował ją kątem oka. Skóra na dolnej części pleców rebeliantki miała ten sam oliwkowy odcień, co jej twarz. Nie przypominała kobiet, które znał. Przez ostatnie cztery lata Nathan spotykał się tylko z koleżankami z Akademii Floty. Większość była wysportowana, z mięśniami wyrzeźbionymi przez niezliczone godziny intensywnych treningów, jakim poddawano wszystkich kadetów. Natomiast Jalea była bardziej miękka, a jej kształty bujniejsze niż u innych kobiet, które w życiu widział.

– Myślę, że Tug to dobry człowiek – powiedział, próbując skupić się na czymś innym niż wdzięki Jalei.

Zielonooka usiadła na łóżku.

– To prawda. – Położyła się na boku, twarzą w jego stronę. Podciągnęła koc, ale zakryła się tylko po biodra. – Chyba zaciekawili go twoje opowieści o Ziemi... i mnie również – dodała, opierając głowę na dłoni. Przez chwilę przyglądała mu się, gdy zdejmował kombinezon i rozbierał się do przydziałowych spodni oraz podkoszulka. – Masz dużą wiedzę na temat historii Ziemi. Wszyscy wasi ludzie są tacy wykształceni?

– To był mój kierunek studiów – wyjaśnił, ale zaraz zdał sobie sprawę, że Jalea pewnie nie zrozumie. – Skupiałem się na historii podczas swojej formalnej edukacji.

– Szczęśliwy zbieg okoliczności, biorąc pod uwagę fakt, że jesteś emisariuszem swojej planety.

– Chyba rzeczywiście.

– Myśliwiec Tuga zaciekawili waszego inżyniera?

– Bardzo. Prawdę mówiąc, chciałbym zapytać naszego gospodarza, czy nie byłby skłonny się z nim rozstać.

– Szczerze wątpię – odparła.

– Myślałem, że rolnik ma niewiele pożytku z kosmicznego myśliwca.

– Możliwe, ale Tug nie jest przeciętnym farmerem.

– Jak to? – zapytał Nathan, siadając na skraju łóżka.

– Nie zrozum mnie źle, jest wielu takich jak on. Ludzi, którzy spędzili lata, walcząc za cudzą sprawę, a potem rzucili wszystko, żeby wieść prostsze życie. Znam mnóstwo takich przypadków, choć nie na Przystani. Wydaje mi się jednak, że gdyby nie potrzebował okrętu, pozbyłby się go już dawno.

Nathan pokiwał głową. Wcześniej nie myślał o tym w ten sposób.

– Może masz rację.

Drzwi wejściowe otworzył się, a do baraku wkroczyła Jessica. Jalea natychmiast zakryła się kocem aż pod brodę i położyła głowę na zwiniętej opończy.

– Mimo wszystko nie zaszkodzi zapytać – dodała.

Jessica podejrzliwie zlustrowała ich oboje.

– Skontaktowałam się z załogą – oznajmiła.

Nathan wstał i poszedł do łazienki, a Jessica podążyła za nim.

– Wiedzą o wszystkim?

– Tak. Cameron mówi, że Tobin miał jakieś problemy z władzami portu i dlatego nie dało się z nim połączyć przez kilka godzin.

– Myślisz, że to prawda? – zapytał, wchodząc do łazienki.

– Możliwe – powiedziała, podążając za nim. Przez chwilę zmagala się z kranem. – Jak to cholerstwo odkręcić? – Wreszcie, kiedy stuknęła w górną część kranu, popłynęła woda. – Coś jest nie tak, Nathan – szepnęła, licząc, że szum wody zagłuszy ich rozmowę.

– Co masz na myśli? – odpowiedział również szeptem.

– Czemu ten księżyc? Czemu akurat Tobin? Czemu Tug? Aha, i tak się akurat składa, że Tug ma ta'akarski myśliwiec i farmę wyposażoną w emitery. Nie zapominajmy o pistolecie, który był przypięty pod blatem stołu w jadalni.

Jessica zaczęła, aż Nathan ułoży wszystko w jedną całość.

– Myślisz, że ktoś to wszystko zaplanował? Ale kto?

Zamiast odpowiedzieć, zerknęła na drzwi.

– Jalea? – parsknął z niedowierzaniem Nathan.

– A kto inny?

– Kiedy miała czas, żeby to ukartować, Jess?

– Na „Aurorze” spędzili z Tobinem trochę czasu sam na sam. I chyba są w dość zażyłych stosunkach, jak na zwykłych partnerów biznesowych.

– Daj spokój. Nie przesadzasz trochę?

– „Och, Nathanie” – szepnęła Jessica, udając seksowny ton. – „Nie zrozum mnie źle, Tug to prosty rolnik. Dobry i honorowy...”

– Podśłuchiwałaś pod drzwiami? – zapytał, zaskoczony.

– Oczywiście, że nie. Godzinę temu podłożyłam w baraku pluskwy.

– Jezu, Jess. Wszyscy z operacji specjalnych są tacy?

– Ci dobrzy tak. Po prostu nie daj się omamić jej seksowym zielonym oczom i wielkim cyckom.

– Co?

– Dobrze wiesz, o czym mówię, kapitanie.

– Myślisz, że mam szesnaście lat?

– Nie, ale jesteś facetem. Wszyscy myślicie kutasami.

– Nie jestem taki naiwny – zaprotestował Nathan.

– Gówno prawda. Wystarczyły trzy minuty, żebyś zdjął spodnie, pamiętasz? – powiedziała, opłukując ręce.

– Byłem pijany.

– Może. Ale twój kutas nie był i właśnie o tym mówię. Musisz uważać. Jalea wszystko robi w jakimś celu, a tobie nie wolno o tym zapomnieć. Ani na chwilę. – Jessica wytarła ręce w oponkę. – A teraz wyjdź, bo muszę skorzystać z toalety – rozkazała, popychając go w stronę drzwi.

– Po prostu zamknij się w kabinie – zaproponował, bo jeszcze nie uznał rozmowy za skończoną.

– *Molo* mi zaszkodził – ostrzegła. – Naprawdę lepiej wyjdź.

7

Nathan i Władimir siedzieli na werandzie przed barakiem. Przed chwilą skończyła się warta Nathana. Słońce już wstawało, a Władimir i Danik dopiero wrócili po całonocnych oględzinach systemów w myśliwcu Tuga.

– Wiesz, ona ma rację. Mężczyznę łatwiej może zmanipulować piękna kobieta. To prawda, nawet jeśli nie chcemy tego przyznać. Zresztą nie tylko faceci tak mają. U kobiet też tak jest, może w mniejszym stopniu, ale jednak.

– Uważasz, że ufam Jalei tylko dlatego, że jest atrakcyjna?

– Myślę, że z tego powodu zakładasz, że jest godna zaufania. Gdyby była starą babą, traktowałbyś ją inaczej. Ale to nic dziwnego. Jesteśmy mężczyznami. Tak się już sprawy mają. Ważne, żeby o tym wiedzieć i zawsze się zastanawiać, co tobą kieruje.

– Więc Jessica po prostu mi przypomniała, żebym się nad tym zastanawiał?

– Myślę, że tak.

– Dziwny sposób na traktowanie swojego dowódcy, co?

– Nathan, dowodzisz od niecałego tygodnia, dla załogi nadal jesteś podporucznikiem. Musisz zasłużyć na szacunek. On się nie bierze z tej przypinki na kołnierzu.

Nathan zastanowił się nad słowami kolegi, a tymczasem podszedł do nich Tug. Niósł parujący garnek i stos misek.

– Dzień dobry, przyniosłem wam śniadanie – powiedział, stawiając garnek i miski na ławie przed nimi. – Obawiam się, że dość skromne, bo tylko kleik. Za to bardzo sycący.

– Na pewno jest bardzo smaczny, dziękujemy – zapewnił Nathan.

Władimir już sobie nałożył.

– Smakuje jak kasza – powiedział z pełnymi ustami.

– Tug, zastanawialiśmy się, czy byłbyś zainteresowany sprzedażą myśliwca – rzucił Nathan.

– Och nie. Nie potrafiłbym się z nim rozstać. Zresztą po co wam tak mała jednostka? Wasz okręt jest pewnie sto razy większy.

– Na pokładzie ma ciekawe podzespoły, które chcielibyśmy zbadać. Może udałoby się wkomponować część tych technologii w nasze systemy, co zapewniłoby nam dodatkową przewagę.

– Przykro mi, kapitanie. Ewentualnie mógłbym odstąpić wam kilka nadliczbowych części, na przykład emiter tarczy albo jedno z dział pulsacyjnych. Być może okażą się przydatne.

Władimir pokiwał głową.

– Lepsze to niż nic. Choć wolałbym obejrzeć napęd nadświatłny.

– Cóż, wasz towarzysz przylatuje dopiero za kilka godzin – powiedział Tug. – Zdążycie się porządnie przyjrzeć.

– Obawiam się, że potrzebuję znacznie więcej niż kilku godzin, żeby zrozumieć, jak działa – przyznał Rosjanin.

– Przyślę ci swoją najstarszą córkę, Delizę. Ma sporą wiedzę na ten temat – obiecał Tug.

– Każda pomoc będzie mile widziana – zapewnił Władimir między łyżkami kleiku.

– Świetnie. Każę jej przyjść po porannym obrzędku. A teraz wybaczcie, mam kilka rzeczy do zrobienia. Wrócę później i wtedy zaczniemy szykować towar do transportu.

– Dziękuję. – Nathan odprowadził go wzrokiem. – Wygląda na to, że załatwiłeś sobie korepetycje z technologii nadświatłnej.

Władimir nie odpowiedział, zbyt zajęty jedzeniem.

*

Statek Tobina wzbijał tumany kurzu, wisząc kilka metrów nad ziemią i powoli obracając się dziobem w kierunku, z którego nadleciał, a potem zaczął lądować pośrodku kompleksu. Nathan, Jessica, Jalea i Tug schronili się przed pyłem i kamykami za pojazdem, którym wczoraj przyjechali. Statek Tobina osiadł na ziemi, a silniki zaczęły cichnąć. Nathan rozejrzał się i zauważył, że kurz prawie nie opada.

– To dlatego zwykle nie wysyłam towaru powietrzem! – Tug przekrzyczał hałas. – Minie mnóstwo czasu, zanim chmura się rozproszy! To jeden z minusów mieszkania w wielkiej dziurze!

Gospodarz podciągnął koszulę na usta i nos, żeby nie nawdychać się kurzu, a potem wyłonił się zza pojazdu. Nathan zrobił to samo.

W prawej burcie statku otworzyła się rampa załadunkowa i zobaczyli Tobina.

– Kapitanie! Dobrze widzieć, że jesteś bezpieczny.

– A czemu miałbym nie być?

– To jest Przystań. „Bezpieczny” niewiele znaczy na tym księżycu – odparł tamten z uśmiechem. – Zaczynamy?

– Tobin, Tug – przedstawił ich sobie Nathan. – Chyba najpierw powinniśmy uregulować należność.

– Tak, oczywiście – zgodził się Tobin, udając, że zapomniał. Wyjął spod opończy niewielki woreczek. – Tyle powinno wystarczyć.

Tug wziął woreczek i, zaskoczony jego ciężarem, zajrzał do środka. Zawartość przerastała to, czego oczekiwał.

– Zbytek hojności, kapitanie.

– Powiedzmy, że to premia za gościnność – odparł Nathan.

– Ależ to dwa razy więcej, niż ten *molo* jest wart.

– No, ale z drugiej strony, wczoraj omal nie odstrzeliliśmy ci głowy.

– Nathan zaśmiał się pod nosem. – Więc chyba zasłużyłeś. Może kiedy twoja żona to zobaczy, przestanie się gniewać za sprowadzenie na obiad zgrai obcych.

– Rzeczywiście, może i tak – przytaknął gospodarz, chowając woreczek do kieszeni.

– Powinniśmy wyruszyć jak najszybciej – oznajmił Tobin.

– Oczywiście.

Nathan odwrócił się do pozostałych i dał znak, żeby rozpoczęli załadunek. Szybko przynieśli starannie związane kostki *molo* i zaczęli ustawiać je pośrodku niewielkiej przestrzeni pasażerskiej.

– Od ściany do ściany – poradził Tobin.

– Jak wtedy zmieścimy się na pokładzie?

– Wolałbym osobno zabrać towar i pasażerów – wyjaśnił Tobin. – Nie mamy jak zabezpieczyć ładunku. W razie turbulencji ryzykujemy, że towar zrobi komuś krzywdę.

Nathan zajrzał do kabiny. Choć podejrzewał, że dałoby radę zabrać wszystko i wszystkich na raz, uznał, że lepiej zachować ostrożność i posłuchać rady Tobina. Tym bardziej że Władimir jeszcze nie skończył oględzin napędu nadświetlnego w myśliwcu, więc to i tak nie będzie zmarnowany czas.

– W porządku, ładujemy od ściany do ściany.

Po dziesięciu minutach statek był gotowy do odlotu.

– Świetnie, kapitanie. Zabieram towar na wasz okręt i wracam za godzinę z minutami.

Tobin pomachał im na pożegnanie, a potem wszedł na pokład i podniósł rampę. Nathan i pozostali odsunęli się, gdy silniki statku zwiększyły obroty. Po kilku chwilach jęk turbin ustąpił rykowi silników odrzutowych, gdy jednostka uniosła się pionowo w powietrze, aż wyłoniła się z zapadliska i dopiero wtedy zaczęła przyspieszać do przodu. Nie widzieli jej już przez gęstą chmurę pyłu, usłyszeli cichnący dźwięk silników.

– Żona będzie mi suszyć głowę za ten kurz – poskarżył się Tug.

– Jess, skontaktuj się z „Aurorą” i powiedz, że Tobin leci do nich z towarem. I daj im znać, że niedługo wracamy na pokład. Idę sprawdzić, co u Władimira.

*

– Komandorze poruczniku – odezwała się Kaylah – jeden z promów towarowych właśnie odleciał na Przyszań.

– Znowu? To już czwarta partia dzisiaj – powiedziała Cameron. – Ile rzeczy oni tam kupują? – Cameron obróciła się w fotelu dowódcy. Miała za sobą ciężką noc, a po kilku krótkich drzemkach w kapitańskim gabinecie bolał ją kark. – Co z Tobinem?

– Przed godziną wystartował z kosmoportu, a kwadrans temu wylądował na powierzchni około trzydziestu kilometrów za miastem. Zakładam, że to miejsce pobytu naszych ludzi, bo zaraz po starcie podporucznik Nash nadała wiadomość, że Tobin leci do nas z towarem. Z czymś o nazwie *molo*. Powinien dotrzeć tu za kilka minut. Widzę, że właśnie wchodzi w obszar pierścieni...

Kaylah urwała w pół zdania.

– O co chodzi? – zapytała zaintrygowana Cameron.

– Dziwne. – Podporucznik Yosef sprawdziła wszystkie odczyty. – Mogłabym przysiąc, że widziałam dość duży kontakt, ale teraz go nie ma.

– Udało się go zidentyfikować?

– Nie, zniknął po ułamku sekundy. System nawet nie zdążył zarejestrować trajektorii.

- Może to jakiś błąd? – wysnuła teorię Cameron.
- Niewykluczone, choć jestem prawie pewna, że to był prawdziwy kontakt. – Kaylah odwróciła twarz do Cameron. – Może ukrył się za planetą, zanim zdążyliśmy go namierzyć.
- To w ogóle możliwe?
- Już wcześniej bywało tak, że kontakty wyłaniały się zza gazowego olbrzyma, choć nie widziałam, żeby za nim zniknęły. Zakładałam, że nadleciały niewidoczne za tarczą planety.
- Kiedy się pokaże?
- Przy normalnej prędkości orbitalnej za jakąś godzinę.
- No cóż, i tak nie możemy tam lecieć, żeby sprawdzić, co to za statek – powiedziała Cameron. – Miejmy oczy otwarte na wypadek, gdyby wrócił.
- Tak jest.

*

- Ile jeszcze zamierzasz się ukrywać? – zapytała błagalnie Jalea. Klócili się z Tugiem w baraku.
- Przez resztę życia! – odparł tamten z przekonaniem. – Powstanie skończone, Jalea. Po prostu nie umiesz przyznać się do porażki.
- Powiedziałeś kiedyś, że dopóki utrzymasz w ręku broń, nie zaprzestasz walki! Co się zmieniło?
- My już nawet nie trzymamy w ręku broni! – odpowiedział. – Nie mamy okrętów, a tych dwudziestu ludzi, którzy ocaleli, rozpierzchnęli się na wszystkie strony. Zresztą jeśli Ta'Akarowie opracują to nowe źródło zasilania, nic ich nie powstrzyma.
- Właśnie że mamy broń! – zaprzeczyła Jalea. – Ich okręt! Z jego napędem skokowym możemy nagle pojawić się obok kluczowych celów, zniszczyć je, a potem zniknąć, zanim ktokolwiek zdąży zareagować!
- Więc proponujesz toczyć wojnę jednym uszkodzonym okrętem? Sama mówiłaś, że mocno oberwał. Nie ma broni energetycznej ani tarcz. Nie jest nawet ukończony.
- Możemy go naprawić – kontynuowała błagalnie. – Możemy użyć naszej technologii, dać im uzbrojenie, ulepszyć ich tarcze...
- I jak to sobie wyobrażasz? Skąd weźmiesz armię?

– Odnajdziemy naszych ludzi. A kiedy wieści o naszych niesamowitych zwycięstwach się rozejdą, ludzie znów zaczną garnąć się do walki.

– Powiedz mi jedno, Jalea. Czemu tamci mieliby dołączyć do naszej wojny? – zapytał Tug, wskazując na zewnątrz.

– Bo potrzebują źródła zasilania. Bez niego powrót do domu zajmie im wiele miesięcy zamiast kilku tygodni. A ich świat desperacko potrzebuje tego napędu skokowego. Pomagając nam, pomogą samym sobie.

Tug przez kilka chwil mierzył ją wzrokiem.

– Może masz rację. Jednak mimo wszystko nie mogę się przyłączyć. Obiecałem coś Ranni i dzieciom.

– Swoim ludziom też coś obiecałeś.

– Tylko bez takich, Jalea. Walczyłem tyle, co każdy. Nawet więcej! Walczyłem, kiedy ty jeszcze nosiłaś warkocze i uczyłaś się *Angla* ze swoim ojcem. Przelałem tyle własnej krwi, ile może przelać człowiek i przeżyć. Omal nie zginąłem w tej ostatniej bitwie. Rany mi się jeszcze w pełni nie zagoiły. Jeżeli znów ich zostawię, mogę nie mieć dokąd wracać. – Tug usiadł na jednym z łóżek. – Mój czas w szeregach *Karuzari* minął, Jalea. Pora, by teraz ktoś inny przejął sztandar.

Usiadła obok i ujęła jego dłoń.

– Nie miałam zamiaru lekceważyć twoich dokonań, przecież wiesz. Nikt nie walczył tak dzielnie jak ty. Inspirowałeś nas przez ponad dwadzieścia lat. Nie zapomnimy o tobie.

*

Tobin nerwowo przechadzał się po hangarze, podczas gdy podporucznik Mendez i kilku innych członków załogi kończyli rozładowywać *molo*. Podporucznik zauważył, że Tobin czymś się niepokoi.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak, tak, wszystko dobrze. Czemu pytasz?

– Jesteś jakiś nerwowy.

– Po prostu chcę jak najszybciej zabrać waszych ludzi z powierzchni – odparł Tobin.

– Tak samo jak nasz oficer wykonawczy.

Tobin nawet go nie słuchał, tylko podszedł do statku, udając, że sprawdza dyszę silnika manewrowego. Mendez wrócił do pracy, ale nie spuszczał Tobina z oka.

– To już wszystko – oznajmił w końcu.

– Świetnie – powiedział Tobin, wchodząc po rampie.

– Nie musisz zatankować? – zapytał Mendez.

– Nie, dziękuję, podporuczniku. Mam sporo paliwa – zapewnił pilot i zniknął w kokpicie.

Gdy tylko Mendez zszedł z rampy, właz zaczął się zamykać. Po krótkiej chwili statek zawrócił i skierował dziób w stronę śluzy transferowej. Podporucznik ledwo zdążył uskoczyć mu z drogi.

– Cholera, facetowi naprawdę się spieszy! – zawołał do sierżanta.

*

Mały, nieoznakowany statek mknął ponad morzem w kierunku brzegu. Kiedy zbliżył się do kosmoportu, gwałtownie zwolnił. Nikt nie protestował, nie kazał mu czekać ani nie zadawał pytań o cel wizyty. Wszyscy, którzy go dostrzegli, mieli świadomość, że rozsądniej będzie odwrócić wzrok.

Statek, zamiast obrać standardową trasę podejścia, przemknął tuż nad rzędami stanowisk, aż dotarł do celu podróży. Opadł pionowo w dół. Podwozie wysunęło się z kadłuba na ułamek sekundy przed przyziemieniem, a rampa zejściowa otworzyła się jeszcze wcześniej.

Załoga promu towarowego ekipy wydobywczej z „Aurory” właśnie skończyła wyładunek urobku, kiedy obcy statek wylądował tuż obok nich, na tym samym stanowisku postojowym. Było to dość niespodziewane, więc pilot promu był, delikatnie mówiąc, poirytowany.

– Za kogo ty się, kurwa, uważasz?! – ryknął, sadząc wielkie kroki w kierunku rampy nieoznakowanej maszyny. – To prywatna...

Celny strzał z broni energetycznej przerwał mu w pół zdania. Wiązka trafiła prosto w pierś i odrzuciła go na co najmniej dwa metry. Upadł u stóp kontraktowych robotników, którym rozkazywał jeszcze kilka sekund wcześniej. Tamci z niedowierzaniem patrzyli na syczącą i dymiącą ranę w ciele pilota.

Ich niedowierzenie szybko zmieniło się w przerażenie, gdy z nieoznakowanego statku wyłoniło się dwunastu żołnierzy w czarno-szarych pancerzach. Ich wyciszona broń energetyczna wydawała jedynie ledwo słyszalne kliknięcia, gdy sprawnie pozbywali się celów. Napastnicy szybko rozeszli się na obie flanki, nie przestając strzelać. Dały się słyszeć stęknięcia i stłumione jęki ich ofiar, gdy robotnicy jeden po drugim ginęli od podobnych ran, co pilot. Po kilku sekundach było po wszystkim. Na asfalcie leżały tylko dymiące zwłoki.

– Czysto! – zawołał dowódca oddziału.

Po chwili ze statku wyszedł oficer i rozejrzał się z rampy.

– Pozbyć się ciał i oczyścić stanowisko – rozkazał, schodząc.

Ze statku wyłoniło się kolejnych kilkunastu żołnierzy. Oficer dał znak pilotowi, że może odlecieć. Silniki, które ciągle były na chodzie, zwiększyły moc, a statek wzniósł się w powietrze i oddalił się w kierunku lądu.

– Tu „Halo”, lecę na wyznaczoną pozycję – oznajmił pilot przez komunikator.

– Przyjąłem, „Halo”. Oddział drugi odezwie się, kiedy będą gotowi opuścić teren. – Oficer stanął pośrodku stanowiska postojowego i przez chwilę patrzył, jak jego ludzie wciągają ciała robotników do pobliskich budynków. – Za dziesięć minut przyleci druga jednostka, więc szybsze ruchy!

*

Po kilku minutach dowódca oddziału podszedł do przełożonego.

– Wszystkie ciała zabezpieczone, sir – zameldował, salutując.

– A co z oddziałem szturmowym?

– Ukryci w budynkach serwisowych.

– Świetnie – powiedział oficer i odwrócił się w stronę przechwyconego statku. – Wsiadać! – rozkazał. W pełni opancerzeni żołnierze, po ośmiu w dwóch rzędach, podbiegli do rampy załadunkowej niezgrabnego, starego promu towarowego, który należał do ekipy wydobywczej. Oficer dotknął opaski komunikatora na szyi. – „Halo”, tu oddział pierwszy.

– Tu „Halo”, słucham.

- Możecie zacząć imprezę.
- Przyjąłem, zaczynamy imprezę.

Oficer jeszcze raz się rozejrzał, po czym odwrócił się i wszedł po rampie do promu. Kilka chwil później silniki starej maszyny ożyły, a statek zaczął kołować.

*

– Statek Tobina nie leci w miejsce o tych samych koordynatach, co wcześniej – zameldowała Kaylah.

Cameron odwróciła się do podporucznik Yosef.

– A dokąd leci?

– Nie jestem pewna...

– Komandorze poruczniku, tu hangar – przerwał jej komunikator.

– Słucham – odpowiedziała Cameron.

– Mówi Mendez. Nie wiem, czy to ważne, ale Tobin zachowywał się trochę dziwnie.

– W jakim sensie „dziwnie”?

– Chyba leci do portu kosmicznego – wtrąciła się Kaylah.

– Był nerwowy i najwyraźniej mu się spieszyło – odpowiedział Mendez.

– Proszę chwilę poczekać – powiedziała Cameron, po czym zwróciła się do podporucznik Yosef. – Na pewno?

– Trajektoria wejścia w atmosferę sugeruje, że punktem docelowym jest kosmoport. Ale różnica kąta jest niewielka, niezależnie od tego, czy leci się do miasta, czy na pustkowia.

– Nie tak niewielka z punktu widzenia pilota, Kaylah – powiedziała z przekonaniem Cameron. – Może chce najpierw zatankować?

– Komandorze poruczniku – wtrącił się Mendez, który podsłuchiwał ich rozmowę, bo Cameron zapomniała wyciszyć mikrofon. – Zapytałem, czy nie musi zatankować przed odlotem. Powiedział, że ma mnóstwo paliwa.

– Faktycznie dziwne – mruknęła Cameron, podejrzliwie mrużąc oczy. – Miej na niego oko, Kaylah.

– Tak jest.

*

– Więc te emitery jednak nie są wielofunkcyjne? – zapytał Władimir, który już się pogubił w zawiłościach technologicznych.

– Nie są – odpowiedziała Deliza. – Każdy węzeł emitera potrafi generować jeden określony typ pola. Zmienia się tylko intensywność.

– A dostrajając w określonej kombinacji intensywność pracy różnych emiterów, można tworzyć kilka typów pola.

– Zgadza się.

Władimir podrapał się po głowie. Nastolatka uczyła go od niemal godziny, a on nadal nie rozumiał, jak działa system tarcz myśliwca. Deliza przewróciła oczami. Traciła cierpliwość.

– W ten sposób system może nie tylko zmienić typ generowanej tarczy, ale również zmienić konfigurację wybranych obszarów pola – kontynuowała.

– Czyli na przykład połączyć pole absorpcyjne z refleksyjnym.

– Oczywiście. Ale jeśli chcemy osiągnąć prędkości nadświetlne, wtedy całe pole musi zostać skonfigurowane pod redukcję masy. Inaczej doszłoby do destabilizacji pola negującego.

– Mój Boże, ile ty masz lat? – zawołał Władimir.

– Szesnaście, a co?

– Czy wszystkie szesnastoletnie dzieciaki mają taką wiedzę o generowaniu pól i mechanice podróży nadświetlnych?

– Nie sądzę – powiedziała lekko zawstydzona dziewczyna. – To moje hobby.

– Hobby? W tym wieku powinnaś uganiać się za chłopakami.

– Rzadko opuszczam farmę – odparła.

– To wiele wyjaśnia – mruknął Władimir.

– Słucham?

– Nic, nic. A teraz opowiedz o tym działku pulsacyjnym.

*

– Nie mam wątpliwości, Tobin leci do portu – zameldowała podporucznik Yosef. – Zmniejsza prędkość i wysokość. Zamierza lądować.

- Cholera – zaklęła Cameron. – Łączność, spróbujemy wywołać go na wąskim paśmie.
- Tak jest.
- Co on wyprawia, do cholery? – burknęła pod nosem.
- Komandorze poruczniku – powiedział oficer łączności – nie mogę się skontaktować ze statkiem Tobina. Prawdę mówiąc, nie wykrywam żadnych transmisji z Przystani.
- Co? Jak to?
- Albo padł nasz odbiornik, albo na księżycu nagle zapadła cisza radiowa.
- Proszę próbować dalej – rozkazała Cameron. – Zezwalam na użycie szerokiej wiązki, jeśli zajdzie potrzeba.

*

Statek Tobina zjechał z drogi kołowania i skręcił na wyznaczone miejsce postojowe. Tobin starannie przestrzegał tych samych procedur, co zwykle, żeby nie przyciągać uwagi. Gdy tylko się zatrzymał i opuścił rampę ładowni, z budynków serwisowych wybiegli żołnierze w czarno-szarych pancerzach. Pospiesznie wkroczyli na pokład. Kabinę zaprojektowano z myślą o zaledwie szóstce pasażerów, więc musieli stać.

Dowódca oddziału podszedł do drzwi kokpitu i wsunął głowę do środka.

– Startujemy – rozkazał.

Tobin wycofał statek na drogę kołowania, a potem skręcił w kierunku najbliższego stanowiska startowego. Jechał trochę szybciej niż zwykle i nawet przekroczył dopuszczalną prędkość. Chciał już mieć ten lot za sobą.

Koła maszyny jeszcze w pełni nie zatrzymały się na stanowisku startowym, gdy Tobin zwiększył ciąg do maksimum, odrywając od ziemi mocno obciążony statek i skręcając w kierunku lądu.

*

– Tobin znów wystartował – zameldowała Yosef.

– Zaraz po lądowaniu – zauważyła Cameron. – Odezwał się? – zapytała oficera łączności.

– Nie, komandorze poruczniku.

– Coś jest nie tak – mruknęła do siebie. – Kaylah, nie spuszczaaj go z oka i daj mi znać, jeśli...

– Stracimy go z oczu, zanim dotrze do naszych.

– Co?

– Księżyc się obraca. Farma zniknie nam z pola widzenia za kilka minut.

– Cholera! Czemu nie mówiłaś wcześniej? – zapytała z wyrzutem Cameron.

– Przepraszam. Dopiero teraz się zorientowałam.

Cameron skarciła się w myślach za ten wybuch. Podporucznik Yosef była przecież oficerem naukowym. Obsługiwała stanowisko czujników dopiero od kilku dni i nigdy nie przeszła odpowiedniego szkolenia.

– W porządku, Kaylah – powiedziała Cameron, odzyskując panowanie nad sobą. – Śledź jego pozycję tak długo, jak się da.

– Tak jest.

– Łączność, trzeba ostrzec kapitana, nieważne jak. Niech będzie gotowy na wszystko.

– Spróbuję – obiecał oficer łączności. – Ale nawet jeśli się zgłosi, kontakt stanie się niemożliwy, kiedy stracimy z oczu miejsce, gdzie przebywa.

*

– Pierwszy przystanek za pół minuty! – krzyknął Tobin z kabiny pilota.

Dowódca oddziału odwrócił się do swoich ludzi.

– Snajperzy! Przygotować się!

Czterech strzelców stało na przedzie. Wszyscy kurczowo trzymali się drążków pod sufitem, bo statek skręcał i przechylał się, kiedy podchodził do lądowania.

Maszyna wzbija kurz i żwir, osiadając na jałowym podłożu kilkaset metrów od rozpadliska, w którym mieściła się farma Tuga. Gdy tylko podwozie dotknęło gruntu, otworzyła się zarówno rampa

załadunkowa na prawej burcie, jak i rampa wjazdu pasażerskiego na lewej. Czterech snajperów wyskoczyło na zewnątrz i pobiegło w przeciwną stronę. Truchtali skuleni, szukając osłony. Zamierzali zająć pozycje na krawędziach klifu, po obu stronach rozpadliska.

– Możemy już lecieć? – zapytał Tobin.

– Oczekaj dwie minuty – rozkazał dowódca oddziału – a potem startuj i podążaj do wyznaczonego punktu.

Tobin przewrócił oczami i wziął głęboki wdech, wycierając spoczone dłonie o nogawki.

*

– Komandorze poruczniku – odezwała się Kaylah – nadlatuje prom.

Cameron wcześniej nie zawracała sobie głowy niewielką jednostką transportową, ale teraz wpadł jej do głowy pewien pomysł.

– Łączność, sprawdźmy, czy uda się skontaktować z promem.

Po chwili oficer łączności odpowiedział:

– Zgłosili się.

– A więc mamy problem tylko z dalekim zasięgiem. Sprawdzał pan antenę?

– Tak jest. Przeprowadziłem diagnostykę trzy razy. Wszystko z nią w porządku.

W głowie Cameron pojawiła się niepokojąca myśl.

– Czy ktoś nas zagłusza? – pytanie było skierowane do oficera łączności.

– Nie wiem, komandorze poruczniku. Ta konsola nie pozwala określić przyczyny utraty sygnału. Ale gdyby nas zagłuszali, nie powinienem słyszeć szumu albo czegoś takiego?

– Nie jestem pewna – przyznała Cameron.

Ich oficer przeciwdziałań elektronicznych nie żył. Konsola wybuchła mu w twarz, gdy „Aurora” staranowała okręt wojenny Ta’Akarów. Podobnie jak Kaylah, podporucznik obsługujący łączność z poziomu konsoli pomocniczej nie przeszedł szkolenia w zakresie obowiązków, jakie przyszło mu wykonywać. Tak samo było wszędzie – kluczowe stanowiska objęli ludzie pozbawieni

odpowiednich kompetencji. W tej chwili Cameron bardzo tego żałowała.

*

– Słyszałeś? – zapytała Jessica, kiedy przechadzali się po kompleksie. Zamarła i zaczęła uważnie nasłuchiwać.

– Co takiego? – zapytał Nathan, który też się zatrzymał.

– Wydawało mi się, że słyszę silniki.

– Ja tam niczego nie słyszę – powiedział.

Jessica milczała jeszcze przez chwilę.

– Mogłabym przysiąc, że nadlatuje jakiś statek.

*

– To na pewno bezpieczne? – zapytał Władimir ze szczytu drabinki prowadzącej do kokpitu.

– Oczywiście – zapewniła z podekscytowaniem Deliza. – Mój ojciec i ja pracujemy nad nim od lat. Wiele razy odpalaliśmy reaktory. Spokojnie.

Otworzyła niewielki panel na spodniej stronie kadłuba, odsłaniając zewnętrzny układ sterowania rdzenia reaktora umieszczonego na prawej burcie. Po kilku chwilach panel ożył, a z myśliwca zaczął dobiegać ledwo słyszalny pomruk.

– Mówiłam? Teraz prawy reaktor działa z wydajnością dziesięciu procent.

Z kokpitu zaczęło dobiegać miarowe popiskiwanie. Władimir nachylił się, żeby zlokalizować źródło alarmu, i zobaczył na przedniej konsoli dużą, czerwoną lampkę, która mrugała przy każdym sygnale dźwiękowym.

– Co to za kontrolka? – zapytał, nie potrafiąc rozszyfrować symboli nad lampką.

– Jaka kontrolka? – Deliza wspięła się po drabince i wcisnęła się obok niego, żeby zobaczyć. – To alarm zbliżeniowy, ale powinien uruchomić się tylko wtedy, jeśli wróg jest w pobliżu.

Władimir zamarł, słysząc odległy dźwięk. Po paru sekundach odgłos przybrał na sile – silniki nadlatującego statku.

– Znajdź ojca – rzucił do dziewczyny, popychając ją w kierunku drabiny.

– To tylko awaria – powiedziała z uporem.

Teraz bardzo wyraźnie słyszeli dźwięk statku, który podchodził do lądowania pośrodku kompleksu. Władimir wsłuchał się w jęk turbin i uświadomił sobie, że silniki pracują mocniej, niż powinny, gdyby statek był pusty.

– Idź już! – warknął. – I trzymaj się tuneli. Nie wychodź na zewnątrz! – dodał, zeskakując za nią.

8

Statek Tobina przemknął nisko nad stodołą i zaczął podchodzić do lądowania pośrodku kompleksu.

Jessica patrzyła ze zdziwieniem, jak Tobin pospiesznie przyziemia. Nawet nie zawrócił, jak poprzednim razem. Miała okropne wrażenie, że coś jest nie tak – nie potrafiła tylko określić, o co dokładnie chodzi.

Szybkie lądowanie wzbiło w powietrze znacznie więcej pyłu i kamyków niż poprzednie. Jessica zrozumiała, że jednostka musi być mocno obciążona. Schronili się przed podmuchami za transporterem Tuga. Kiedy silniki zmniejszyły moc, wyszli Tobinowi na powitanie. Z tego miejsca nie widzieli wnętrza kokpitu.

Po przeciwnej stronie maszyny, między ziemią a kadłubem, Jessica zauważyła otwartą rampę ładunkową. Po prawej dostrzegła jakiś ruch – to Władimir wybiegł ze stodoły na końcu kompleksu. Z bronią w ręku dopadł do koryta z nawozem i przyjął pozycję strzelecką.

W głowie Jessiki rozbrzmiał alarm. Szybko przeniosła wzrok na statek Tobina. Po drugiej stronie, w szczelinie między ziemią a kadłubem, dostrzegła czarno-szare pancerne buty ludzi, którzy zbiegali po rampie i zaraz mieli wyłonić się zza statku.

Władimir, który w przeciwieństwie do niej miał czysty strzał, otworzył ogień zza osłony. Zasypał wrogich żołnierzy gradem kul, które jednak odbijały się od pancerzy, nie czyniąc im żadnej krzywdy.

Jessica wciągnęła Nathana i Jaleę za transporter.

– Na ziemię!

Wyszarpnęła broń z kabury, odbezpieczyła ją i zaczęła strzelać, celując pod rufą statku. Nie oczekiwała, że zrani opancerzone nogi, ale chciała, żeby tamci zastanowili się dwa razy, zanim wystawią głowy zza rufy.

Ze wszystkich czterech stron zapadliska zaczęły spadać na nich wiązki energii. Głowa Danika, trafiona przez snajpera, eksplodowała i spryskała krwią Jessicę, nim ta zdążyła wskoczyć za pojazd.

Władimir zauważył, że jeden ze snajperów zajął pozycję bezpośrednio za nimi. Skierował broń w lewo i otworzył ogień do strzelca na krawędzi klifu, za plecami Jessiki i pozostałych.

Jalea wyjrzała zza pojazdu i zobaczyła na ziemi nieruchomego Danika w kałuży krwi. Stracił większą część głowy.

– Danik!

– Do środka, szybko! – rozkazała Jessica, zrywając się na nogi. Wiedziała, że Władimir osłania ich odwrót.

Nathan i Jalea pobiegli w kierunku drzwi niewielkiej przechodniej szopy łączącej sąsiednie szklarnie. Wpadli do środka. Jessica wycofała się tyłem, ostrzeliwując skraj klifu za plecami Władimira, żeby nie dopadł go snajper po przeciwnej stronie. Rosjanin zauważył to i odwzajemnił gest, osłaniając odwrót podporucznik Nash, aż ta ukryła się za drzwiami we względnym bezpieczeństwie szopy.

– Co się dzieje, do cholery?! – krzyknął Nathan.

– To pieprzona zasadzka! – odpowiedziała.

*

Podporucznik Mendez nie mógł usiedzieć w miejscu. Być może z powodu obawy, jaką słyszał w głosie oficer wykonawczej, gdy ta dowiedziała się o braku łączności z Tobinem i oddziałem naziemnym. Choć, z drugiej strony, to mogła być też zasługa „kawy na patyku”, którą żuł, żeby nie zasnąć. W każdym razie dawno nie był tak czujny, jak teraz.

Patrzył, jak prom towarowy zajmuje swoje zwyczajne miejsce w hangarze „Aurory”. Kiedy silniki zmniejszyły obroty, robotnicy zbliżyli się, żeby załadować kolejną porcję rudy. Jednak gdy rozwiały się opary z dysz, a rampa załadunkowa zaczęła się wysuwać, Mendez zauważył coś dziwnego tuż przy na lewej burcie – uszkodzenie, które wyglądało tak, jakby coś nadtopiło zewnętrzną powłokę kadłuba. Mendez przypomniał sobie, że identyczne ślady widział na ścianach korytarza C, gdzie razem z Jessicą odpierali atak oddziału abordażowego.

Podejrzliwie wstał i zbliżył się, zdejmując broń z ramienia. Tylna rampa załadunkowa dotknęła pokładu z głośnym szczęknięciem,

przykuwając wzrok podporucznika w samą porę, by dostrzegł przerażenie na twarzach kontraktowego robotnika, który akurat stał najbliżej rampy. Mendez zareagował instynktownie.

Po przeciwnej stronie hangaru, w pobliżu głównych wrót, sierżant Weatherly dostrzegł nagłą zmianę zachowania swojego kolegi. Spojrzał na kokpit promu, gdzie zamiast znajomego krągłego oblicza pilota zobaczył zimną twarz wojskowego w czarnym kombinezonie i bojowym hełmie.

Z jednostki zaczęły wylewać się postaci w czarno-szarych pancerzach. Żołnierze otworzyli ogień i skosili garstkę bezbronných robotników, gdy ci w popłochu rozbiegli się, szukając schronienia. Mendez skulił się za kontenerem przy ścianie hangaru i natychmiast zaczął zasypywać rampę seriami ze swojej broni do walki w zamkniętych przestrzeniach. Większość pocisków odbiła się od pancerzy. Zanim opróżnił magazynek, tylko jeden z wrogów padł od jego ostrzału.

Sierżant Weatherly wcisnął przycisk alarmu na konsoli obok drzwi, a potem popędził w lewo, żeby okrążyć prom. Miał nadzieję, że razem z Mendezem zdołają wziąć wrogów w krzyżowy ogień. Jednak zanim zajął dogodną pozycję, pierwszy z żołnierzy wyłonił się zza promu i trafił Weatherly'ego w lewy bark. Wiązka przypiekła ciało, sierżant potknął się i upadł.

Wrogi żołnierz pobiegł w kierunku powalonego, żeby dokończyć robotę. Niestety, sierżant wypuścił z dłoni broń, która leżała teraz kilka metrów dalej. Weatherly zrozumiał, że nie zdąży po nią sięgnąć, więc wyszarpnął z pochwy nóż, żeby się bronić. Jednak przeciwnik nie miał zamiaru angażować się w walkę wręcz. Zatrzymał się pięć metrów od leżącego i uniósł broń, żeby wykończyć sierżanta.

Nagle duży wózek do transportu rudy staranował żołnierza i powalił go na ziemię. Nim ten zdążył wstać, brygadzysta ekipy wydobywczej chwycił z wózka wielki głaz i roztrzaskał nim hełm napastnika. Wallace uderzył jeszcze kilka razy, aż uzyskał pewność, że żołnierz nie żyje, a potem wyprostował się triumfalnie.

– Jak ci się to podoba, skurwysynu?! – ryknął. Nagle w wózek trafiło kilka wiązek. Marcus skulił się i zaklął. – Cholera!

Pobiegł w stronę osłony, za którą zdążył ukryć się Weatherly. Po drodze podniósł karabin. Dołączył do sierżanta i wręczył mu broń.

– Masz! Zgubiłeś to!

– Dzięki – wydyszał Weatherly, nadal nie mogąc dojść do siebie.

– Nie ma sprawy – odpowiedział Marcus. – A teraz chcesz zabić jeszcze paru drani czy tylko się gapić?

Weatherly uśmiechnął się.

– Daj mi chwilę.

*

– Alarm w hangarze! – zameldował oficer łączności.

Cameron aktywowała komunikator.

– Mostek do Mendeza! Co tam się dzieje?!

– Abordaż! – zameldował tamten. W tle dał się słyszeć terkot jego broni oraz dźwięk wiązek energii. – Wyszli z promu!

– Ogłosić stan gotowości bojowej! Niech wszyscy będą gotowi odeprzeć wroga w hangarze!

Oficer łączności natychmiast wykonał polecenie. Światła na mostku zmieniły kolor na czerwony. Doktor Sorenson weszła przez drzwi przy lewej burcie i podbiegła do swojego stanowiska, które obecnie oznaczono jako „kontrola skoków”.

– Abby, przygotuj napęd – poleciła Cameron. – Możliwe, że będziemy musieli się stąd ewakuować.

– Rozumiem – odpowiedziała Dunka.

– Mendez, mów do mnie – rzuciła Cameron przez komunikator.

*

Dwóch członków załogi uzbrojonych w karabiny szturmowe wystawiło głowy przez główne wrota. Pierwszy dostał w ramię wiązką energii, która odrzuciła go w tył. Drugi przezornie schował się z powrotem.

– Mostek, powiedzcie im, żeby weszli po pomostach roboczych. Załatwią wrogów od góry.

Mendez wyjrzał zza osłony i oddał kilka strzałów w kierunku pozycji wroga. Widział stopę sierżanta Weatherly’ego, która

wystawała zza kontenera po przeciwnej stronie hangaru. Chyba się poruszyła.

– Sierżancie, jesteś tam? – zawołał przez komunikator.

Weatherly usiadł, wsparty plecami o kontener, i skrzywił się z bólu, który promieniował z dymiącej rany w barku. Nawet na twarzy czuł gorąco spalonych tkanek.

– Tak, jeszcze żyję! – odpowiedział.

– Jak mocno oberwałeś?

– Niezbyt mocno. Pali mnie, kurwa, cały bark! Nic więcej.

– Dasz radę walczyć?

– Wiadomo! – odpowiedział sierżant, podnosząc się na kolana i odwracając w stronę strzelaniny.

– Widzisz drabiny prowadzące na pomosty robocze po twojej stronie hangaru?

Sierżant wyjrzał zza kontenera i zobaczył dwie drabiny.

– Tak, widzę obie.

– Dobrze. Nasi ludzie zaraz wyjdą na te pomosty, więc nie pozwól, żeby któryś z tych skurwysynów wlaź na górę. Zrozumiałeś?

– Załatwione – odparł sierżant, po czym uniósł broń i otworzył ogień do pierwszego z wrogów, który właśnie próbował forsować drabinę. Kilkanaście pocisków odbiło się niegroźnie od jego pancerza, ale jeden trafił w niechronione miejsce pod kolanem. Żołnierz spadł na pokład, zwijając się z bólu.

– Trzeba celować w stawy – poradził sierżant przez komunikator.

*

Jessica wyjrzała przez drzwi i szybko cofnęła głowę, gdy wiązka snajpera odstrzeliła kawałek futryny, sypiąc drzazgami na wszystkie strony.

– Kurwa! – zaklęła, kiedy dym ze spalonego drewna zapiekł ją w oczy. – Snajperzy z czterech stron. – Wyjrzała jeszcze raz, a strzelec znów trafił niedaleko. – Cholera! Przez tych pieprzonych snajperów nie możemy nic zrobić!

Nagle otworzyły się drzwi prowadzące do sąsiedniej szklarni. Jessica odwróciła się, gotowa do strzału, ale zobaczyła tylko

przerażoną twarz Delizy, która stała w progu, skamieniała ze strachu.

– Na ziemię! – krzyknęła Jessica.

Dziewczyna tylko się skuliła, a wtedy kolejny strzał roztrzaskał szybę i omal jej nie trafił. Jessica wykorzystała okazję, aby wystawić broń za framugę i puścić serię w stronę pozycji snajpera, aby ten wiedział, że nie jest w pełni bezpieczny.

– Kto to jest? – Nathan nie skierował pytania do nikogo konkretnego.

– Nie rozpoznaję ich mundurów – powiedziała Jessica – ale ktokolwiek nas zaatakował, zna się na swojej robocie.

– To ta’akarskie oddziały szturmowe – wyjaśniła Jalea. – Szkolone właśnie do takich akcji.

– Muszę pomóc tacie! – zawołała Deliza.

– Jak dalej będziesz szła tymi szklarniami, zastrzeli cię snajper – ostrzegła Jessica.

– Więc mamy po prostu czekać?

– Czekać też nie możemy – stwierdziła Jessica. – To pewnie tylko pierwsza fala. Myślę, że już wezwali posiłki.

– Tato aktywuje tarczę.

– Emitery! – zrozumiał Nathan.

– Nie wydaje mi się, skarbie – powiedziała do Delizy podporucznik Nash, zerkając za drzwi. Kilku albo kilkunastu żołnierzy właśnie zbliżało się do głównego budynku mieszkalnego. Tug i Ranni strzelali jak szaleni przez okna domostwa, ale nie byli w stanie ich powstrzymać.

Jessica odwróciła się do dziewczyny.

– Gdzie jest układ sterowania tarczą?

– W szopie reaktora, w rogu – odpowiedziała Deliza i wskazała w kierunku drzwi po przeciwnej stronie szopy. Przejście prowadziło do kolejnej szklarni.

– Prosto? – zapytała Jessica.

– Tak, na samym końcu.

Jessica wyjrzała na zewnątrz. Żołnierze zajmowali pozycje, szykując się do szturm.

– Zaraz zaatakują dom. Tug z żoną próbują ich odeprzeć. – Podporucznik Nash zastanawiała się przez moment, wsłuchana

w wymianę ognia. – Dobra, nowy plan. Ja aktywuję tarczę. W ten sposób będziemy mieć snajperów z głowy. Większość żołnierzy idzie w stronę domu, więc powinniście dać radę zabrać statek.

– A co z tobą? – zapytał Nathan.

– Jeśli nie wrócę za pięć minut, to znaczy, że wcale nie wrócę.

– Jess...

– Chcesz się zamienić?

Nie czekając na odpowiedź, rzuciła się sprintem w kierunku drzwi i wpadła do sąsiedniego pomieszczenia. Przebiegła całą szklarnię i ani razu nikt do niej nie strzelił. Na stołach stały rzędy pustych donic. Widocznie było świeżo po zbiorach, przez co żadna roślinność nie zapewniała jej osłony. Jessica wpadła do następnej przechodniej szopy ze świadomością, że przez drugą szklarnię tak łatwo nie przejdzie.

Jednak to jej nie spowolniło. Przemierzyła szopę i wbiegła do szklarni. Niestety, tym razem napotkała ciężki ostrzał snajperski. Okna pękały, sypiąc wszędzie odłamkami szkła. Jessica potknęła się i padła na ziemię. Ostatnich kilka metrów przebyła na czworakach.

*

– Jezu! – wykrzyknął Nathan. – Strzelają do niej.

Wystawił broń za framugę i otworzył ogień w kierunku krawędzi klifu. Liczył na to, że zmusi snajpera do schowania się za osłonę. Niestety, jego ostrzał był zbyt rozproszony, żeby wywołać zamierzony skutek. Nathan wyjrzał przez otwór drzwiowy w samą porę, by zobaczyć, jak żołnierze zrywają się do biegu i pokonują dystans między statkiem Tobina a domostwem. Okrążali budynek i zmierzali na tyły kompleksu.

– Jess! – zawołał przez komunikator. – Jeden z nich biegnie w twoją stronę! Chyba chce odciąć ci drogę! – Nikt nie odpowiedział. – Jess, słyszysz mnie?!

*

Jessica podniosła dłoń do ucha i wyłączyła komunikator, wkraczając w mrok za wysokim stojakiem pełnym węży do

podlewania. Próbowwała być jak najciszej i uspokoić ciężki oddech, bo za ścianą, w następnej szklarni, usłyszała otwieranie i zamykanie drzwi, a potem wolne, ostrożne kroki pancernych buciorów stąpających po żwirowym podłożu.

Jessica bezszelestnie dobytek noża taktycznego, a tymczasem przeciwnik był coraz bliżej. Nagle drzwi otworzyły się i do szopy wpadł intruz. Zrobił to tak gwałtownie, że Jessica z trudem zachowała ciszę.

Żołnierz natychmiast sprawdził teren za skrzydłem drzwi, ale oczywiście nikogo tam nie znalazł. Przeszukał niewielkie, ciemne pomieszczenie. Zauważywszy w kącie stojak z wężami, podszedł powoli i zaczął rozsuwać gumowe węże lufą broni.

„Co za kretyn” – pomyślała Jessica, po czym pchnęła stojak, a ten przewrócił się na intruza. Żołnierz odruchowo pociągnął za spust, broń wypaliła, a wiązka drasnęła lewe biodro Jessiki. Ciężkie, gumowe węże powypadały ze stojaka, przysypując mężczyznę.

Jessica wskoczyła na stertę węży, wrzeszcząc z bólu i wściekłości. Odepchnęła lufę na bok. Przygnięciony ciężarem stojaka i Jessiki żołnierz nie zdołał unieść broni, więc lewą ręką chwycił garść włosów napastniczki i odciągnął jej głowę do tyłu, częściową unosząc kobietę w powietrze.

Jessica krzyknęła z bólu. Zaczęła na oślep dźgać przeciwnika nożem. Nagle jedno z pchnięć ześliznęło się po napierśniku w stronę podbródka. Nóż wszedł w szczelinę między płytą pancerza a dolną krawędzią hełmu. Jessica wyczuła, że ostrze natrafiło na coś miękkiego, więc wykręciła ciało tak, aby oprzeć cały ciężar na nożu. Klinga zagłębiła się w gardło wroga, a z zalanej krwią tchawicy dobiegł ohydny bulgot.

Żołnierz natychmiast puścił jej włosy, krztusząc się własną krwią i rozpaczliwie walcząc o powietrze. Jessica opadła na niego, napierając na nóż, aż ostrze zgrzytnęło o kręgi szyjne, wcisnęło się między nie i przecięło rdzeń kręgowy.

Przeciwnik zwiotczał, a bulgotanie ustało. Jessica usiadła okrakiem na martwym żołnierzu. Dotknęła rany na lewym biodrze i skrzywiła się z bólu.

– Postrzeliłeś mnie! – zawołała, po czym uderzyła pięścią w jego osłonę twarzy. – I pociągnąłeś mnie za włosy! – Znów go rąbnęła.

Ponownie obejrzała ranę, sycząc z bólu. – Lepiej, żeby nie została mi blizna, dupku.

Wyszarpnęła nóż z trupa. Wpadła na pewien pomysł.

*

W hangarze trzech członków załogi strzelało do nieprzyjaciela z pomostu roboczego po lewej stronie. Większość pocisków odbijała się od czarnych pancerzy, jednak nieustający ostrzał wreszcie zaczął zbierać żniwo. Padł jeden, potem drugi i trzeci. Wrogowie pospiesznie ukryli się za osłoną, ale wtedy otworzyli do nich ogień Weatherly, od strony dziobu, oraz Mendez, od rufy.

Niecałą minutę później garstka ocalałych żołnierzy z oddziału abordażowego poddała się. Rzucili broń i podnieśli ręce. Mendez natychmiast pobiegł w ich stronę, krzycząc, żeby uklękli. Z pobliskich włazów wyłoniło się więcej uzbrojonych członków załogi.

*

– Komandorze poruczniku – odezwała się Kaylah zza stanowiska czujników – inny statek podchodzi do lądowania.

– Gdzie?

– Na naszym pokładzie startowym!

– Co? A skąd on się wziął?

– Nie wiem. Pojawił się znikąd.

*

Na zewnątrz „Aurory” nieoznakowany statek przeleciał nisko nad sekcją napędu, zbliżając się do lądowiska okrętu.

*

– Otwórzcie zewnętrzne wrota! – zawołał przez komunikator Josh, pilot statku wydobywczego. – Odetnę mu drogę!

Cameron podbiegła do wyświetlacza taktycznego i zobaczyła trajektorię jego statku, który pędził w kierunku „Aurory”. Nadlatywał od prawej burty i był na kursie kolizyjnym z nieznaną jednostką. Cameron pospiesznie aktywowała mechanizm zewnętrznych wrót służby transferowej.

*

Stateczek wydobywczy prześliznął się pod wrogą jednostką i zajął pozycję między nią a „Aurorą”. Ten manewr zmusił nieoznakowany statek do poderwania dziobu w ostatnim momencie. Maszyna okazała się jednak niedostatecznie zwrotna i wbiła się w kadłub okrętu, tuż nad otworem prowadzącym na pokład startowy. Tymczasem stateczek Josha przeleciał dołem i zniknął w śluzie. Nieoznakowana jednostka została zgnieciona przez siłę kolizji. Rozpędzona, przesunęła się dalej po obłym kadłubie „Aurory”, aż wreszcie odbiła się od niego, wirując chaotycznie i sypiąc wokoło odłamkami.

*

– O tak! – zawołał Josh. – Ja nigdy nie tchórzę!

– Mój Boże. Nie ma szans, żeby zdążył wyhamować – stwierdziła Cameron, spoglądając na trajektorię jego podejścia.

Statek wydobywczy nadlatywał prawie cztery razy szybciej, niż powinien, jeśli miał wylądować. Silniki pracowały z maksymalną mocą, usiłując zredukować prędkość, zanim maszyna przemierzy lądowisko i śluzę, a potem wbije się w wewnętrzne wrota. Cameron skrzywiła się na ten widok. Nagle pilot wyłączył silniki hamowania, obrócił stateczek rufą do kierunku lotu i natychmiast włączył główne silniki z pełną mocą. Teraz wreszcie jednostka się zatrzymała – niecały metr od wewnętrznych wrót. Pilot zgasił silniki.

– O Boże, udało ci się! – wykrzyknęła Cameron, nie zauważając, że ma włączony mikrofon.

– Jasna sprawa, złotko! – odpowiedział Josh, obracając maszynę, wysuwając podwozie i lądując. – Tylko przepraszam, że osmalilem

wam wrota śluzy.

Cameron szybko wyłączyła mikrofon, zażenowana swoim entuzjazmem.

– Wpuście mnie czy mam czekać? – dodał.

– Komandorze poruczniku, nasi ludzie w hangarze meldują, że teren czysty – oznajmił oficer łączności.

Cameron wzięła głęboki wdech i westchnęła.

– Powiedzcie mi, że ten facet wam kogoś nie przypomina – rzuciła, zamykając zewnętrzne wrota.

– Komandorze poruczniku, tamten kontakt wrócił – zameldowała Kaylah. – Właśnie wyłonił się zza gazowego olbrzymia.

Cameron znów poczuła ucisk w splocie.

– Niech zgadnę – mruknęła do siebie.

– Przesyłam do stanowiska taktycznego.

Cameron spojrzała na wyświetlacz. Komputer właśnie próbował dopasować jednostkę do wzorca w bazie danych. Po kilku sekundach na ekranie ukazała się specyfikacja ta'akarskiego krążownika. Ten sam model, który napotkali kilka dni wcześniej w pasie asteroid.

– Powiedzcie Mendezowi, żeby przytaszczył tu swoje cztery litery – rozkazała, idąc w kierunku sterów. – Potrzebuję go przy taktycznym. Wszyscy na stanowiska – dodała. – Wylatujemy z pierścieni.

*

Snajper lustrował teren przez elektroniczny system obserwacyjny. Mały ekranik ukazywał zbliżenie odległej szklarni. Dostrzegł głowę w hełmie i opancerzone barki jednego ze swoich towarzyszy, który przemierzał budynek w przeciwną stronę niż przed kilkoma minutami. Zgodnie z procedurami zachowywał pozycję przykucniętą, żeby stanowić jak najmniejszy cel. Było to niepotrzebne i bezcelowe, ale snajper uznał wysiłki kolegi za zabawne i zrzucił tę przesadną ostrożność na karb braku doświadczenia nowych członków oddziału szturmowego. Usatysfakcjonowany faktem, że tamten pozbył się zagrożenia, snajper wrócił do szukania dla siebie celów.

*

Tuż za progiem szopy, gdzie mieścił się reaktor, Jessica zdjęła hełm żołnierza, którego zabiła parę minut wcześniej.

– Jezu! Czy oni w ogóle czyszczą ten sprzęt?! – wykrzyknęła, zrzucając naramienniki.

Rozejrzała się po tonącym w półmroku pomieszczeniu, aż natrafiła wzrokiem na cel poszukiwań – układ kontrolny tarczy. Widziała cztery rzędy przełączników dźwigienkowych, po kilkanaście w każdym. Po jednej stronie znajdował się przełącznik kołyskowy oraz dźwignia. Niestety, wszystko było oznaczone w języku, którego nie знаła.

– Jak nie wiadomo, do czego służą, najlepiej włączyć wszystko.

Szybko pstryknęła czterema szeregami dźwigienek i nacisnęła przełącznik kołyskowy. W tym momencie nad wszystkimi przełącznikami zapaliły się zielone diody.

– Jak dotąd dobrze idzie – powiedziała do siebie.

Chwyciła za większą dźwignię i przesunęła ją do oporu w górę. Jedna z metalowych skrzyń wewnątrz szopy zaczęła głośno buczeć.

– Hm, mam nadzieję, że to dobry znak.

Po chwili czerwona kontrolka nad dźwignią zmieniła kolor na zielony, a z zewnątrz dobiegł dziwny ni to gwizd, ni to pomruk. Wyjrzała za okno i dostrzegła rozciągającą się nad zapadliskiem migoczącą, półprzejrystą białawą tafłę, po której powierzchni tańczyły maleńkie plamki.

– Więc tak wygląda tarcza?

Spojrzała na dom położony nie dalej niż dziesięć metrów od szopy. Ujrzała żołnierzy, którzy właśnie mieli wkroczyć do środka, gdzie nadal bronili się Tug z żoną. Po prawej zobaczyła Tobina. Jego szczupłą twarz z nerwowym uśmiechem była widoczna przez okna kokpitu.

– Wiedziałam, że nie można ufać temu chudemu skurwielowi – mruknęła do siebie, po czym z powrotem włączyła komunikator.

*

– Okrążają dom, są po tamtej stronie! – ostrzegła Ranni.

Tug wyjrzał przez rozbite okno i zobaczył dwóch czarno-szarych żołnierzy biegnących w kierunku osłony. Otworzył ogień i zabił pierwszego, ale gdy wycelował do drugiego, akumulator broni odmówił posłuszeństwa.

– Padło mi zasilanie! – zawołał.

– Weź moją! – Ranni rzuciła mu swój karabin, a sama pobiegła w stronę kuchni. – Mam tu zapasowy!

Nagle otworzyły się drzwi i powietrze przecięły dwie czerwone wiązki energii, które trafiły kobietę w pierś, zabijając ją na miejscu.

– Ranni! – wrzasnął Tug, pędząc w jej kierunku.

Padł na kolana, tuląc jej wciąż dymiące, martwe ciało. Przez kuchenne drzwi wbiegło dwóch żołnierzy. Chwycili mężczyznę, rozbroili i położyli twarzą do podłogi. W tym momencie do pomieszczenia wkroczył pewnym krokiem dowódca oddziału.

– Podnieście go – rozkazał.

*

– Co to za dźwięk? – zapytał Nathan, słysząc pomruk na dworze.

– Jessice się udało – oznajmiła Jalea, wychodząc na zewnątrz. – Podniosła tarczę.

– Czeka! A ty dokąd się wybierasz? – zawołał Nathan, gdy pobiegła przez otwarty teren. Zatrzymała się na moment przy pojeździe, a potem przebyła pędem odcinek dzielący ją od statku Tobina. – Odbiło jej?

Przez chwilę walczył z własnym strachem. Próbował zdecydować, co dalej robić. Nie wiedział, co zamierzała Jalea, ale podejrzewał, że był to lepszy plan niż siedzenie na tyłku i czekanie na śmierć. Teraz przynajmniej nie zagrażali im snajperzy.

Nathan miał świadomość, że tarcza może nie wytrzymać zbyt długo. Strach, że umrze beczynnym, okazał się silniejszy niż obawa, że umrze, robiąc cokolwiek.

– Zostań tutaj! – polecił Delizie i opuścił szopę śladami Jalei, która okrążyła już statek Tobina i znalazła się przy rufie.

Kobieta wyjrzała zza osłony silnika. Maszyny nadal pracowały na minimalnych obrotach, niemniej z tej odległości hałas był niemal

ogłuszający. Przekonawszy się, że w pobliżu nie ma żołnierzy wroga, zakradła się na szczyt rampy załadunkowej.

Zajrzała do środka. Zobaczyła, że Tobin siedzi w kokpicie sam, więc spokojnie wkroczyła na pokład z bronią w dłoni opuszczonej wzdłuż tułowia.

Tobin obserwował właśnie pojmanie Tuga przez frontowe okna domu, gdy nagle wyczuł czyjąś obecność. Odwrócił się gwałtownie.

– Jalea – powiedział, a na jego twarzy odmalowała się nerwowość.
– Mogę to wyjaśnić...

– Wcześniej zaczynasz – wycedziła chłodno zielonooka, unosząc broń.

Tobin szeroko otworzył oczy.

– Zaczekaj. Mieliśmy umowę...

Jalea wystrzeliła tylko raz. Trafiała w głowę, zmieniając czaszkę Tobina w kopczyk spalonej skóry, włosów i kości. Ciało osunęło się na konsolę.

Chwilę później po rampie wbiegł Nathan z bronią w gotowości. Zatrzymał się gwałtownie. Widok dymiącej głowy Tobina napawał go odrazą.

– Co się stało?

– Pracował dla Ta'Akarów – wyjaśniła.

Nathan był wściekły.

– Mówiłaś, że możemy mu zaufać!

– Mówiłam, że w przeszłości wielokrotnie korzystaliśmy z jego usług – uściśliła. – Ani razu nie powiedziałam, że mu ufam.

– Ale...

– Najwyraźniej Ta'Akarowie zapłacili więcej – przerwała mu, po czym odwróciła się do wyjścia.

– Jak bez niego odlecimy?

– Ja przejmę stery.

– Więc teraz jesteś też pilotem? – zapytał, idąc za nią.

*

Jessica zakradła się do tylnego wejścia do domu i powoli otworzyła drzwi. Ostrożnie przestąpiła próg i zamknęła za sobą drzwi. W kącie zobaczyła skuloną córeczkę Tuga. Jessica

uśmiechnęła się do niej i uniosła palec do ust. Dziewczynka skinęła głową na znak, że będzie cicho. Jessica spróbowała zrobić głupią minę, żeby rozluźnić atmosferę, ale wywołała tylko cień uśmiechu. Ruszyła dalej w nadziei, że dziecko będzie miało dość rozumu, żeby nie wychodzić z ukrycia.

Nash przeszła przez kolejne drzwi, prowadzące do kuchni. Stamtąd usłyszała rozmowę żołnierzy, którzy najwyraźniej schwytali Tuga i jego żonę.

– Wiesz, co powiedzą, kiedy go sprowadzimy? I to żywego? – zza ściany dobiegał czyjś głos.

Jessica przemierzyła kuchnię i zatrzymała się przy kredensie, tuż obok drzwi do salonu.

– Wszyscy dostaniemy awans albo i lepiej! Może nawet odznaczenie od samego Caiusa!

– Sir – wtrącił się inny głos – jeden ze snajperów melduje, że stracił kontakt z Tobinem, a dwa cele weszły do statku.

– O nie! Nie pozbawią mnie tego wszystkiego – powiedział z determinacją dowódca oddziału. – Bierzcie go!

Jessica wyjrzała przez uchylone drzwi i zobaczyła, jak tamci wloką Tuga. Popchnęła lekko skrzydło drzwi, a wtedy ujrzała Ranni martwą na podłodze pustego salonu.

– Czy ktoś z was ma włączony komunikator? – usłyszała w słuchawce głos Rosjanina.

– Władimir, to ty? – szepnęła.

– Tak, Jessica, to ja. Gdzie ty jesteś?

– W domu Tuga, w kuchni. A ty?

– W przejściowej szopie po twojej lewej, niedaleko domu.

*

Dwaj żołnierze wyprowadzili Tuga na werandę. Ich dowódca stanął za zakładnikiem i przyłożył mu pistolet do potylicy.

– Wy tam, w statku! – zawołał. – Wyłaźcie, bo go zabiję!

– Widzisz ich? – zapytała Jessica Władimira.

– Tak. Jest ich trzech. Jeden to chyba dowódca. Mają Tuga, klęczy przed nimi. Ten typ przystawił mu broń do głowy.

– Gdzie Nathan?

– W statku Tobina razem z Jaleą. Widzę ich w otworze wjazdu towarowego.

– Nathan ma włączony komunikator?

– O dziwo, tak.

– Hej, słyszałem to – wtrącił się Nathan.

– Zabiliście Tobina? – zapytała Jessica.

– Tak, Jalea miała ten zaszczyt.

– Nieźle. Władimir, jak dobrze strzelasz?

– Bardzo dobrze.

– Myślisz, że zdołasz trafić w głowę tego, który stoi najbliżej ciebie?

– Bez problemu.

Dowódca oddziału czekał, rozglądając się.

– Powiedziałem, że macie wyjść – zawołał – bo zabiję tego człowieka tu i teraz!

– Nathan, a ty? – kontynuowała Jessica. – Myślisz, że dasz radę załatwić strzałem w głowę tego po prawej?

– Mojej czy twojej?

– Mojej prawej, twojej lewej. Dasz radę?

– No nie wiem.

– Chyba przeszedłeś testy strzeleckie, nie?

– Oczywiście – powiedział Nathan. – I to z całkiem niezłym wynikiem. Tyle że nigdy w życiu nie zabiłem człowieka.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz, kapitanie. Więc jak, wchodzisz w to? – Nie odpowiedział. – Nathan?

– Tak, tak, wchodzę.

– Dobra. Wyjdźcie powoli, oboje. Z uniesioną i odbezpieczoną dłonią. Nie utrudniajmy tego bardziej, niż trzeba.

– Wychodzimy! – zawołała Jalea.

Dowódca oddziału uśmiechnął się, przekonany, że jego blef odniósł pożądaný skutek. Jalea wyszła jako pierwsza. Pistolet trzymała wysoko i mierzyła z niego do żołnierzy. Za nią kroczył Nathan, przyciskając do barku swoją automatyczną broń do walki w zamkniętych przestrzeniach. Wycelował w wyznaczony cel – żołnierza po lewej.

– Na jaki sygnał strzelamy? – szepnął Nathan.

– Ja odliczam – powiedziała Jessica. – Na trzy. Powtarzam, na trzy.

– Znacznie lepiej – powiedział dowódca oddziału. – A teraz opuście broń.

– Jeden – powiedziała spokojnie Jessica.

– To byłoby nierozsądne z naszej strony – odpowiedziała Jalea.

– Dwa.

– Niewykonanie polecenia byłoby równie nierozsądne – zaoponował dowódca. – Opuście broń, bo on zginie.

– Trzy.

Wszystkie trzy wystrzały rozbrzmiały jednocześnie. Kula Jessiki wbiła się w potylicę dowódcy, przeszła przez mózg i wyleciała przodem wraz z większością twarzy. Pocisk Władimira trafił cel w szyję, tuż poniżej chronionej hełmem żuchwy, przecinając tętnicę szyjną i uderzając w kręgi, które rozprysły się, obryzgując Tuga i dowódcę krwią, strzępami tkanki i odłamkami kości. Kula Nathana – ku jego własnemu zdziwieniu – wbiła się prosto w osłonę twarzy celu, roztrzaskując nasadę nosa, przechodząc przez czaszkę na wylot. Wszyscy trzej żołnierze padli na werandę, dowódca jako ostatni. Jego martwe ciało dramatycznie osunęło się obok klęczącego rolnika.

W zapadlisku zapadła upiorna cisza, którą mącił tylko dźwięk wciąż pracujących silników statku Tobina oraz pomruk tarczy nad ich głowami. Po chwili rozległ się jeszcze trzeci odgłos – krzyk Delizy, która podbiegła do ojca, nie zwracając uwagi na krew i ciała.

– Teren czysty? – zapytała Jessica przez komunikator. – Nathan, czy teren jest czysty? – powtórzyła.

Nathan opuścił broń. Deliza, szlochając, padła ojcu w ramiona.

– Tak, tak, czysty – odpowiedział. – Wszystkie trzy cele wyeliminowane. Tugowi nic nie jest.

Jalea położyła mu rękę na ramieniu, chowając broń.

– Czasami najlepsi ludzie są zmuszeni zrobić najgorsze rzeczy – powiedziała, po czym dołączyła do Tuga i Delizy.

Nathan odprowadził ją wzrokiem, kiedy szła na werandę. Odszukała młodszą córeczkę Tuga i wzięła ją w ramiona. Nathan zobaczył rozpacz na twarzy ich gospodarza i zrozumiał, że jego żona nie żyje.

Władimir zbliżył się, mijając ciała i zauważając ich rany.

– Niezły strzał, Nathan. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że dasz radę.

– Ja też nie – przyznał Nathan.

Nagle rozległ się głośny trzask, od którego aż zatrzęsała się ziemia, a tarcza rozbłysnęła jaskrawym żółtobiałym światłem. Nathan i pozostali skulili się odruchowo, zupełnie jakby niebo miało spaść im na głowy. Odgłos powtarzał się rytmicznie. Za każdym razem wstrząsy omal nie zwały ich z nóg, a błysk był oślepiający.

Nad ich głowami przeleciał statek – ciemnoszary z czarnymi akcentami i pozbawiony oznaczeń. Ostrzeliwał zapadlisko.

– Chcą wyczerpać tarczę! – stwierdził Władimir, przekrzykując hałas.

– Nie dadzą rady – zapewnił go Tug, wstając. – Mogą strzelić tysiąc razy, ale tarcza nie osłabnie.

Nikt nie odpowiadał ogniem, więc wrogi statek zawisł sto metrów nad tarczą, nie przerywając ostrzału.

– Może i nie – przyznał Nathan – ale dopóki on tam jest, nie wydostaniemy się stąd!

Załoga statku zrozumiała, że próby pokonania tarczy są bezcelowe, więc skupiła ogień na krawędziach zapadliska. Strzelali w ziemię, a przy każdym trafieniu trzęsły się ściany. Wkrótce zaczęły się kruszyć. Duże kawałki ziemi i skał spadały, miażdżąc szklarnie.

– Co oni robią? – zapytał Nathan.

– Chcą zniszczyć ściany! – krzyknęła Jessica.

– A razem z nimi emitery – dodał Tug. – Jeśli stracimy ich wystarczająco wiele, tarcza straci integralność i pęknie.

– Musimy się stąd wynosić, wszyscy na statek! – rozkazał Nathan.

– Zestrzelą nas, jak tylko wystartujemy – zaoponowała Jessica.

– Na ziemi mamy zerowe szanse, a w powietrzu trochę większe!

– Dobra, słyszeliście kapitana. Wszyscy na pokład! – warknęła Jessica.

*

– Wchodzimy na orbitę wokół Przystani – rzuciła zza sterów Cameron. – Jak daleko jest tamten okręt wojenny?

– Kiedy wyłonimy się zza księżyca, będzie nas miał w zasięgu – zameldował podporucznik Mendez zza stanowiska taktycznego.

– Łączność, proszę przekazać ocalałym robotnikom, że jeśli chcą wrócić na Przystań, zanim stąd znikniemy, lepiej niech się pospieszą.

– Tak jest.

– Kaylah, nadal nie widać statku Tobina?

– Nie, ale ostatnie miejsce pobytu naszych ludzi jeszcze nie znalazło się w polu widzenia.

– Znajdź ich, Kaylah – rozkazała Cameron. – Łączność, nie zaprzestawać prób kontaktu. Użyjmy szerokiej wiązki.

9

Nathan zajął miejsce drugiego pilota w kokpicie statku Tobina.

– Ściany zaczynają się sypać! – zawołała Jessica, która właśnie stała przy włączaniu do ładowni i wyrzucała na zewnątrz zwłoki poprzedniego właściciela jednostki.

Nathan wyjrzał przez okno i zobaczył, jak ściana po lewej kruszy się pod nieustającym ostrzałem. Wreszcie odłamał się z hukiem ogromny kawał skały, zabierając ze sobą trzy emitery. Tarcza zamigotała.

– Zaraz pęknie! – krzyknął Tug.

W tym momencie odpadł następny fragment tej samej ściany, trochę bliżej statku. Gruzy pochłonęły jedną ze szklarni. Tarcza zamrugowała jeszcze parę razy, a potem całkiem zniknęła.

– Startuj wreszcie! – rozkazał Nathan.

Jalea pchnęła przepustnicę silników startowych, a statek powoli oderwał się od ziemi. Ze ścian klifów sypały się kamienie, które uderzały w burty jednostki. Wzniesli się na zaledwie osiem metrów, gdy pierwsza salwa trafiła w lewy rufowy silnik. Ogon opadł gwałtownie, a statek zaczął przechylać się na lewą burtę.

– Wyrównaj! – krzyknął Nathan.

Jalea próbowała to zrobić, zwiększając ciąg po lewej stronie, ale uszkodzony silnik nie reagował. Rozległy się sygnały ostrzegawcze, gdy statek obrócił się do góry podwoziem, a nadal pracujące silniki startowe cisnęły nim o podłoże. Chwilę później wszyscy leżeli na suficie statku. Piszczący sygnały alarmowe, a powietrze wypełniał ostry zapach wyciekającego paliwa.

Nathan potrząsnął głową i wypluł ziemię. Siła uderzenia zbiła wszystkie okna po jego stronie kokpitu, a do środka nasypało się sporo ziemi. Podsufitowy panel sterowniczy – na którym obecnie leżał – wbijał mu się w bok. Nathan spróbował wstać.

– Jalea! – krzyknął. Nie ruszała się. – Jalea, nic ci nie jest? – Drgnęła, powoli odzyskując przytomność. – Chodź, musimy stąd uciekać!

Chwycił ją i pociągnął.

– No, dalej, dalej – naglił, popychając ją w stronę rufy. – Wszyscy na zewnątrz!

Władimir wysunął się przez właz głową w dół i spadł na ziemię dwa metry niżej. Statek leżał do góry podwoziem, lekko przechylony na prawą burtę. W powietrzu unosił się kurz i dym, ograniczając widoczność do metra albo dwóch. Alarmy piszczały nieprzerwanie.

– Władimir, łap ją! – zawołała Jessica.

Władimir wyciągnął ręce w samą porę, by chwycić wypadającą ze statku młodszą córkę Tuga. Postawił ją na ziemię.

– Nie ruszaj się, mała – polecił, po czym złapał Delizę w pasie i pomógł jej zejść. – Weź siostrę za rękę i nie puszczaj, choćby nie wiem co. I trzymajcie się blisko mnie!

Nathan zeskoczył na ziemię, a za nim Jalea. Nagle w kadłub jednostki i ziemię wokół nich zaczęły trafiać wiązki snajperów. Kurz i dym nadal wszystko przesłaniały, więc tamci strzelali na oślep w nadziei, że trafią coś albo kogoś.

– Jasna cholera! – zaklął Nathan. – Musimy się gdzieś schować!

Dwie wiązki uderzyły w ziemię po lewej i prawej od niego. Obrócił się, próbując odzyskać orientację. Przez chmurę pyłu z trudem dostrzegł zarysy domostwa.

– Tam! Wszyscy do domu! – krzyknął.

Jalea pobiegła jako pierwsza. Władimir wziął na ręce dziewczynkę, chwycił Delizę za rękę i podążył za rebeliantką.

– Jess, chodźmy! – rozkazał Nathan.

– Tug o coś zahaczył! – odkrzyknęła ze środka.

Nathan usłyszał odgłos wrogiego statku, który wcześniej strzelał do tarczy ochronnej. Właśnie zawrócił i zbliżał się w ich stronę.

– Zaraz tu będą, Jess! Musisz natychmiast wyjść!

Ona jednak nadal próbowała oswobodzić nogę Tuga, która utknęła między ścianą a wygiętą ławką na tyłach statku. Kiedy się obracali, ławka musiała się rozłożyć. Noga Tuga wsunęła się między nią a ścianę, a potem, gdy statek zderzył się z ziemią, ławka złożyła się z powrotem niczym potrzask.

– Zostawcie mnie! – powiedział Tug.

– Daruj sobie to dramatyczne pierdolenie – fuknęła kobieta.

– Szybciej, Jess! – wołał Nathan.

– Idźcie, zaraz was dogonimy!

– Niech to cholera, Jess!

Kadłubem coraz mocniej wstrząsały salwy nadlatującego okrętu. Ostatnie dwie wiązki energii oderwały kawał rufy. Od siły uderzenia statek zakołysał się, uwalniając nogę Tuga. Mężczyzna runął w dół i wylądował na Jessice. Upadli oboje w głąb odwróconej jednostki.

– Coś takiego! – wykrzyknął Tug.

Nagle zapaliło się wyciekające paliwo. W ciągu kilku sekund płomień odcięły im drogę wyjścia przez właz załadunkowy.

– Zaraz wybuchnie! – wykrzyknęła Jessica.

*

Nathan właśnie dotarł do schodków na werandę, gdy za jego plecami rozległ się dźwięk eksplozji. Gorący podmuch fali uderzeniowej zwałił go z nóg. Wpadł do środka przez uchylone drzwi.

– Nic ci nie jest? – zawołał Władimir i podbiegł, żeby go podnieść.

– O mój Boże! – krzyknął Nathan, gdy zrozumiał, co zaszło. Odwrócił się, żeby z powrotem wybiec na zewnątrz. – Jess!

W tym momencie domem wstrząsnęła druga eksplozja, sypiąc we wszystkich kierunkach setkami płonących odłamków. Nathan musiał strząsnąć z ubrania kilka kropel płonącego paliwa, bo inaczej sam stanąłby w płomieniach.

– W środku byli Jessica i Tug!

Władimir odciągnął go od drzwi.

– Chodź, przyjacielu. Nic więcej dla nich nie zrobisz.

*

Kaylah zrobiła zbliżenie na domniemaną pozycję oddziału naziemnego. Niewielka farma właśnie wyłoniła się zza horyzontu księżyca, choć pod tym kątem ściany zapadliska, na którego dnie ją zbudowano, nadal utrudniały obserwację. Jednak co do jednej rzeczy Kaylah nie miała wątpliwości – zobaczyła eksplozję, a potem płomień i dym.

– Komandorze poruczniku, coś się dzieje w ostatnim miejscu pobytu naszych ludzi. Doszło do eksplozji – zameldowała.

– Widzisz ich?

– Nie, za dużo dymu, a kąt jest niesprzyjający. – Kaylah dostrzegła jakiś ruch nad warstwą dymu. – Chwileczkę. Jest coś jeszcze. – Pospiesznie zmieniła tryb podglądu z wizualnego na radarowy. Teraz wyraźnie widziała niewielką maszynę krążącą nad zapadliskiem. – To jakiś okręt. Ma ten sam rozmiar i konfigurację co jednostka, która wcześniej chciała wylądować u nas.

Cameron nie spodobała się treść meldunku podporucznik Yosef.

– Nie widać statku Tobina?

– Nie jestem pewna.

Kaylah przestawiła czujniki z powrotem na tryb wizualny i zastosowała szereg filtrów, aby wydobyć z dymu zarys płonącego obiektu. Wprowadziła kilka komend.

– Wydaje mi się, że pali się właśnie jednostka Tobina. Cokolwiek to jest, ma podobny kształt.

– Udało się z nimi połączyć? – zapytała Cameron łącznościowca.

– Nie, komandorze poruczniku. A próbuję we wszystkich trybach, nawet szerokopasmowym i nieszyfrowanym.

– Cholera. Musimy zgarnąć naszych w mniej niż pół godziny, bo inaczej będziemy zmuszeni ich zostawić. A to, co się pali, to pewnie statek Tobina. Potrzebujemy innego środka transportu.

Na twarzy porucznika Mendeza przy stanowisku taktycznym pojawił się uśmiech.

– Kiedy ostatnio sprawdzałem, w hangarze były dwa promy.

– Skontaktujcie się z nimi – poleciła. – Sprawdźmy, czy zechcą odebrać naszych z powierzchni.

– Myśli pani, że się zgodzą? – zapytał Mendez. – To znaczy z własnej woli?

– Może, jeśli odpowiednio zapłacimy – mruknęła Cameron.

– Komandorze poruczniku – odezwał się oficer łączności – zgłasza się tylko pilot statku wydobywczego. Mam go przekierować do pani komunikatora?

– Jasne.

Cameron czuła się nieco przytłoczona okolicznościami, które zmieniały się jak w kalejdoskopie. Za każdym razem, gdy obmyśliła

plan, działało się coś, co go przekreślało. Jako osoba, która zawsze lubi trzymać się z góry ustalonych założeń, była tym faktem bardzo sfrustrowana.

Po chwili usłyszała głos Josha:

– Co mogę dla ciebie zrobić, złotko?

Cameron przewróciła oczami.

– Mamy na powierzchni kilku ludzi i zakładamy, że są pozbawieni środka transportu. Myślisz, że jeden z waszych promów dałby radę wylądować i ich bardzo szybko zabrać?

– Bardzo szybko, czyli...?

– Góra trzydzieści minut.

– Słusznie zakładam, że ta presja czasu ma jakiś związek z ta'akarskim krążownikiem, który leci w naszą stronę?

– Słusznie.

– Przykro mi, ale jeden prom mocno oberwał w strzelaninie i blokuje drugiemu dostęp do śluzy. Może gdybyśmy mieli więcej czasu, żeby go przesunąć...

– A twój statek? – przerwała mu. – Możesz wystartować?

– Pewnie, ale o jakiej liczbie osób mówimy? To maszyna do zbierania kamieni, a nie statek pasażerski.

– Cztery albo pięć osób.

– No to chyba gdzieś bym ich upchnął, jeśli im nie przeszkadza, że będzie rzucać. Nie jest zbyt komfortowo.

– Świetnie! – zawołała Cameron. – Ale ile to będzie mnie kosztować?

– Możesz mnie zabrać na obiad – zasugerował figlarnie Josh.

– Na pewno dogadamy się w kwestii wynagrodzenia. Ale muszę cię ostrzec, że na powierzchni mogą być kłopoty.

– Więc stawiasz dwa obiady!

– Kiedy możesz wystartować? – zapytała, ignorując jego zaloty.

– Za parę minut, słonko. Tylko przyślij współrzędne.

– Dzięki, Josh. I powodzenia.

*

Statek wydobywczy zaczął wyjeżdżać tyłem z hangaru w kierunku śluzy transferowej. Kołował nieco szybciej niż zwykle. Pilot – nadal

w hełmie i z zasłoniętą twarzą – bez przerwy rozglądał się na boki, usiłując z niczym się nie zderzyć. Po niedawno odpartej próbie abordażu wokół wciąż panował nieporządek.

– Udało się z nimi skontaktować? – zapytała Cameron.

– Nie – odpowiedział oficer. – Jestem przekonany, że ktoś zakłóca łączność.

– Statek wydobywczy właśnie wjeżdża na pokład startowy, komandorze poruczniku – zameldował Mendez.

– Proszę ostrzec pilota, że na powierzchni nie działa łączność – rozkazała.

*

Statek wydobywczy szybko wytoczył się ze śluzy na pokład startowy, nadal kołując tyłem. Delikatnie oderwał się od podłoża i natychmiast schował podwozie. Krótkie odpalenie dziobowych silników hamowania pomogło szybciej oddalić się od okrętu, a drugie odpalenie – tym razem bocznych silników manewrowych – odsunęło go w bok, gdy już się zdawało, że zderzy się z sekcją napędową „Aurory”. Gdy tylko zażegnał ryzyko kolizji, wykonał szybką boczny skręt w prawo, opuścił dziób i z pełną mocą głównych silników przyspieszył w kierunku księżyca.

*

– No i wystartował. – Mendez zaśmiał się pod nosem. – Cholera, ten facet...

– Lata jak wariat, wiem – dokończyła Cameron. – Ale ten wariat to nasza jedyna nadzieja.

*

Nathan wyglądał przez rozbite okno domu. Powietrze na zewnątrz nadal wypełniał gęsty, czarny dym z płonącego wraku, który leżał około dziesięciu metrów od budynku. Na szczęście snajperzy nie strzelali do nich, odkąd schronili się w domu.

– Na co oni czekają?

Deliza usiadła w kącie, tuląc siostrę tak, aby dziewczynka nie widziała zwłok matki na podłodze salonu. Jalea uklękła obok nich, próbując uspokoić dziecko.

– Na posiłki – zasugerował Władimir.

– Tak – zgodziła się Jalea. Wstała i zbliżyła się do przykucniętych przy oknie mężczyzn. – Na pewno ktoś przyleci, może z orbity. Możliwe, że już tu są.

Nathan znów wyjrzał. Próbował wypatrzeć snajperów przez pióropusze dymu.

– Gdyby udało się coś zrobić z tymi snajperami, może ucieklibyśmy pieszo do miasta i znaleźli inny środek transportu na „Aurorę”.

– Podejrzewam, że w pobliżu czai się duży okręt Ta’Akarów – ostrzegła go Jalea. – A jeśli tak...

– ...to „Aurora” ma na głowie inne problemy – podsumował. – Cholera, pewnie już skoczyli.

– Ty się za dużo martwisz, Nathan – powiedział Władimir. – Przylecą po nas, zobaczysz.

– Boże, obyś miał rację.

Nagle snajperzy zaczęli strzelać przez okna. Wiązki energii rozbijały te szyby, które jeszcze ocalały, i uderzały w podłogi i meble, siejąc wokół drzazgami i zwęgłając wszystko, z czym się zetknęły. Jalea złapała dziewczynki i pociągnęła je na podłogę, a potem wcisnęła dzieci do kąta, za szafkę.

Władimir dopadł na czworakach do okna i zaczął strzelać na oślep w stronę skraju klifu w nadziei, że jakimś zrzędzeniem losu trafi snajpera. Nathan za jego przykładem podczołgał się do okna po drugiej stronie i zrobił to samo.

Po kilku chwilach prom zaczął ostrzeliwać dom z działka pulsacyjnego. Każda wiązka przebijała dach oraz strop pierwszego piętra. Z sufitu sypały się wtedy odłamki, a córki Tuga piszczały.

– Jezu! – krzyknął Nathan. Nie wątpił, że zaraz albo zasypią ich gruzy, albo zostaną spopieleni.

– Próbują nas zmusić, żebyśmy wyszli na otwarty teren i się poddali – stwierdził Władimir.

– Bombardując nas? – zapytał Nathan, nie przestając strzelać jak oszalały.

Jedna z belek sufitowych trzasnęła i wygięła się w dół. Posypał się gruz. Po następnym uderzeniu pękła w pół i runęła na podłogę tuż obok Władimira.

– Musimy się stąd wydostać! – wrzasnął Nathan, idąc na czworakach w kierunku kuchni. – Przez tylne wyjście!

Można by odnieść wrażenie, że strzelec na pokładzie promu usłyszał te słowa, gdyż następnych kilka salw trafiło w tył domu, zawalając dach nad kuchnią. Nathan otworzył drzwi w samą porę, by zobaczyć, jak sufit spada na podłogę. Chmura kurzu i odłamków uderzyła go w twarz.

– Może jednak nie!

*

Josh wyglądał przez przednią szybę swojego statku, który pędził niecałe piętnaście metrów nad powierzchnią Przystani. W oddali, może dwadzieścia kilometrów przed sobą, widział słup czarnego dymu, który wznosił się w niebo.

– Zostało dwadzieścia sekund – zameldował drugi pilot, Loki, przekrzykując ryk silników. Latali razem od prawie pół roku, odkąd Loki zjawił się na Przystani.

– Oddział naziemny „Volandera”, tu „Górnik”. Słyszycie mnie? – Josh zaczekał kilka sekund na odpowiedź, lecz ta nie nadeszła. Uśmiechnął się. – Chyba zrobimy im niespodziankę.

Loki dopiął ciasniej pasek uprząży. Choć Josh był fenomenalnym pilotem, miał tendencję do robienia pewnych rzeczy bez ostrzeżenia.

– Na pewno chcesz lecieć tak szybko, Josh?

– Nie ma innej opcji – odpowiedział pierwszy pilot i zaśmiał się pod nosem.

Odległość malała. Widzieli już kształt wrogiego promu, który krążył nad zapadliskiem, ostrzeliwując jakiś cel na powierzchni.

– Działka pulsacyjna – zauważył Loki.

– Widzę.

– Zakładam, że masz jakiś plan.

Josh nic nie odpowiedział, tylko zagdakał jak przed grą w cykora.

– Świetnie – mruknął Loki i złapał się uchwytów na przedniej i bocznej konsoli. Miał świadomość, co go czeka, i z doświadczenia wiedział, że lepiej się mocno trzymać.

Pędzili prosto na wroga, który nadal zataczał koło i właśnie zwracał się w stronę nadlatującego statku wydobywczego.

– O cholera! – zawołał Loki.

Mógłby przysiąc, że przez ułamek sekundy widział twarze załogi promu, gdy ten gwałtownie odbił w prawo, aby uniknąć kolizji z rozpędzoną maszyną. Josh natychmiast przechylił „Górnika” w przeciwną stronę i lekko uniósł dziób. Przeciężenie wcisnęło ich w fotele.

– O tak! – ryknął triumfalnie. – Ja nigdy nie tchórzę!

Wrogi prom nie podniósł dziobu tak jak oni, przez co szybko tracił wysokość. Zanurkował do zapadliska, lecąc wprost na ścianę klifu.

*

Statek wydobywczy przemknął nad dachem domu z ogłuszającym hukiem, od którego budynek dosłownie zatrzęsł się w posadach. Wstrząsy zwały z nóg ludzi kryjących się środkiem.

– Co to było? – zapytał Nathan, podnosząc się z podłogi.

Zauważył, że ostrzał ustał. Po chwili ziemia znów zadrżała, a na zewnątrz rozległ się huk. Nathan wyjrzał przez okno. Przez unoszący się dym ledwo dostrzegł zarys wrogiego promu, który wbił się w ścianę zapadliska, a potem spadł na szklarnię i dopiero wtedy eksplodował.

– Jasna cholera!

– Oddział naziemny „Volandera”, tu „Górnika”. Słyszycie mnie? – Głos dobiegający z komunikatora nie brzmiał znajomo, ale Nathan i tak się zgłosił.

– Tu kapitan Scott! Kto mówi?

– Wasz transport, kapitanie! Tamta mała, słodka pani oficer przysłała mnie, żebym zabrał was do domu.

– Mała, słodka pani oficer? – zdziwił się Władimir.

– On pewnie mówi o Cameron – domyślił się Nathan, po czym odpowiedział: – Świetnie! Jak załatwiliście tamten prom?

– Nie ma czasu na pogaduchy, kapitanie. Najpierw muszę się pozbyć snajperów. Bądźcie gotowi, za chwilę wyląduję, żeby was zgarnąć!

– Przyjąłem!

*

– Doszło do drugiej eksplozji! – zameldowała Kaylah.

– Co wybuchło? – warknęła Cameron. – Statek wydobywczy?

– Nie, komandorze poruczniku! Widzę, że nadal jest w powietrzu! – wykrzyknął z podekscytowaniem Mendez. – Ten sukinsyn zaszarżował na nich z maksymalną prędkością!

– Chryste! Grał z nimi w cykora?

– Facet ma nierówno pod sufitem! – wykrzyknął Mendez.

*

Loki skrzywił się, gdy snajper trafił ich statek w dziób.

– Strzelają do nas, Josh!

– Co ty nie powiesz?

Statek wydobywczy zanurkował na wysokość niecałych dwóch metrów. Snajper padł płasko na ziemię, a tymczasem Josh skreślił ostro w prawo i zepchnął go w przepaść podmuchem z głównych silników.

*

Władimir wyjrzał przez okno. Chciał ustalić, dlaczego wrogowie już do nich nie strzelają. Szybko przekonał się, że uwagę strzelców absorbuje statek wydobywczy, który właśnie zawracał, by przelecieć nad przeciwną krawędzią klifu.

– On przegania snajperów!

*

Przy następnym przelocie Josh zszedł tak nisko, że skąpa roślinność stawała w płomieniach od gazów wylotowych. Loki

zamknął oczy, gdy omal nie uderzyli w snajpera, który w ostatniej chwili rzucił się twarzą na ziemię, by zaraz odkryć, że gorąco topi mu pancerz na plecach. Po chwili rozległo się ohydne „łup!”.

– Ja pierdołę! – krzyknął Josh.

Loki otworzył oczy i zobaczył na dziobie czerwoną smugę, która biegła aż do szyby.

– Co się stało?

– Rozwaliłem mu łeb! – zachichotał Josh.

Loki pokręcił głową.

– Jesteś pojebany, wiesz?

Statek wzniósł się ostro do góry. Leciał niemal pionowo, stopniowo zwalniając, aż wreszcie na moment zawisł w powietrzu. W tym momencie obrócił się na lewą burtę i zanurkował w dół, w kierunku dna rozpadliska. Po kilku sekundach był na dole. Josh poderwał dziób i odpalił z pełną mocą silniki lądowania, żeby wyhamować. Stateczek zawisł pośrodku kompleksu, bezpośrednio przed domostwem. Obrócił dziób w stronę budynku, wysunął podwozie i opadł na ziemię.

Z boku kadłuba otworzył się właz. Loki wychylił się na zewnątrz i pomachał nagląco. Ocaleni wyszli na zewnątrz i pobiegli. Władimir chwycił młodszą dziewczynkę i podał ją Lokiemu, który wciągnął dziecko do środka. Następna weszła Deliza, a potem Jalea.

– Musimy wrócić i poszukać Jessiki! – krzyknął Nathan.

– Nie ma czasu! – zaproponował Loki. – Nadlatuje okręt wojenny! Jeśli nie wrócimy za dziesięć minut, wasz statek odleci bez was.

– Ale ona może nadal żyje!

– Nathan, musimy lecieć! – nalegał Władimir.

– Nie! Muszę mieć pewność!

– Nathan, jesteś teraz kapitanem, odpowiadasz za cały okręt! A teraz wsiadaj! – Władimir chwycił kolegę za kołnierz i pchnął go do środka, a potem sam wsiadł.

W niewielkiej kabinie za kokpitem były tylko dwa fotele, które zajęły Jalea i Deliza z siostrą na kolanach. Nathan i Władimir usiedli na podłodze, wciskając się między stopy Jalei a przednią gródź oddzielającą kabinę od kokpitu. Loki zamknął właz, przestąpił nad nimi i zawołał:

– Lecimy!

Jeszcze nie zdążył usiąść obok Josha, gdy statek wzniósł się w powietrze i schował podwozie, a główne silniki ożyły, rozpędzając maszynę.

*

– Wiadomość ze statku wydobywczego – zameldował spieszenie oficer łączności. – Lecą do nas z piątką pasażerów!

– Tak! – wykrzyknęła z ulgą Cameron. – ETA?

– Dziesięć minut.

Cameron odwróciła się do Mendeza przy stanowisku taktycznym za jej plecami. Podporucznik pokręcił głową z kwaśną miną.

– Za osiem minut będziemy w zasięgu krążownika.

Cameron wzięła głęboki wdech i wolno wypuściła powietrze.

– Pewnie nadal nie działają wyrzutnie torped? – Wzrok Mendeza potwierdził jej przypuszczenia. – Wszyscy na stanowiska. Wysunąć działa elektromagnetyczne w trybie obrony punktowej.

*

– Mamy towarzystwo! – oznajmił Loki, zapinając uprząż. – Myśliwce Ta'Akarów na kursie przechwytyjącym. Za dwie minuty siądą nam na ogonie.

– Trzymajcie się, panie i panowie! – zawołał przez ramię Josh. – Będzie ciekawie!

Władimir oparł obie stopy o gródź przed nimi i przytrzymał się o podłokietnik Delizy. Nathan przygotował się w podobny sposób, a tymczasem stateczek drżał i podskakiwał, w zawrotnym tempie wzbijając się w przestworza.

*

– Wroga jednostka wyłania się zza horyzontu – zameldował Mendez zza stanowiska taktycznego. – Za pół minuty w nas wyceluje.

Cameron wbijała wzrok w wyświetlacze pilota i nawigatora. Gdyby teraz wyrwali się z orbity i zaczęli oddalać się od planety

z maksymalną prędkością podświetlną, byłyby w stanie skoczyć, unikając ostrzału krążownika. Wtedy jednak musiałyby porzucić oddział naziemny, a na to nie była jeszcze gotowa. Choć, z drugiej strony, zbyt długie czekanie, aż statek wydobywczy ich dogoni, mogło sprawić, że nie będzie już czego doganiać.

– Abby, domyślam się, że nie możemy skoczyć z orbity – powiedziała.

– Odradzam takie próby – ostrzegła Sorenson.

– Przypomnisz mi dlaczego?

– Oddziaływanie studni grawitacyjnej księżyca mogłoby znacząco zmienić punkt przybycia. Kto wie gdzie się pojawimy...

– No tak, może nawet wewnątrz gwiazdy. Rozumiem... Ale jak bardzo musimy oddalić się od Przystani?

– Nie jestem pewna. Kiedy mieliśmy skoczyć po raz pierwszy, uwzględnienie w obliczeniach grawitacji Jowisza zajęło kilka dni.

– A gdybyś miała zgadywać?

– Nie wiem, czybym potrafiła. W grę wchodzi zbyt wiele zmiennych, jak choćby odległość skoku. Poza tym tutaj mamy do czynienia z dwiema studniami grawitacyjnymi, księżyca i planety.

– A gdyby skok był krótki? Dajmy na to, parę milionów kilometrów?

Abby pograżyła się w myślach.

– Chwileczkę – mruknęła, wykonując pospieszne obliczenia.

*

– Oberwaliśmy! – zawołał Loki. Nathan uderzył potylicą w gródź, kiedy szarpnęło rufą.

– Nie szkodzi! Nie szkodzi! Nic się nie stało! – oznajmił Josh.

Prawą ręką mocno pociągnął za drążek sterowniczy i obrócił go, a lewą regulował ciąg głównych silników. Statek nagle przechylił się na prawą burtę, wszedł w korkociąg i obniżył lot, zmuszając ścigających do zrobienia tego samego. Był to jeden z wielu dziwacznych manewrów unikowych, jakie miały uchronić maszynę wydobywczą przed ogniem dwóch ta'akarskich myśliwców.

Josh tak gwałtownie skręcał, że Nathan już kompletnie stracił orientację. Kiedy uczył się latać w akademii, spędził kilka miesięcy,

ćwicząc na niewielkich jednostkach, w tym na taktycznym myśliwcu kosmicznym, z którego korzystała flota. W zakres treningu wchodził wachlarz taktyk i manewrów unikowych, ale nic nie przygotowało go na latanie z Joshem. Jedyne, co mógł zrobić, to powstrzymać odruch wymiotny.

Otworzył oczy. W kabinie było ciemno, rozjaśniały ją tylko rozbłyśki przelatujących wiązek. Wewnętrzne oświetlenie zostało wyłączone, żeby każdą odrobinę zaoszczędzonej energii kierować do słabych tarcz statku. Nathan spojrzął na Władimira. Nawet on wydawał się wstrząśnięty, lecz mimo wszystko uśmiechnął się szeroko.

– Ten pilot albo jest bardzo dobry, albo bardzo pijany!

Nathan spojrzął na córki Tuga. Deliza tuliła siostrzyczkę, a dziecko ukryło twarz na piersi siostry. Nie chciało patrzeć na to, co się działo.

Jalea wydawała się niemal równie wstrząśnięta, jak pozostali, ale nadal spoglądała prosto przez przednią szybę, najwyraźniej usiłując nadążyć za biegiem wydarzeń.

Znów oberwali, tym razem w prawą burtę. Statkiem zatrzęsło, a gródź, o którą opierał się Władimir, gwałtownie się rozgrzała. Rosjanin zaklął w swoim języku i szybko oderwał plecy od metalu, żeby uniknąć poparzenia. Na szczęście lodowaty kosmos szybko chłodził metal i już po kilku sekundach gródź była jedynie ciepła w dotyku.

– *Boże miłostiwj*, kadłub jest chyba bardzo cienki.

Szeroko otworzył oczy, gdy zrozumiał, jak niewiele oddziela ich od próżni.

– Tam jest! – zawołał Loki, wskazując w prawo.

– Strzelają do niego! – dodał Josh.

Pomimo wstrząsów oraz iskier, które sypały się z panelu pod sufitem, Nathan zdołał zmienić pozycję i na czworakach zbliżyć się do kokpitu na tyle, aby wyrzeć przez przednią szybę. Kilkaset kilometrów dalej zobaczył swój okręt. „Aurora” czekała pod ostrzałem, aż oddział naziemny schroni się w jej względnie bezpiecznym hangarze. Z tej odległości była zaledwie pyłkiem. Gdyby nie rozbłyśki wiązek energii, które uderzały w jej kadłub, trudno byłoby ją dostrzec na tle gwiazd.

*

– Dwie minuty! – zawołał Mendez, przekrzykując bitewny zgiełk. Na jego wyświetlaczu statek wydobywczy zygzakował, usiłując pozbyć się siedzących mu na ogonie myśliwców. – Nie może robić uników w nieskończoność! Nikt nie ma aż tyle szczęścia.

Z niemal każdej konsoli dał się słyszeć sygnał ostrzegawczy informujący o przeciążonych systemach. Mostek wypełniał gwar głosów, ponieważ członkowie załogi bezustannie wymieniali się informacjami.

– I jak, Abby? – zapytała siedząca za sterami Cameron.

– To chyba zadziała.

– Chyba?

– Zadziała. Jak daleko mamy skoczyć?

– Ile trwają obliczenia dla normalnego skoku, czyli co najmniej kilka lat świetlnych?

– Piętnaście, może dwadzieścia minut.

– A jeśli mielibyśmy skoczyć o trzydzieści minut świetlnych?

– Najwyżej parę minut.

– Tak szybko?

– Im krótszy skok, tym łatwiejsze obliczenia.

– Zrób tak – rozkazała Cameron.

Okręt zadrżał, gdy kolejna rakietka przedarła się przez ich osłabione pole obrony punktowej.

– Cholera! Szkoda, że ja nie mogę robić uników!

Wiedziała, że musi utrzymać stabilny kurs, jeśli statek wydobywczy ma bezpiecznie dotrzeć na pokład startowy.

– Straciliśmy kolejną wieżyczkę – zameldował Mendez. – Zostało osiem!

Cameron wiedziała, że osiem sprawnych wieżyczek z działami EM to za mało, żeby utrzymać skuteczne pole obrony punktowej.

*

– Cholera, widać trzeci myśliwiec – oznajmił Loki. – Na czwartej, kawałek dalej.

– Kurwa mać! Kim wy, ludzie, jesteście? – krzyknął przez ramię Josh. Zaczynał się zastanawiać, w co się wplątali i czemu

Ta'Akarowie tak bardzo chcieli dorwać ich pasażerów.

Nathan po raz pierwszy usłyszał desperację w głosie szalonego pilota. Spojrzał na Władimira. Nigdy nie widział u niego tak poważnego wyrazu twarzy.

– Na... an... czy... sz...?

Głos z komunikatora rwał się i ledwo dało się go zrozumieć, a jednak brzmiał znajomo. Nathan odruchowo zakrył dłońmi uszy, żeby odizolować się od hałasu dygoczącego stateczku.

– ...than, mówi ...ssica! Cz... słyszysz?

– O mój Boże, Jess, czy to ty? – odpowiedział przez radio. – Gdzie jesteś?

– W ...iwcu... za wami!

– To Jessica! – wykrzyknął Nathan.

– Co? – Władimir nie wierzył własnym uszom.

– Zmie... ..urs... Ostro ...wo!

– Co mówisz? Bardzo przerywa, możesz powtórzyć?

– ...eńcie kurs! Skrę... ..stro w prawo! ...bko!

Nathan nagle zrozumiał.

– Zmień kurs! Ostro w prawo, teraz!

– Co? – zapytał Josh, przekonany, że Nathan postradał rozum.

– Zrób to!

Josh nie zadawał więcej pytań, tylko natychmiast wychylił drążek.

– Jak długo mam utrzymywać skręt?

*

– Trzeci myśliwiec strzela do pierwszego! – zameldował Mendez z lekką konsternacją.

– Co? – zapytała również zszokowana Cameron.

– Jasna cholera, rozwalił go! Pierwszy myśliwiec wybuchł, a drugi przerywa pościg! Wykonuje uniki, żeby nie zestrzelił go ten trzeci!

– Co tam się dzieje? – mruknęła Cameron.

*

– O tak! – wykrzyknęła radośnie Jessica z tylnego siedzenia starego myśliwca.

Tug szarpnął drążek w lewo i zwiększył ciąg.
– Drugi przerywa pościg. Lecę za nim.
– Po jaką cholere? – zaprotestowała Jessica. – Wynośmy się stąd, dobra?
– On tylko udaje odwrot – upierał się Tug. – Zawróci i spróbuje się nam na ogonie.
– Skąd wiesz?
– Bo sam bym tak zrobił – odparł spokojnie Tug.
– W porządku.
– Jess, skąd ty się wzięłaś? – zapytał Nathan przez komunikator. – Jest z tobą Tug?
– A jak myślisz, kto pilotuje? – odpowiedziała ze śmiechem.

*

– Komandorze poruczniku, trzeci myśliwiec jest po naszej stronie!
– zameldował oficer łączności.
– Skąd to wiemy? – zapytała Cameron.
– Wykrywam transmisje między nim a statkiem wydobywczym – wyjaśnił łącznościowiec, po czym przekierował sygnał do głośników.
– To długa historia, kapitanie – rozbrzmiał głos Jessiki. – Potem ci opowiem. Lećcie na okręt, a my zajmiemy się tą drugą mendą. I przekaz Cam, żeby na nas poczekał!
– Co się działo na powierzchni, do cholery? – zadumała się na głos Cameron.
– Wlatują w pole ostrzału krążownika – ostrzegł Mendez. – Nie przeżyją trafienia z jego wielkich dział.
– Więc zapewnimy im osłonę – zdecydowała Cameron, gasząc główne silniki i zwiększając ciąg.

*

Dziób „Aurory” uniósł się. Teraz okręt był zwrócony pod kątem prostym do kierunku lotu. Wieżyczki w trybie obrony punktowej przestały strzelać, gdy wroga jednostka zniknęła z ich pola widzenia. Jednak krążownik Ta’Akarów nie wstrzymał ognia.

*

– Co ona wyprawia? – zapytał Loki, widząc, że „Aurora” podnosi dziób.

– Ta babka jest tak samo szalona jak ja – odparł ze śmiechem Josh. Nathan też się zaśmiał.

– Odwraca okręt spodem do wroga – wyjaśnił. – To najmocniejsza część kadłuba.

*

Wcześniej pole obrony punktowej chociaż częściowo chroniło „Aurorę”. Teraz każdy pocisk uderzał z pełną siłą w jej podbrzusze. Jednak tę część kadłuba zaprojektowano z myślą o hamowaniu aerodynamicznym oraz wejściu w atmosferę w przypadku awaryjnego lądowania. Spód okrętu chroniło trzykrotnie więcej warstw oraz wzmocniona struktura wewnętrzna, więc Cameron miała nadzieję, że kadłub wytrzyma do czasu, aż „Aurora” wykona skok z obiema sojuszniczymi jednostkami na pokładzie. Manewr nie był podręcznikowy, ale najwyraźniej skuteczny.

*

Wykonali ostry skręt w lewo. Ścigany myśliwiec był teraz zaledwie pięćdziesiąt metrów przed nimi. Wrogi pilot desperacko manewrował w możliwie najbardziej nieprzewidywalny sposób, aby Tug nie mógł wycelować. Jednak na darmo – to nie był pierwszy pojedynek Tuga.

Z dyszy na dziobie drugiego myśliwca trysnął strumień gazów. Działo się to wiele razy w ciągu ostatnich sekund, ale tym razem ciąg był trochę większy.

– Niemożliwe, żeby był tak głupi – wymamrotał Tug.

Wrogi myśliwiec nagle zaczął unosić dziób, aby odwrócić się rufą do kierunku lotu i wymierzyć uzbrojenie w Tuga i Jessicę. Jego niewielki profil stał się na chwilę znacznie większy, co dało Tugowi świetną okazję do zadania śmiertelnego ciosu. Wystarczyło nacisnąć spust na drążku. Czerwona wiązka energii wystrzeliła z działka

i trafiła wroga w sam środek kadłuba, rozrywając zbiorniki z paliwem, które zapaliło się w oślepiającym wybuchu.

– Co się stało? – zapytała Jessica, gdy odłamki eksplodującego myśliwca spadły na nich jak deszcz.

– Caiusa zawsze bardziej interesowała ilość niż jakość – mruknął Tug.

– Co?

– Nic. Dołączmy do pozostałych.

*

– Trzymajcie się, ludzie! – zawołał z kokpitu Josh. – Łatwo nie będzie!

– Coś nie tak? – zapytał Nathan. Odkąd „Aurora” osłoniła ich własnym kadłubem, lot przebiegał gładko.

– Mamy spore uszkodzenia, a dziewięćdziesiąt stopni to nie najlepszy kąt podejścia do lądowania!

Nathan zajrzał do kokpitu i przez przednią szybę zobaczył „Aurorę”. Była niecałe sto metrów od nich i szybko się zbliżała. Co gorsza, odkąd Cameron uniosła dziób okrętu, nadlatywali prostopadle do wzdłużnej osi kadłuba. Nie było mowy, żeby zmienili kurs na tyle szybko, by nie wbić się w pokład startowy.

– O mój Boże.

*

– Powiedz, że jesteś gotowa, Abby – powiedziała Cameron.

– Hangar, przygotujcie się na awaryjne lądowanie! – zawołał Mendez przez komunikator. – Uwaga, dojdzie do kolizji!

– Jestem gotowa! – zapewniła Abby.

– Trzymajcie się ludzie! Musimy przyjąć jeszcze kilka trafień w dziób! – ostrzegła Cameron.

*

– Ha-ha! – wykrzyknął Josh, szeroko otwierając oczy.

Nathan odwrócił głowę, żeby znów wyjrzeć przez szybę.

- Opuszcza dziób! – zawołał Loki.
- Kocham tę kobietę! – oznajmił radośnie Josh.

Teraz „Aurora” znów była zwrócona dziobem w kierunku lotu, dzięki czemu kąt podejścia do lądowania stał się znacznie korzystniejszy – co nie zmieniało faktu, że nadal lecieli bardzo szybko.

*

– Wystrzelili pociski – zameldował podporucznik Mendez. – Nadlatuje sześć rakiet, wszystkie konwencjonalne! ETA trzydzieści sekund!

- Przygotuj się, Abby!

Dłoń Abigail zbliżyła się do dużego, czerwonego przycisku, który technicy zamontowali w jej konsoli, obecnie stanowiącej oficjalne stanowisko kontroli skoków. Sorenson otworzyła plastikową osłonę i przekręciła kluczyk nad przyciskiem, uzbrajając system.

- Czekam na rozkaz – odpowiedziała z palcem nad przyciskiem.

*

- No to lądujemy! – oznajmił Josh.

Ostro poderwał dziób i odpalił dysze lądowania. Nie licząc głównego napędu, były to najmocniejsze silniki statku. Gdy zerknął w prawo, okazało się, że Tug wykonuje ten sam manewr swoim starym myśliwcem, usiłując wylądować awaryjnie obok nich.

– Miejmy nadzieję, że tym razem pamiętała o otwarciu śluzy – mruknął Josh.

Gdy wślizgnęli się pod zadaszanie pokładu startowego, opuścili dzioby i wysunęli podwozia. Jednak podwozie statku wydobywczego nie zdążyło się w pełni otworzyć, zanim maszyna uderzyła w lądowisko. Podwozie zgięło się i zmieniło w płataninę metalu.

Myśliwiec Tuga poradził sobie lepiej. Jego podwozie wysunęło się i zablokowało w samą porę. W przeciwieństwie do drugiej jednostki nie odniósł poważnych uszkodzeń, więc w kontrolowany sposób zatrzymał się przy użyciu silników.

Statek wydobywczy nie miał tyle szczęścia. Zderzył się ze ścianą, przechylił się na prawą burtę, sunął jeszcze przez chwilę po pokładzie startowym ku wewnętrznym wrotom śluzy, omal nie zderzając się z myśliwcem Tuga.

*

- Wylądowali! – zameldował Mendez.
- Wyłączyć główny ekran – rozkazała Cameron. – Skaczemy!

*

Fala bladobłękitnego światła wylała się z emiterów tarczy „Aurory”. W ułamku sekundy poświata zmieniła się w jaskrawą kulę, która otoczyła cały okręt, by zaraz zbieleć, zapaść się i zniknąć wraz z okrętem. Nie zostało nic oprócz pustej przestrzeni, przez którą miały zaraz przemknąć nadlatujące rakiety.

*

- Skok zakończony – oznajmiła Abby sekundę później.
- Włączyć główny ekran – rozkazała Cameron. – Kaylah, ustal naszą pozycję, a potem zlokalizuj tamten krążownik. I postarajmy się ograniczyć emisję do minimum. Im trudniej nas wykryć, tym więcej mamy czasu na przygotowania do następnego skoku.
- Już się robi – powiedziała podporucznik Yosef.
- Abby, zacznij wytyczać parametry skoku. Otwarta przestrzeń, gdziekolwiek poza układem.
- W którym kierunku?
- Wszystko jedno. – Cameron odwróciła się do Mendeza przy stanowisku taktycznym.
- Przeżyli?
- Jeszcze nie wiem. Zewnętrzne wrota dopiero się zamykają. Śluza transferowa napełni się powietrzem za dwie minuty.
- Doskonale. Dobra robota, ludzie.
- Komandorze poruczniku? – odezwała się Kaylah. – No dobra, to naprawdę dziwne.

– Co takiego? – zapytała z obawą Cameron. Odkąd przed tygodniem opuścili Ziemię, niemal bez przerwy działo się coś nieprzewidzianego.

– Znalazłam tamten okręt.

– Świetnie. Gdzie jest?

– Nadal po przeciwnej stronie gazowego olbrzyma.

– Co?

– Dokładnie w miejscu, gdzie go najpierw wykryliśmy. – Nagle podporucznik Yosef szeroko otworzyła oczy i usta ze zdumienia. – O mój Boże, my też tam jesteśmy.

– Co? – powtórzyła z Cameron.

– W porządku, trzeba będzie do tego przywyknąć – powiedziała spokojniej Kaylah i odwróciła się do przełożonej. – Znajdujemy się trzydzieści osiem minut świetlnych od Przystani. Widzimy to, co działo się trzydzieści osiem minut temu. Dlatego patrzymy na samych siebie wśród pierścieni.

– O kurde... – wyrwało się Mendezowi.

Cameron uśmiechnęła się.

– To prawda. Potrzeba czasu, żeby do tego przywyknąć.

10

Gdy tylko uchyliły się wewnętrzne wrota śluzy, do środka wcisnęli się członkowie załogi wyposażeni w gaśnice oraz sprzęt ratunkowy i medyczny. Większość pobiegła prosto do statku wydobywczego. Wiedzieli, że tam przebywa oddział wysłany na powierzchnię.

Myśliwiec Tuga wylądował bez większego uszczerbku, więc stał nieco z boku i miał już wyłączone silniki. Zanim dotarli do niego ratownicy, pilot otworzył osłonę kokpitu i zdjął hełm. Jednak statek wydobywczy był w znacznie gorszym stanie. Zderzenie z lądowiskiem i ścianą mocno go pokiereszowało i stało się jasne, że już nigdy nie poleci.

Kiedy ratownicy biegli w jego stronę, właz uchylił się lekko. Władimir napierał od środka, próbując otworzyć go szerzej, aby wypuścić gryzący dym ze spalonej elektroniki, który sączył się z kabiny. Ratownicy pospiesznie wdrapali się na sfatygowany statek i próbowali rozewrzeć właz. Na próżno. Po kilku sekundach ktoś przyniósł ciężkie narzędzie do cięcia metalu, które błyskawicznie uporało się z zawiasami włazu.

Teraz z wnętrza maszyny wylała się reszta szarego dymu. Władimir jak najszybciej rzucił młodszą córkę Tuga w ramiona ratowników. Następna była Deliza, później Jalea, Nathan i Władimir.

Nathan natychmiast połączył się z Cameron, nie przestając kaszleć.

– Cam! Jaki jest nasz status?

– Na razie jesteśmy bezpieczni, przynajmniej przez kilka godzin. Nikomu nic się nie stało?

– Tylko skaleczenia i siniaki – odpowiedział, oglądając się na wrak.

– I może nawdychaliśmy się dymu – dodał, odkasłując – ale poza tym jest w porządku. Dzięki, że zaczekaliście.

– Nie ma problemu, kapitanie. Witamy z powrotem.

– Dziękuję. Niedługo się zobaczymy.

– Przyjęłam – odpowiedziała Cameron. Po chwili namysłu dodała:

– I powiedz Joshowi, że zasłużył na randkę.

Nathan uśmiechnął się na widok Josha i jego drugiego pilota Lokiego, którzy właśnie ześlizgnęli się po kadłubie maszyny. Musieli precyzyjnie przejść przez włazy ewakuacyjne umieszczone bezpośrednio nad fotelami, ponieważ powyginany metal uniemożliwiał przejście na tył kabiny.

Gdy kroczyli w jego stronę, Josh zdjął hełm, odsłaniając skołtunione blond włosy i chłopięcą, najwyżej osiemnastoletnią twarz. Drobny i żyłasty, wyglądał jak ktoś, kto pożyczył kombinezon pilota od starszego brata. Błysnął do Nathana zmęczonym uśmiechem i wyciągnął rękę.

– Przekażę mu – odparł ze śmiechem Nathan, po czym wyłączył mikrofon. – Nieźle lataasz – powiedział, ściskając mu dłoń.

– Dziękuję, kapitanie – odpowiedział Josh, zadowolony z pochwały.

– Ty, przyjacielu, możesz mi mówić Nathan.

– Josh. A to mój drugi pilot, Loki.

– Miło mi – przywitał się parę lat starszy mężczyzna, ściskając dłoń Nathana.

– Gdzie się nauczyłeś tak latać?

– W grach VR – wyjaśnił z uśmiechem Josh. – A gdzie indziej?

Nathan roześmiał się.

– Faktycznie, gdzie indziej.

Josh i Loki odeszli w stronę hangaru, a Nathan obejrzał się na myśliwiec. Tuga stał już na pokładzie i przytulał córki. Jalea czekała nieopodal. Władimir złapał Jessicę, gdy ta zsuwała się po kadłubie myśliwca i, jak to miał w zwyczaju, przytulił ją „na niedźwiedzia”. Nathan podszedł bliżej.

– Uratowaliście nam wszystkim tyłki.

– To zasługa Tuga. Ja byłem tylko pasażerem.

Nathan objął ją z większym uczuciem, niż sam się spodziewał.

– Myślałem, że cię straciliśmy – szepnął, nie przerywając uścisku.

– Trudno mnie zabić – odparła hardo.

– Tak, powoli się o tym przekonuję – przyznał Nathan, odsuwając się. – Chodźcie. Sprawdzimy, jak mocno oberwał okręt pod moją nieobecność.

– O Boże – jęknął Władimir, gdy dotarło do niego, że pewnie czeka go mnóstwo napraw. – Nawet tak nie mów.

Nathan podszedł do Tuga, który nadal tulił córki.

- Dzięki, Tug – powiedział, ściskając mu dłoń. – Uratowałeś nas.
- Z całym szacunkiem, kapitanie, ale to nie was próbowałem ocalić – odparł tamten, uciekając wzrokiem w stronę dziewczynek.
- Jalea, odprowadzisz Tuga i jego rodzinę do ambulatorium?

*

- Kapitan na mostku! – oznajmił marine przy wejściu, gdy Nathan wkroczył do pomieszczenia, bardziej pewny siebie niż kiedykolwiek.
- Komandorze poruczniku, proszę o raport.
- Zostało osiem wieżyczek. Mamy kadłub przebity w kilku miejscach, ale oberwał głównie dziób, więc silniki, zasilanie i napęd skokowy są sprawne.
- Założę się, że spód okrętu nie wygląda najlepiej. Przy okazji, niezły manewr.
- Dzięki.
- Gdzie jesteśmy?
- Trzydzieści osiem minut świetlnych od Przystani. Lecimy w stronę obrzeży układu z prędkością jednej czwartej c. O ile mi wiadomo, wrogi okręt jeszcze nas nie zlokalizował. Teoretycznie powinno minąć kilkadziesiąt minut, zanim wykryją nas ich czujniki.
- Ale pewności nie mamy – zauważył Nathan.
- Słucham?
- Nie znamy możliwości ich czujników.
- Ale prędkość światła jest stała, niezależnie od...
- Tak, oczywiście. Ale po prostu założmy, że mają znacznie lepsze czujniki. W tym momencie lepiej przesadzić z ostrożnością.
- Cameron była w szoku. Po raz pierwszy widziała, żeby Nathan zachował się aż tak przezornie.
- Tak jest.
- Abby, kiedy możemy ponownie skoczyć?
- Stan naładowania ogniw wynosi dziewięćdziesiąt procent, kapitanie. Mam już wyznaczone parametry skoku. Zabierze on nas do miejsca, w którym pojawiliśmy się w tym układzie. Możemy skoczyć w dowolnym momencie o maksymalnie dziewięć lat świetlnych, jeśli zajdzie potrzeba.
- Świetnie.

– Kapitanie – wtrąciła się Jessica. – Ta’Akarowie bez dwóch zdań nas ścigają. Jeśli Tug nie myli się co do tamtego Caiusa...

– W gabinecie, Jess – przerwał jej Nathan. – Cam, chodź z nami.

Jessica natychmiast zrozumiała, że choć na Przystani mogła swobodnie kłócić się z Nathanem, na pokładzie obyczajnie nakazywały coś innego.

– Kto to jest Caius? – zapytała Cameron, kiedy znaleźli się we trójkę w gabinecie przy mostku. – I, przy okazji, kim są Ta’Akarowie?

– To Takaranie – wyjaśnił Nathan. – Najwyraźniej źle to wymawialiśmy.

– A Caius?

– Ich przywódca. Dyktator, a może król – wytłumaczyła Jessica. – Jeśli Tug się nie myli, Ta’Akarowie zrobią wszystko, żeby nas znaleźć i zdobyć napęd skokowy.

– A kto to jest Tug? – zapytała Cameron, która z każdą chwilą czuła się coraz bardziej zdezorientowana.

– Rolnik, od którego kupiliśmy *molo* – odpowiedział Nathan.

– Jestem przekonana, że jest kimś więcej niż rolnikiem – dodała Jessica.

– I najwyraźniej kiedyś pilotował myśliwiec – powiedział Nathan, siadając. – Jego okręt doznał uszkodzeń i dryfował. Koniec końców Tug trafił na Przystań i zaczął uprawiać *molo*.

– Och, myślę, że wiele przemilczał – upierała się Jessica. – Byłam w kuchni, zaraz po tym, jak go pojмали i zabili mu żonę.

– Że co? – Cameron coraz mniej rozumiała. – Co tam się wydarzyło, do cholery?

Jessica kontynuowała, ignorując ją:

– Słyszałam, jak rozmawiali, że dostaną odznaczenia za schwytanie go żywcem. „Od samego Caiusa”. A teraz powiedz, czy spodziewałbyś się, że za złapanie zwykłego pilota myśliwca otrzymasz medal od najwyższego przywódcy?

– Myślisz, że jest kimś ważnym?

– Na pewno kimś, kogo chcą zabić albo pojmać. A to prowadzi do następnej kwestii. Czy to przypadek, że ubiliśmy interes akurat z Tugiem?

Ta myśl więcej niż raz przeszła Nathanowi przez głowę w ciągu ostatnich kilku godzin, ale do tej pory stanowiła niczym nieuzasadnione podejrzenie. Wcisnął przycisk komunikatora.

– Łączność? Proszę skontaktować się z ambulatorium. Niech przyślą tu Jaleę i Tuga, jak najszybciej.

– Tak jest.

– I Abby też niech przyjdzie.

– Tak jest.

– A po co ci Abby? – zdziwiła się Cameron.

– Tug wspominał o źródle zasilania, nad którym pracują Ta’Akarowie. Podobno zapewni im nieograniczoną energię. Mówił, że są bliscy ukończenia projektu.

Po chwili do gabinetu weszła Abby.

– Wzywałeś mnie, kapitanie?

– Tak, doktor Sorenson. Powiedziałaś kiedyś, że zasięg skoku jest ograniczony jedynie ilością dostępnej energii. Czy to prawda?

– W teorii tak. Przy odpowiednim źródle zasilania oraz mocy obliczeniowej niezbędnej do wykonania precyzyjnych obliczeń, można by skakać między galaktykami równie łatwo, jak między gwiazdami. W praktyce to jednak trochę trudniejsze. A skąd to pytanie?

– Czysto teoretycznie, gdybyśmy dysponowali źródłem zasilania, przypuśćmy, stukrotnie silniejszym niż obecnie, czy pomogłoby nam to szybciej wrócić na Ziemię?

– O ile zdołalibyśmy je zintegrować z naszymi systemami i odpowiednio skalibrować, to tak, mogłoby być pomocne.

– Jak bardzo pomocne?

– Prosisz, żebym gdybała, kapitanie.

– Zrób to dla mnie.

– Mając sto razy więcej energii, moglibyśmy wrócić w kilku skokach. Może nawet jednym.

– Więc bylibyśmy w domu w parę dni albo tygodni zamiast kilku miesięcy, zgadza się?

– Zakładając, że wszystko poszłoby dobrze? Owszem, to możliwe. – Abby przez chwilę przyglądała się Nathanowi. – Chcesz powiedzieć, że masz dostęp do takiego źródła zasilania?

– Dane wywiadowcze sugerują, że w tym zakątku kosmosu może istnieć coś takiego – przyznał.

– Kapitanie! Gdybyśmy je znaleźli i wykorzystali, napęd skokowy zapewniłby Ziemi niesamowitą przewagę.

– O tym właśnie pomyślałem – powiedział Nathan. – Dziękuję, doktor Sorenson. To na razie wszystko.

Abby spojrzała im w oczy, każdemu z osobna, i dopiero wtedy odwróciła się do wyjścia. Było jasne, że wiedzieli więcej, niż jej mówili. A jednak wiadomość o potencjalnym źródle energii dała jej nadzieję, że może jeszcze wróci do męża i dzieci.

– Nathan – zaczęła Cameron, kiedy Abigail wyszła – to może wyjaśniać, czemu wyszliśmy ze starcia z tak niewielkimi uszkodzeniami. I czemu tym razem nie wystrzelili głowic jądrowych.

– O czym mówisz?

– Chcieli przechwycić okręt, żeby położyć łapy na napędzie skokowym – wtrąciła się Jessica. – Wiedzą o jego istnieniu.

– Więc Tug miał rację – skwitował Nathan, opadając ciężko na fotel.

*

– Na pewno dobrze się nimi zajmą?

Tugowi nie uśmiechało się zostawiać córek pod opieką obcych ludzi, zwłaszcza tak niedługo po stracie matki.

– To dobrzy ludzie – zapewniła Jalea.

– Znasz ich tylko od paru dni – przypomniał, kiedy opuścili ambulatorium, zmierzając na spotkanie z kapitanem.

– A jednak w tym krótkim czasie wiele razem przeszliśmy. – Zauważyła, że Tug ogląda się za siebie. – Ich lekarka jest dobrze wyszkolona, a twoje córki mają tylko siniaki i skaleczenia.

– Ale ich technologia jest prymitywna – zaproponował ze zmartwieniem.

– Nie cała.

– Tak. Ten napęd skokowy, o którym mówił kapitan... Czy on naprawdę działa tak, jak to opisał?

– Przecież żyjemy, prawda?

– Na własne oczy widziałaś, jak działa?

– Kilka razy.

– Trudno w to uwierzyć – powiedział.

Właśnie wchodzili po rampie prowadzącej na pokład dowodzenia. Tug odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– To dlatego przyprowadziłaś ich do mnie?

– Nie rozumiem – skłamała Jalea.

– Zapominasz, że doskonale cię znam. Nieraz próbowałaś mnie przekonać, żebym wrócił do walki o twoją sprawę.

Jalea zatrzymała się i odwróciła do niego ze złością.

– To nie moja sprawa, tylko nasza – powiedziała, z trudem panując nad głosem. Rozejrzała się po korytarzu, żeby sprawdzić, czy nikt nie usłyszy. – Kiedyś to była też twoja walka, a może zapomniałeś?

– Niczego nie zapomniałem – warknął, rozwścieczony jej bezczelnością. – Walczyłem z Ta’Akarami, kiedy ty jeszcze sikałaś pod siebie! Nie udawaj, że tylko ty kogoś straciłaś. Ja też wiele wycierpiałem. Więcej, niż potrafisz sobie wyobrazić. – Przerwał na chwilę, żeby ochłonąć. – Nie próbuj mną manipulować tak jak innymi, Jalea. Może ci się nie spodobać, jak zareaguję – dodał, po czym ruszył w kierunku mostka.

Dopiero po kilku chwilach zdał sobie sprawę, że Jalea nadal stoi w miejscu. Odwrócił się. Wiedział, że zielonooka ma coś jeszcze do powiedzenia.

– Zginęły tysiące ludzi – zaczęła. – Cierpiały dwa pokolenia. A teraz, gdy wróg przepędził nas na cztery wiatry i wszystko wydaje się stracone, los podsuwa nam instrument zbawienia. I ty mówisz, że masz dość? – Zbliżyła się do niego. – Jeśli odpuścimy właśnie teraz, nareszcie mając zwycięstwo w zasięgu ręki, okaże się, że wszyscy zginęli na darmo. Chcesz odebrać sens ich poświęceniu? Jeśli tak postąpimy, jak osądzi nas stwórca?

– Z pewnością surowo nas osądzi za nasze występki, droga Jaleo. Co do tego nie mam wątpliwości.

Młoda kobieta podeszła jeszcze bliżej. Położyła dłonie na piersi Tuga i popatrzyła mu głęboko w oczy.

– A co z twoimi córkami? Jakie czeka je życie pod bezwzględnyimi rządami Ta’Akarów?

Spojrzenie w egzotyczne, zielone oczy Jalei przypomniało Tugowi bliskość, która niegdyś ich łączyła. Ale to było w innych czasach. W innym życiu. Położył dłonie na jej dłoniach.

– Możesz już przestać mnie uwodzić – powiedział. – Nie pozwolę, żeby moje córki cierpiały pod butem Caiusa.

Odwrócił się i ruszył dalej. Jalea uśmiechnęła się drwiąco i podążyła za nim. Może nie był już skłonny zaprosić jej do łóżka, ale wciąż miała na niego wpływ.

*

– Dziękuję, że przyszliście – powiedział Nathan, gdy do gabinetu wkroczyli Jalea i Tug. – Mam nadzieję, że twoje córki mają się dobrze.

– Nie są poważnie ranne. Dziękuję za troskę.

– Naprawdę bardzo mi przykro z powodu żony.

– Dziękuję, kapitanie.

– Tug, poznaj mojego oficera wykonawczego, komandor porucznik Taylor – powiedział Nathan. – Komandorze poruczniku, oto Redmond Tugwell.

Cameron uścisnęła mu dłoń.

– Miło mi, proszę pana. I dziękuję za uratowanie naszych ludzi. Ja również chciałabym wyrazić najszczerze kondolencje z powodu pańskiej straty.

– Dziękuję. – Tug odwrócił się do Nathana. – Chciałeś z nami rozmawiać?

– Owszem, siadajcie.

Tug i Jalea zajęli miejsca przy biurku, naprzeciwko Nathana. Cameron i Jessica usiadły na kanapie.

– Znaleźliśmy się na rozdrożu – zaczął Nathan. – I zanim zdecydujemy, jaką drogę obrać, musimy ustalić kilka rzeczy. Mam nadzieję, że nam w tym pomożesz.

– Zrobię, co w mojej mocy, kapitanie.

Nathan spojrzał na Jaleę, której twarz jak zwykle nie zdradzała żadnych uczuć. Tug z kolei okazywał znacznie więcej emocji – pytanie tylko, czy prawdziwych.

– Ubiegłego wieczoru szczerze mówiłem o naszej obecnej sytuacji i planach. Wówczas odnosiłem wrażenie, że ty również mówisz szczerze.

Tug zrozumiał aluzję.

– A teraz podejrzewasz, że było inaczej?

Nathan nie wiedział, jak potoczy się rozmowa. W tym momencie dysponował przewagą i czuł przymus, by ją wykorzystać. Tug i jego córki byli dosłownie zdani na jego łaskę. Choć sama myśl o wykorzystaniu tej przewagi wydawała mu się niesmaczna, czuł, że nie ma wyboru. W innych okolicznościach pewnie postąpiłby inaczej. Jednak teraz stawka była zbyt wysoka.

– Niestety tak. Kiedy moja szefowa bezpieczeństwa przygotowywała się do odbicia cię, podsłuchiwała rozmowę żołnierzy. Spodziewali się wielkiej nagrody za twoje schwytanie, może nawet odznaczenia od waszego najwyższego przywódcy.

Na chwilę zawiesił głos. Tak jak podejrzewał, goście zachowali pokerowe twarze.

– Pewnie byli niedoświadczeni i zareagowali z przesadnym entuzjazmem – zasugerował Tug. – Tym bardziej że pewnie wzięli mnie za kogoś innego.

– Aha. – Nathan zerknął na Jessicę. Ona też nie uwierzyła. – Nie wydaje mi się. Bo widzicie, zauważyłem jeszcze parę innych szczegółów. Na przykład fakt, że żołnierze nie byli zainteresowani schwytaniem nas. Strzelali, żeby zabić. – W tym momencie Tug rzucił Jalei dyskretne spojrzenie. Zielonooka nie zareagowała. – A tamten okręt wojenny nie użył głowic jądrowych, żeby nas rozwalić w drobny mak. Czemu?

– Nie odpowiadam za motywacje innych, kapitanie, ale nie rozumiem, co Ta'Akarom przysłoby ze schwytania rolnika.

Nathan zdziwił się, że Tug wciąż się wszystkiego wypiera. Czuł złość, bo on, Jalea albo nawet oboje zadrwili sobie z niego, igrając z życiem całej załogi „Aurory” i być może przetrwaniem całej Ziemi. Odchylił się w fotelu i powoli wypuścił powietrze. Spojrzał na nieodgadnione twarze Jessiki i Cameron.

Skinął na Jessicę, a ta wcisnęła przycisk na swoim datapadzie. Na nagraniu dał się słyszeć głos Tuga:

– Przelałem tyle własnej krwi, ile może przelać człowiek i przeżyć. Omal nie zginąłem w tej ostatniej bitwie. Rany mi się jeszcze w pełni nie zagoiły. – Wcisnęła przycisk, przewijając nagranie. – Mój czas w szeregach *Karuzari* minął, Jalea. Pora, by teraz ktoś inny przejął sztandar.

Tug przez chwilę spoglądał na Nathana z urażonym wyrazem twarzy.

– Jesteś sprytniejszy, niż podejrzewałem, kapitanie – wycedził.

Nathan był zmęczony. Miał dosyć stresu. Miał dosyć odpowiedzialności. I, przede wszystkim, miał dosyć gier. Jednak miał również dosyć czekania, aż ktoś podejmie decyzję za niego. Robił tak przez całe życie – o nic nie dbał na tyle mocno, by samemu coś postanowić. To ostatnie zaczęło się zmieniać, kiedy wstąpił do floty. Coś, co miało być szansą na wyrwanie się z kolein dawnego życia i rozpoczęcie nowego, przekształciło się w próbę. Tej próbie poddany był on sam i jego załoga, a stawkę stanowił świat.

Nathan znów spojrział na Cameron i Jessicę.

– Darujmy sobie pierdolenie, dobra? – Cameron szeroko otworzyła oczy. Jessica uśmiechnęła się lekko, zaciekawiona, do czego zmierza ta rozmowa. – Chcesz wiedzieć, co myślę? Jedno z was albo może oboje ukartowaliście to wszystko, żeby wciągnąć nas w swoją rebelię. – Skupił wzrok na Jalei. – Z początku sądziłem, że chcecie porwać nasz okręt. A potem zaczęłaś gadkę o „darze od Boga”. Teraz myślę, że próbujesz przeciągnąć nas na swoją stronę.

– Dobrze mi idzie? – zapytała beznamiętnie.

– Przyznam, że nawet nieźle.

Cameron szepnęła do Jessiki:

– Co on wyprawia?

– Nie wiem – odpowiedziała szeptem podporucznik Nash – ale to będzie dobre.

– Jednak nie z powodu, o którym myślisz – kontynuował Nathan. – Mam tylko jeden cel. Sprowadzić swój okręt oraz napęd skokowy na Ziemię, zanim będzie za późno. I dopóki nasze cele są zbieżne, jestem gotowy współpracować. Pod kilkoma warunkami.

– Jakimi? – zapytała Jalea.

– Na przykład takim, że Tug odpowie na pytanie, kim jest, do kurwy nędzy. I czemu Ta’Akarowie tak bardzo chcą go dorwać.

Redmond Tugwell westchnął.

– Bo byłem przywódcą *Karuzari*.

– O ja cię... – wymamrotała Jessica.

Po raz pierwszy odkąd przestąpili próg gabinetu, zmienił się wyraz twarzy Jalei. Nie była zadowolona z ujawnienia tego faktu.

– To by wiele wyjaśniało – powiedział Nathan.

– Na przykład tarczę – wtrąciła Jessica.

Nathan był wciąż sceptycznie nastawiony.

– Czy Przystań nie znajduje się dość daleko od rebelii?

– Odległość rzeczywiście stanowiła wyzwanie logistyczne, ale to było niezbędne zabezpieczenie.

– A źródło zasilania, o którym mówiłeś? Ono naprawdę istnieje czy to tylko podstęp, żeby przeciągnąć nas na waszą stronę?

– Zapewniam cię, kapitanie, że informacje są prawdziwe, podobnie jak zagrożenie, które się z tym wiąże. W tej kwestii nie kłamałem. Właśnie z jego powodu tak długo przewodziłem *Karuzari*, pomimo sprzeciwu mojej świętej pamięci żony.

Nathan dostrzegł determinację w stalowym spojrzeniu Tuga.

– Walczyłem z Ta'Akarami przez ponad dwadzieścia lat – kontynuował. – Ranni była trzecią miłością, którą przez nich straciłem. Przez Caiusa. Na Przystani znalazłem się tak, jak opowiedziałem. Postanowiłem zostawić dawne życie za sobą. Jednak czasem przeznaczenie nie chce tak łatwo odpuścić. Czasem go odnajdzie, choćby człowiek bardzo starał się uniknąć jego lodowatego uścisku. – Tug wziął głęboki wdech, żeby nieco ochłonać. – Zdaje się, że przeznaczenie znów trzyma mnie w garści. Ciebie chyba również, kapitanie. Pozostaje więc jedno pytanie. Czy stawimy mu czoła wspólnie?

Nathan spojrzał na Jaleę. Jej wielkie, zielone oczy – równie uwodzicielskie jak zawsze – nakłaniały go, by odpowiedział „tak”. Spojrzał na Cameron. Jej oczy wyrażały poważne zaniepokojenie. Zerknął jeszcze na Jessicę, ale ta najwyraźniej traktowała rozmowę jak interesujące widowisko.

– Wygląda na to, że przeznaczenie umieściło nas na tej samej ścieżce, przynajmniej na jakiś czas. Nie umiem przewidzieć, jak długo będziemy nią kroczyć wspólnie, ale na razie możecie uważać nas za sprzymierzeńców.

– Jestem bardzo wdzięczny, kapitanie – powiedział Tug.
– Zostało wiele do omówienia – dodał Nathan – ale na razie ja mam okręt, o który muszę zadbać, a ty córki, które potrzebują ojca.
Tug skinął głową.
– Jestem do twojej dyspozycji, kapitanie. – Rebeliant wstał i wraz z Jaleą opuścili gabinet.
– Jasna cholera, Nathan! – wykrzyknęła z podziwem Jessica.
Spojrzał na Cameron.
– No i? – zapytał.
Ta pokręciła głową i wzięła głęboki oddech.
– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.
Nathan odchylił się w fotelu.
– Ja również.

KONIEC TOMU DRUGIEGO